

Stefan Kardynał Wyszyński

**ŹRÓDŁA
ODRODZENIA**

Wydawnictwo im. Stefana Kardynała Wyszyńskiego
„Soli Deo”
Warszawa 1993

„Kiedyś mnie zabraknie, ale wy to przypomnicie!”

Kardynał Stefan Wyszyński

ZAMIAST WSTĘPU

Instytut Prymasowski Stefana Kardynała Wyszyńskiego przygotował bardzo ważną pozycję książkową, w której udostępnia polskim czytelnikom zbiór przemówień i konferencji Prymasa Tysiąclecia, wygłoszonych do inteligencji katolickiej, głównie do uczestników Ruchu Dni Modlitw Inteligencji Katolickiej „Odrodzenie”. Ruch ten nawiązywał do idei i pracy istniejącego od zarania II Rzeczypospolitej Stowarzyszenia Katolickiego Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie” i Związku Seniorów „Odrodzenie”. Te prężne organizacje działały aż do wybuchu II wojny światowej. Potem przyszła noc okupacji niemieckiej, a następnie trudny czas narzuconych Polsce rządów komunistycznych i prześladowania Kościoła. W latach 1953-56 kardynał Wyszyński był uwięziony. Dopiero po powrocie Prymasa Polski z więzienia zdecydowano się na systematyczne spotkania „odrodzeniowe”, organizowane od 1957 r. (zwykle we wrześniu) na Jasnej Górze w Częstochowie. Spotkania przybrały formę rekolekcji dla inteligencji katolickiej, która wywodziła się z członków przedwojennego „Odrodzenia”. Gdy przedzwały się szeregi przedwojennych odrodzeniowców, dochodzili ludzie młodzi, którzy tworzyli niewielkie grupy katolickiej inteligencji „odrodzeniowej” we wszystkich ważniejszych środowiskach akademickich kraju. Pod koniec życia kardynała Wyszyńskiego przybywało na spotkania do Częstochowy ponad tysiąc osób. Byli to ludzie związani z Prymasem Polski i hierarchią nie tylko więzami przyjaźni, ale również gorącej miłości do Kościoła. Można powiedzieć, że „odrodzeniowe” przedwojenne „sentire cum Ecclesia” było określeniem najbardziej właściwym dla tej grupy inteligencji katolickiej w Polsce.

Z tymi ludźmi Ksiądz Prymas rozumiał się znakomicie. Dowodem tego były spotkania z liderami „Odrodzenia” z całej Polski, na które zapraszał „Ojciec” do swej warszawskiej rezydencji. Tej zaufanej grupie osób przedstawiał panoramę problemów dotyczących Kościoła w Polsce. Niejednokrotnie też poruszał sprawy o charakterze społecz-

no-politycznym. Informacje te miały być w sposób roztropny przekazywane innym.

Niezapomniane dla wszystkich uczestników spotkań z Prymasem Tysiąclecia były jego przemówienia częstochowskie. Gdy czytamy dzisiaj owe wypowiedzi, zdaje się, że słyszymy głos kardynała Wyszyńskiego pełen powagi, ciepła i ojcowskiej dobroci. Ci ludzie potrzebowali światła ze strony Sternika Kościoła polskiego. Wspomnieliśmy już, że czasy były niełatwe. Komunistyczna administracja, a także środki przekazu będące w jej rękach, robiły wszystko, by utrudnić pracę Kościołowi, a szczególnie Prymasowi Polski. Ludzie byli zniechęceni, jednakże szukali prawdy. Nic też dziwnego, że z największą radością przybywali do Częstochowy, by spotkać się z kardynałem Wyszyńskim i posłuchać jego nauczania.

Zebrane przemówienia są najlepszym dowodem zapotrzebowania na prawdę i światło, zwłaszcza ze strony inteligencji katolickiej. Od strony teologicznej są świadectwem głębi duchowej kardynała Wyszyńskiego. Czytelnik niniejszej książki zauważy bez trudności, jak bardzo te teksty osadzone są w nauce chrześcijańskiej. Dla teologa jest rzeczą satysfakcjonującą zauważyć, jak wszystkie poruszane sprawy, także te egzystencjalne, tkwią w przeżyciu teologiczno-mistycznym. Mamy w tych tekstach wielkie świadectwo nie tylko dobrej teologii, ale i życia mistycznego. Podstawą nauczania Księdza Prymasa jest teologia trynitarna (*De Deo Trino*). Osobę ludzką ukazuje w światłach Boga w Trójcy Jedynej. W pewnym sensie można powiedzieć, że umieszcza ją poza czasem, w zamyśle Bożym. Człowiek wywodzi się z owego zamysłu Bożego, pełnego miłości, i dzięki rodzinie, społeczeństwu, narodowi oraz Kościołowi zatapia się w wieczności wypełnionej Bogiem, który jest Miłością. Teologia kardynała Wyszyńskiego z jednej strony jest wzniosła, a z drugiej strony — bardzo konkretna i dotykalna. Ksiądz Prymas ujmuje byt człowieka w jego metafizyce, w jego niepokojach egzystencjalnych, ale jednocześnie prowadzi go przez konkretne wymiary macierzyństwa i ojcostwa w rodzinie, społeczeństwie, narodzie i Kościele.

Każdy z tych elementów w wypowiedziach Księdza Prymasa jest traktowany z największą powagą i miłością. Tam, gdzie trzeba, ilustrowany jest konkretnym przykładem. Widać, że ten wielki i nieprzeciętny Duszpasterz bliski był zwyczajnym ludzkim sprawom, znał życie, jego zakamarki i problemy. Nie obce były mu sprawy zwyczajne, dotyczące

życia pospolitego w jego konkretnych uwarunkowaniach. Z niemałym zaskoczeniem zauważamy w tych przemówieniach realizm i niezwykłą znajomość sytuacji, w których przyszło żyć polskiej inteligencji. Nie były to myśli wykoncypowane „z pamięci”. Jakże często czujemy w tych mądrych i wnikliwych wypowiedziach głęboką znajomość problemów. Czasami Ksiądz Prymas wykorzystywał w swoich tekstach przykłady zaczerpnięte z publikacji prasowych polskich lub zagranicznych, odpowiadając na zarzuty, jakie pojawiły się niekiedy w odniesieniu do Kościoła, zwłaszcza zaś w stosunku do modelu pracy Kościoła w Polsce po Soborze Watykańskim II. Jego wizja Kościoła z jednej strony może być postrzegana jako tradycyjna, a z drugiej strony bardzo przylegająca do nauki Vaticanum II. Jest to wizja Teologa i Pasterza. Prymas Wyszyński podejmował problemy w sposób bardzo odpowiedzialny, godny i pełen roztropności. Może dlatego udało mu się przeprowadzić Kościół w Polsce bez większych kryzysów, szczególnie w okresie soborowym i po jego zakończeniu.

Z podziwem trzeba patrzeć na obronę drogi maryjnej w polskim Kościele. Maryjny charakter duszpasterstwa polskiego miał m.in. ten walor, że czynił je powszechnym. Świadczą o tym liczne pielgrzymki na Jasną Górę i do innych sanktuariów maryjnych. Nie był to, oczywiście, chwyt propagandowy. Kardynał Wyszyński był święcie przekonany o słuszności wybranej drogi. Jego mariologia była pełna głębokiej i ufnej miłości do Matki Bożej. Często uzasadniał proponowaną przez siebie drogę maryjną tekstami biblijnymi, nauką Ojców, Tradycją Kościoła i naszym doświadczeniem narodowym. Bardzo sobie cenił wypowiedzi papieży popierające maryjny charakter duszpasterstwa w Polsce.

Sprawy narodu były Księdzu Prymasowi równie bliskie jak sprawy Kościoła. Problematyką tą żył od młodości, zwłaszcza, gdy po latach zaborów odradzające się państwo polskie odbudowywano na wartościach chrześcijańskich, które uchroniły naród przed utratą jego tożsamości.

Można mówić, że Ksiądz Prymas odczytywał tożsamość polską jako tożsamość narodu polskiego wychowanego na kulturze katolickiej. Wszystkie problemy, związane z osobą, rodziną, państwem i narodem, rozwiązywał w świetle zdrowej teologii, szczególnie eklezjologii, a także w duchu wierności charyzmatowi narodu, jego historii i chrześcijańskiej kulturze, w tym również kulturze politycznej.

Ład społeczny opierał na ładzie moralnym, dla którego bazę stanowi prawo Boże. Jest rzeczą znamionną, że kardynał Wyszyński w owych trudnych czasach podejmował refleksję nad zagadnieniem ludzkiej pracy w warunkach systemu komunistycznego i przypominał o obowiązku dobrej pracy i uczciwości w życiu społecznym. Zwracam na to uwagę, gdyż niektórzy uważają, że Kościół w tamtym czasie nie przypominał o zobowiązaniach katolików w odniesieniu do etyki pracy.

Wydaje się, że to nauczanie jest aktualne także i dzisiaj — zachowuje wartość ponadczasową. Przede wszystkim z tego powodu, że jest to nauczanie teologicznie bardzo pogłębione. Wypływa ono z umiłowania Pana Boga, człowieka, rodziny, narodu i państwa.

Przypomnienie nauczania, kierowanego do inteligencji katolickiej w Polsce przez Prymasa Tysiąclecia, wydaje się być sprawą obecnie bardzo potrzebną. Zmarły przed 12 laty kardynał Wyszyński zostawił swojemu narodowi cenne wskazania; jakby przewidywał to, że Polska stanie przed wielorakimi problemami i trudnościami — tak mocno był zafascynowany własnym narodem. Kochał ten naród. Czuł się jego pasterzem. Zdawał sobie sprawę z tego, że katolicy polscy są poddawani naciskom ideologii ateistycznej i laicyzującej. Dlatego duszpasterstwo w Polsce miało za zadanie w miarę możliwości ochronienie wiernych przed skutkami nacisku i propagandy.

Spotkania Księdza Prymasa z inteligencją „Odrodzenia” miały na celu nie tylko formację duchową uczestników Dni Modlitw. Wypowiedzi Prymasa Tysiąclecia nosiły charakter słowa pasterskiego, jak to było ujmowane w programach. Mówił więc wprawdzie do stosunkowo niewielkiej grupy osób, ale miał na uwadze całą rzeszę polskiej inteligencji.

Otrzymywała ona program z jednej strony ramowy i ogólny, z drugiej strony — na tyle jasny, że uzyskiwała w jego świetle konkretne odpowiedzi na rodzące się życiowe pytanie, jak się ostać w wierności Bogu i Ojczyźnie. Z najwyższą prostotą udzielał Ksiądz Prymas odpowiedzi na temat udziału świeckich w życiu społecznym, w życiu Kościoła. Rozwiązywał problemy dotyczące etyki pracy, zachowania przykazań Bożych, życia rodzinnego, wychowania dla dobra społeczeństwa i narodu.

Czytając teksty zamieszczone w niniejszym wydaniu, przekonamy się z pewnością, że był to program dla przyszłości, program o charakterze formacyjnym.

Nie wolno nam zapominać, że jasnogórskie spotkania „Odrodzenia” miały zawsze charakter rekolekcyjno-modlitewny. Obok nauczania Księdza Prymasa były w programie zwyczajne nauki rekolekcyjne, spowiedź, adoracja Najświętszego Sakramentu. Było to i pozostaje bardzo ważne dla formacji polskiej inteligencji. Można zauważyć, jak w tych spotkaniach łączyły się tradycyjne w pewnym sensie formy duszpasterstwa z poszukiwaniem dróg nowych, wiodących do pogłębienia wiary i doskonalszego związania się z Bogiem. Warto przypomnieć, że w owym czasie w tym duchu pracowało w Polsce duszpasterstwo akademickie, przygotowujące do życia religijnego polską inteligencję. Wielu duszpasterzy akademickich korzystało w tym czasie z propozycji, jakie płynęły z Dni Modlitw. I odwrotnie, można było zauważyć znamiona pracy ówczesnych duszpasterzy akademickich w programach „Odrodzenia”. Niektórzy duszpasterze akademicy uczestniczyli również w Dniach Modlitw w Częstochowie.



Z perspektywy lat można dzisiaj zapytać o zadania, jakie Ksiądz Prymas stawiał polskiej inteligencji. Jest to bardzo ważna sprawa, gdyż rozlegają się niekiedy głosy w jakimś sensie deprecjonujące Prymasa Tysiąclecia w jego ustosunkowaniu się do inteligencji. Trzeba więc stwierdzić, że Ksiądz Prymas w sposób jasny widział miejsce inteligencji w życiu Kościoła i narodu. Spotkania z przedstawicielami inteligencji podczas Dni Modlitw w Częstochowie dawały mu okazję do precyzowania zadań dla tej formacji intelektualnej. Ksiądz Prymas wychodził z założenia, że istnieje racja stanu dla Polski w zachowaniu wierności nauce katolickiej i wierności tradycji ojczyściej. Kardynał Wyszyński spotykał się z zarzutami ze strony pewnej części inteligencji, jakoby obrał drogę, która odbiega od nauki Vaticanum II, gdy chodzi o duszpasterstwo zbyt zakorzenione w sprawy narodu. Odpowiadał tym ludziom w sposób zdecydowany, że nie mają racji, gdyż nie dostrzegają, że Bóg swoje drogi objawia w konkretnym narodzie i w konkretnej sytuacji. Tą konkretną sytuacją była w myśli Księdza Prymasa sytuacja Kościoła i narodu polskiego. Nie uważał za słuszne tracić przed oczu wielkiego bogactwa historycznego, któremu na imię Polska. Nie chciał, by

dokonywano tutaj obcych przeszczepów. Uważał, że naród polski winien zachować własną tożsamość.

Zachęcał inteligencję polską do studium dokumentów soborowych. Zwracał szczególną uwagę na konstytucję o Kościele „Lumen gentium” i „Gaudium et spes”. Cieszył się, że te dokumenty jasno określają miejsce świeckich w Kościele.

Praca w „Odrodzeniu” przedwojennym i jej charakter pozwalały Prymasowi Tysiąclecia wyrażać swoją opinię w kwestii teologii narodu. Uczył prawidłowego rozróżniania patriotyzmu od nacjonalizmu. Lękał się wykorzenienia, które prowadzi do liberalizmu i zamętu ideowego. Tak jak Chrystus kochał swój naród, tak każdy naród winien cieszyć się miłością swoich obywateli. Inteligencja polska winna także miłować to, co polskie, łącznie ze spuścizną historyczną.

Zadaniem inteligencji katolickiej w Polsce jest — uczył Ksiądz Prymas — rozeznanie zarówno w treściach teologicznych, jak i w zasobach wiedzy historycznej, dotyczącej historii i kultury narodu polskiego. Postulował głęboką pracę wewnętrzną i duchową. Przestrzegał przed wybujałym indywidualizmem, który traktował jako prawdziwe niebezpieczeństwo dla Polski. Ratunkiem miała być gruntowna praca wewnętrzna korzystająca ze środków, którymi dysponuje Kościół. Sprawy społeczne znajdowały się w centrum nauczania Prymasa Tysiąclecia.

Nie mogło być — w owym czasie — mowy o pracy inteligencji polskiej w organizacjach katolickich. Ważne dla Księdza Prymasa było to, że w ogóle była możliwość pracy z inteligencją katolicką. Wiadomo, że pracowały gorliwie różne instytucje, których głównym zadaniem było rozbicie Kościoła i nękanie wiernych. Dotyczyło to szczególnie inteligencji.

Ksiądz Prymas był realistą. Dlatego jego wypowiedzi mają charakter ostrożny i wyważony. Niemniej dla każdego, kto orientował się w ówczesnej sytuacji, było rzeczą jasną, że pierwszemu Pasterzowi Polski zależało na współpracy z inteligencją. Nie miała to być współpraca „pod kierunkiem duszpasterzy”, ale działanie wykazujące większą inicjatywę świeckich. Dowodem na to jest świadectwo jednego z żyjących liderów „Odrodzenia”. Wspomina on spotkanie z kardynałem Wyszyńskim, na którym Ksiądz Prymas wyraził swoją opinię co do niezależności pracy katolików polskich w Kościele. Nie zaaprobował wtedy propozycji przekształcenia „Odrodzenia” w duszpasterstwo

inteligencji, gdyż w duszpasterstwie księży z natury rzeczy powinni by odgrywać wiodącą rolę. Księdzu Prymasowi chodziło o to, by takiej roli nie pełnili, by świeccy katolicy zachowali swoją tożsamość i niezależność. Przypominam o tym dlatego, że jest to bardzo charakterystyczny, choć nieznany element poglądów Prymasa Tysiąclecia.

Gdy dzisiaj zauważa się pewne zmęczenie duszpasterzy w ich wielorakich wysiłkach, należy zwrócić uwagę na to, że jest najwyższy czas w Polsce, by odezwała się zdrowa i wierna Kościołowi inteligencja katolicka, która nie będzie zwalczała księży, ale będzie ich wspomagała w walce o miejsce dla Chrystusa na polskiej ziemi.

„Kiedyś mnie zabraknie, ale wy to przypomnicie!” Jeszcze raz przypominam te znamienne słowa Prymasa Tysiąclecia. Wydaje się, że przedstawiony materiał, zamieszczony w książce, jest znakomitym dokumentem epoki, jest „źródłem odrodzenia”. Miłość żywi się świadectwem, a w sposób szczególny miłość do Kościoła i Ojczyzny.

Jestem przekonany, że świadectwo Księdza Kardynała Stefana Wyszyńskiego należy do tych, które jeszcze długo będą żywe i aktualne.

Ks. Ireneusz Skubiś
*Moderator Dni Modlitw
Inteligencji Katolickiej „Odrodzenie”*

Częstochowa, 1 stycznia 1993

I

CHRZEŚCIJANINEM JESTEM

WRÓĆMY DO ŹRÓDEŁ CHRZEŚCIJAŃSTWA

Najświętsza Ofiara zaczyna się od przedziwnych słów: „Miłość Boga Ojca, łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa i dar jedności w Duchu Świętym, niech będą z wami wszystkimi”. Jest to wezwanie Trójcy Świętej, aby działała w świętym zgromadzeniu eucharystycznym, które ma odebrać wszystkie moce działającego Ojca-Stworzyciela, Syna-Zbawcy i Ducha-Uświęciela.

Misterium Trójcy Świętej istotą chrześcijaństwa

Pragniemy wejść w samą głębię tej tajemnicy, ponieważ współcześnie tak często słyszymy zwłaszcza w kołach inteligencji, że trzeba pogłębiać naszą religijność, aby nie była tylko „tradycyjna”, lecz wybitnie aktualna, a to znaczy — jak najbardziej z wnętrza Boga. Chcemy więc, na miarę naszej nieudolności, wejść w misterium Boga w Trójcy Świętej jedyne.

Działa Bóg — Bóg Ojciec, Bóg Syn, Bóg Duch Święty — Ci Trzej. Bóg jedyny i troisty — „Deus unus et trinus” — działa zawsze razem,

razem — „Ja i Ojciec jedno jesteśmy”. Działa tak od początku, tworząc nowe oblicze świata, abyśmy przyzwyczaili się rozumieć misterium Boga troistego w dziejach ludzkości, w działaniu zbawczym w Kościele, w każdej duszy.

Mamy zwyczaj traktować Osoby Boże rozłącznie. A przypomnijmy sobie modlitwę Chrystusa w Wieczerniku, gdy prosił Ojca o dar jedności dla Kościoła, powołując się na swoją jedność z Ojcem — „aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojcze, we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili jedno w Nas” (J 17,21).

Istotą chrześcijaństwa jest nauka o Bogu Stworzycielu, o Synu zbawiającym i Duchu uświęcającym. To wyróżnia chrześcijaństwo spośród wielu formacji religijnych, jakie tworzyła rodzina ludzka, szukając drogi do Boga. Drogę tę ukazał sam Bóg.

Czytaliśmy dziś w liturgii słowa o niezwykłym wydarzeniu w Nazaret. Nigdzie bodaj, w żadnym tekście biblijnym Nowego czy Starego Przymierza, nie ujawnia się tak wyraziście jedność działania Trzech Osób Bożych, jak w momencie Zwiastowania. Tam w Nazaret tworzy się nowy świat, „novus nascitur ordo”. A Przyczyną sprawczą tego nowego porządku jest Bóg w Trójcy jedyny.

Bóg Ojciec posyła Zwiastuna do Nazaret, do Dziewczęcia izraelskiego — Maryi, i przekazuje Jej wyjątkowe powołanie: „Oto poczniesz i porodysz Syna, któremu nadasz imię Jezus. Będzie On wielki i będzie nazwany Synem Najwyższego” (Łk 1,31-32). Ukazuje się na widowni świata druga Osoba Trójcy Świętej — Syn Boży.

Ale człowiek ma prawo dociekać tajemnicy, ma prawo się lękać, trwożyć i rozważać: „Cóż by to było za pozdrowienie?” Z polecenia Stwórcy Zwiastun Boży daje Maryi odpowiedź: „Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego osłoni Cię. Dlatego też Święte, które się narodzi, będzie nazwane Synem Bożym” (Łk 1,31-36). Słowa te wskazują na obecność i działanie jeszcze jednej Osoby Trójcy Świętej — Ducha Świętego.

Tych Troje — Bóg Ojciec, Bóg Syn, Bóg Duch Święty — rozpoczynają społem nowy ład w świecie, w życiu człowieka, ład zbawienia. Nie ma bardziej wyrazistego obrazu wspólnotowości działania Boga nad misterium Zwiastowania nazaretańskiego. To jest koleba chrześcijaństwa, to jest źródło źródeł, które tak bardzo pragniemy odkryć na nowo w obecnych czasach odnowy Kościoła.

Mamy świadomość, że trzeba sięgnąć do źródeł i według nich kształtować swoją osobowość religijną. A wrócić do źródeł, to znaczy — wrócić do misterium Trójcy Świętej, rozeznaczyć Jej działanie w Kościele. Przecież w tym właśnie źródle zrodził się Jezus Chrystus, błogosławiony Owoc żywota Maryi.

Wśród błakaniny myśli ludzkiej, w poszukiwaniu ratunku i zbawienia człowiek przeoczył bodaj to, co jest najistotniejsze. Pamiętam niedawne debaty synodalne w Rzymie nad nową formacją kapłana czasów dzisiejszych. Wystąpiłem wtedy z projektem: Jeżeli kapłan dzisiejszy — który przecież także wiąże się z Wiecznym Kapłanem — jest posłany, aby sprawować Chrystusowe dzieło, aby w imię Trójcy Świętej chrzcić i nauczać, to musi on mieć formację duchową trynitarną. Usłyszałem odpowiedź: To za trudne dla współczesnego człowieka.

Zrozumiałem wówczas głębię naszego upadku. Jakże? Więc to co jest istotą chrześcijaństwa, co jest początkiem odnowy świata, to jest za trudne dla dzisiejszego świata? A przecież nie ma i nie będzie innego rozwiązania i innego źródła odnowy, tylko to: w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! A ponieważ moc działania Boga w Trójcy Świętej jedyne objawia się światu w Maryi, dlatego błogosławioną zwą Ją wszystkie narody, aż do dziś.

Maryja z Nazaret prawzorem Kościoła

Chrystus — „natus de Maria Virgine” — „Homo factus” — gdy wypełnił swoje zadanie Głosiciela Dobrej Nowiny, gdy dokonał na krzyżu dzieła odkupienia, posyłając swoich uczniów na cały świat, wyjaśnia im zwięźle i krótko istotę ich posłannictwa: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego” (Mt 28,19). Ten, który został ukształtowany przez działanie Trójcy Świętej pod sercem Dziewczęcia z Nazaret, z tego trynitarnego działania wziął wzorzec posłannictwa dla swego Kościoła.

Tyle wzniosłych rzeczy mógł był powiedzieć Chrystus, wysyłając Apostołów w świat. Ale chciał powiedzieć im to, co najistotniejsze. Dlatego odwołał się do zdarzenia, które miało wymiary prawzoru dla całej działalności Kościoła, dla odnowy ludzi. Mógł był Chrystus w swoim apostołskim posłannictwie nic już więcej nie mówić uczniom po Zmartwychwstaniu. Przecież przekazał im całą Dobrą Nowinę.

I rzeczywiście, nic więcej nie dodał, prócz tego: „Ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata” (Mt 28,20), a wy idźcie i wypełniajcie posłannictwo w imię trynitarniej jedności Ojca, Syna i Ducha, w imię Boga w Trójcy Świętej jedyne, którego Oblicze ma się odbić na waszych twarzach.

Zapewne, taki był odwieczny plan Boży, ale ten plan miał swój początek w dziejach. Jego realizacja dopełniła się najpierw na prawzorze Kościoła, na Matce Boga Człowieka, na Dziewczęciu z Nazaret. Ona jest kolebą nowego ładu — „Origo mundi melioris”. Jakże trudno jest pojąć, że współcześni ludzie nieraz w dziwnym łęku starają się przemilczeć misterium Zwiastowania, pominąć całą niemal Ewangelię Dziecięctwa Jezusa, zapisaną przez świętego Łukasza. Jak gdybyśmy się bali źródła, jak gdybyśmy lękali się spojrzeć w samo dno tej „studni Jakubowej”, z której płynie początek nowego królowania, któremu nie będzie końca.

Jak długo chrześcijaństwo będzie patrzeć w misterium trynitarnie jedności Boga, tak długo nie będzie miało końca. Zawsze bowiem będzie się odnawiać ten prawzór, ustanowiony przez Tróję Świętą w Nazaret, gdy Maryja — jako pierwszy człowiek — w imię Ojca, Syna i Ducha, stawała się dla Bożego Syna i Matką, i Siostrą, i Bratem, przyjmując słowa Bożego Zwiastuna i odpowiadając na nie z wiarą.

W imię tego samego wzorca powstał Kościół Boży. Nic więc dziwnego, że Chrystus odchodząc do Ojca, polecił swoim uczniom, aby czekali na Ducha Świętego. Dotychczas bowiem działał Ojciec, posyłający Zwiastuna do Nazaret, i Syn uległy Ojcu, a działanie Ducha było ukryte w Maryi. Trzeba było wyraźniej ukazać światu Ducha Miłości Ojca i Syna. Dlatego Chrystus poleca: Nie odchodźcie z Jerozolimy, czekajcie, aż pošlę wam Ducha Pocieszyciela, Ducha Prawdy, który, gdy przyjdzie od Ojca, przypomni wam wszystko, czegokolwiek was uczyłem, On nauczy was wszelkiej prawdy.

To, co działo się w Wieczerniku, znamy dobrze z opisu Dziejów Apostolskich, ale zwróćmy uwagę na jedno, że w tym działaniu Ducha obecna jest również Matka Najświętsza. Doświadczyła już trynitarnego działania Boga Ta, która wydała światu Chrystusa, aby posłał uczniów swoich na cały świat w imię Trójcy Świętej. Maryja jest w Wieczerniku wśród grona Apostołów, uczniów i niewiast. Jest też z nami dziś, w Kościele współczesnym.

Gdy Ojciec święty Paweł VI, przychyłając się do uporczywych próśb Episkopatu Polski, przedłożonych w wielu memoriałach, zapowiedział, że sam ogłosi w auli soborowej Maryję Matką Kościoła, wtedy właśnie rozstrzygano na Soborze problem VIII rozdziału Konstytucji dogmatycznej — o obecnej w misterium Chrystusa i Kościoła Matce Boga Człowieka. To odważne określenie „Maryja Matka Kościoła” mąciło w głowach wielu wybitnym ludziom. Zdumiewali się: Jak to, przyzwyczailiśmy się dotychczas mówić „Kościół-matka”, a teraz mamy mówić „Matka Kościoła”? Jakby zapomnieli o tym, że nie tylko dziecko, ale i matka ma też matkę. I Kościół-matka ma swoją Matkę, bo chociaż w myśli Bożej istniał od początku, jednak historycznie powstał później. Zrodzony został na krzyżu, z otwartego boku Chrystusa, jako nowa matka-Ewa.

Jezus Chrystus ustanawiając swój Kościół, polecił Apostołom sprawować jego posłannictwo w imię Trójcy Świętej. Przy narodzinach Kościoła obecna była Maryja, Matka Kościoła i Matka Chrystusa, który czerpiąc niejako wzór z działania Trójcy Świętej w Nazaret, przeniósł go na działanie Kościoła. Oto polecił Apostołom działać w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, tak właśnie jak działała Trójca Święta w Nazaret w Maryi, która jest „Origo mundi melioris”.

Uzasadniając tytuł Matki Kościoła, Konstytucja dogmatyczna stwierdza: „Maryja jest prawzorem Kościoła przez swą wiarę, miłość i zjednoczenie z Chrystusem”. Przez wiarę — albowiem powiedziano o Niej: „błogosławiona, któraś uwierzyła”; przez miłość, bo ją posiadała, stając się Matką pięknej miłości, oraz przez zjednoczenie z Chrystusem w tajemnicy Słowa, które w Niej ciałem się stało.

Misterium trynitarne życia Kościoła

Teologicznie jest więc uzasadnione to, że Maryja jest prawzorem, prototypem Kościoła. Ale pomyślcie, Najmilsi, czy nie można by do tego uzasadnienia jeszcze coś dodać. Maryja jest prawzorem Kościoła również dlatego, że to, czego dopełnia Kościół w nas, naprzód zrealizowało się w Niej, w Nazaret. To jest uzasadnienie bardzo istotne, głęboko wewnętrzne, wnikaające w misterium trynitarne życia Kościoła.

I my, każdy z nas tu stojących, zgodnie z wolą Chrystusa doznał na sobie działania całej Trójcy Świętej. Każdy z nas bowiem jest ochrzczony w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. A więc w każdym działa Bóg Ojciec, Bóg Syn i Bóg Duch — jak w Maryi z Nazaret.

Kościół jest wierny poleceniu Chrystusa, odtwarza ten prawzór, prototyp, nie tylko w sobie samym, ale we wszystkich swoich dzieciach, w każdym z nas. Dlatego nasze życie jest związane z Ojcem Stworzycielem, z Synem Zbawcą i z Duchem Uświęcicielem. Każdy z nas jest terenem nieustannego, ciągłego, jednolitego działania Trójcy Świętej. To jest źródłem jedności, o którą modlił się Chrystus w Wieczerniku.

Przez działanie trynitarnie Kościoła, zgodne z mandatem Chrystusa, dopełnia się także w nas zjednoczenie z Bogiem i braćmi. Cała natura — jak mówi Apostoł Paweł — oczekuje odrodzenia synów Bożych, z tęsknotą pragnie wyzwolenia, ukazania się nowego człowieka. I my często powtarzamy, iż oczekujemy na „nowych ludzi plemię, jakich jeszcze nie widziano” (E.Małaczewski).

Oto tajemnica rodzenia się nowego człowieka — w Bogu. Można by — przez analogię — powiedzieć o każdym z nas, że i do nas posłał Bóg swojego Syna i oznajmił nam: „poczniesz i porodysz Syna”. I nam wyjaśnił, jak się to stanie: Duch Święty zstąpi na ciebie i moc Najwyższego cię ogarnie. A to co się narodzi z ciebie, z twojego życia, Święte, nazwane będzie Synem Najwyższego. Sam Chrystus powiedział: „Każdy kto słucha słowa Bożego i pełni je, będzie Mi i bratem, i siostrą, i ... matką” (por. Łk 8,21).

Właśnie do tego zmierzamy, do Bożego rodzicielstwa, które ma się w nas dopełnić przez trynitarnie działanie Ojca, Syna i Ducha. Dzieje się to przez Kościół Boży, który ma misję trynitarną i który działa na nas trynitarnie — od chrztu poczynając, poprzez wszystkie sakramenty, aż do Ofiary Ołtarza, gdy przez działanie Ducha Świętego otrzymujemy Chrystusowe Ciało, aby Je oddać Ojcu wraz z sobą.

Wróćmy do źródeł chrześcijaństwa

Odnowionego, odrodzonego chrześcijaństwa szukajcie nie na peryferiach licznych, bogatych i ciekawych zjawisk życia ludzkiego. Trzeba raczej wejrzeć w głębię Trójcy Świętej, w misterium Boga Człowieka

i Jego Kościoła, aby zrozumieć głębię, godność i wielkość człowieczeństwa. „Dii estis” — „bogami jesteście” (Ps 82,6) — mówi Pismo święte. W tym jest wielkość naszego posłannictwa, powołanie na przyjaciół Bożych. To jest ten nowy, odrodzony człowiek, o którego dopytujemy się jak niespokojny, ewangeliczny młodzieniec: „Co mam czynić, abym wszedł do królestwa niebieskiego?” (Mt 19,16). Co my, świeccy katolicy mamy czynić w Kościele posoborowym? Właśnie to macie czynić: aby w was nieustannie odtwarzał się wzorzec ukazany w Nazarecie — jako program Chrystusa dla Kościoła i jako zadanie każdego z nas.

Musimy poddać się działaniu Stwórcy, który odnawia w nas ład przyrodzony. Musimy poddać się działaniu zbawczej, omywającej, oczyszczającej miłości Chrystusa na Kalwarii; musimy poddać się Duchowi, aby okrąg naszej człowieczej ziemi był napełniony Świętym Duchem Bożym.

Dzieci Boże! Dopytujecie się niekiedy z niepokojem o pogłębione chrześcijaństwo w Polsce, troszczycie się o pogłębienie teologiczne katolicyzmu polskiego. Daję wam dziś odpowiedź może zbyt zwięzłą, pobieżną, ale zawierającą wszystkie istotne elementy odnowy świata. Chciecie zrozumieć działanie Trójcy Świętej w Kościele, w waszych duszach. Wróćcie do jedyne go Źródła, jakim jest Bóg w Trójcy jedyny.

Z tymi myślami stajemy przed Matką Najświętszą, która nie jest jakimś dodatkiem do dziejów Chrystusa — jak nieraz współcześni ludzie piszą. Nie jest jakimś żenującym detalem w Jego życiu, jakimś elementem historycznym, przejściowym, który wykonał swoje zadanie i odszedł do archiwum. Nie! Sobór przypomina, że Maryja jest obecna i działająca w misterium Chrystusa i Kościoła. A więc trzeba się Jej życiu przyglądać, aby zrozumieć, jak w nas działa Bóg w Trójcy Świętej jedyny. Gdy rozważamy i w naszych sercach, „cóż by to było za pozdrowienie”, cóż to jest za posłannictwo i zadanie, rozumiemy, że Duch Święty zstąpił na nas i moc Najwyższego nas ogarnia. A wtedy rozumiemy wreszcie sens naszego istnienia w Kościele: to co się z nas narodzi Święte, nazwane będzie Synem Najwyższego. Po to w Kościele jesteśmy. (1)

„BÓG NAS PIERWSZY UMIŁOWAŁ”

Narodzenie człowieka, które chcemy określić datami, jest owocem wielkiej miłości Stwórcy — Ojca naszego, który jest w niebie. Dlatego trzeba sięgnąć głęboko do myśli Stwórcy, aby znaleźć początek naszego istnienia. Zapewne, początek istnienia człowieka, w kształcie związku duszy i ciała — jest sprawdzalny doświadczalnie, a tego, co chcemy teraz powiedzieć, nie da się doświadczalnie stwierdzić. Ale jeżeli słyszymy na przykład takie wyjaśnienie, że Bóg nas pierwszy, od początku umiłował, to musimy odwołać się do sposobu działania Boga. My działamy sukcesywnie, jedno działanie następuje po drugim. A Bóg działa całościowo, integralnie. I chociaż w porządku stworzenia istnieją okresy rozwojowe, ewolucyjne, to jednakże w planie i w myśli Bożej człowiek istnieje od początku — od momentu nie dającego się określić.

Chociaż człowiek na świat przychodzi w piątym, dziesiątym, piętnastym czy dwudziestym wieku, wtedy kiedy przyszła pełnia jego czasu — tak jak przyszła pełnia czasu dla Syna Bożego, aby stał się Człowiekiem — to jednak w myśli, planie i zamiarze Bożym istniejemy od momentu nie dającego się w naszym ludzkim pojmowaniu określić, wyjaśnić i zrozumieć. Istniejemy od tego momentu, w którym Bóg zapragnął, abyśmy byli i abyśmy mieli początek sprawdzalny, gdy przyjdzie pełnia naszego czasu. Tak więc człowiek ma właściwie bardzo daleki, daleki początek. A początkiem jego istnienia jest Miłość.

Dlaczego jestem? Dlaczego w tej chwili mam świadomość swego bytu i mogę określić okoliczności mojego bytowania w tym momencie, w tej kaplicy? Dlaczego to się stało? Nie znajdziemy żadnej dostatecznej przyczyny, wyjaśniającej rację naszego istnienia prócz tej, że Bóg nas pierwszy umiłował, od początku.

A ten początek? Właśnie ten początek zda się być bezwymiarowy, kiedy to w myśli Bożej powstał plan stworzenia świata, człowieka, miliardów ludzkich istnień i ... mnie. Mógł święty Paweł nazwać się „*minimus apostolorum*” — najmniejszym z Apostołów — i porównać się z poronionym płodem. Można to Pawłowi wybaczyć dla jego wielkiej pokory człowieka nagle nawróconego, który zrozumiał potęgę woli Boga. Ale rozważając początek naszego istnienia, nie możemy tak powiedzieć o sobie. Musimy pamiętać, że każdy człowiek jest owocem

odwiecznej mądrości Bożego planu upowszechnienia Ojcostwa Boga na świecie.

Człowiek od początku jest owocem miłości Stwórcy, który sam daje tajemniczą moc życia w procesie jego poczęcia i narodzin. Nie rozumiem, jak to się stało — mówi matka synów Machabejskich — ale wiem, że Bóg sam utworzył was w łonie moim. Potwierdza to wcześniej pierwsza matka żyjących, Ewa, mówiąc: „Poczęłam człowieka przez Boga” (Rdz 4,1). Nie przez człowieka, lecz przez Boga, ponieważ istotowe działanie w powstawaniu człowieka jest misterium, zgodnym z odwiecznym, nie dającym się określić, planem Ojca naszego, który jest w niebie.

Sens naszego istnienia

Tak należy rozumieć to powiedzenie, iż Bóg nas pierwszy umiłował. Dla Boga Ojca „umiłować” to znaczy powołać do bytu, do istnienia, do życia. A chociaż ma to miejsce „od początku”, to jednak dopełnia się w określonym czasie. Miłość Boga do nas trwa od momentu powstania planu Stwórcy, od wieków, przez nie dające się obliczyć epoki lat do chwili, gdy nasza matka doznała radości macierzyństwa, bo „oto człowiek na świat się narodził”. Radość matki rodzącej jest radością Ojca naszego, który jest w niebie.

Podobna radość zapanowała z przyjścia na świat Bożego Syna Jezusa Chrystusa w ludzkim ciele, chociaż od początku jest i Ojciec, i Syn, i Duch. Czytamy z wielkim wzruszeniem opisy betlejemskiej nocy. Śpiew aniołów: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”, wywołuje poruszenie wśród okolicznych pasterzy. Postanawiają: „Pójdźmy do Betlejem i oglądajmy to Słowo, które się nam stało, które nam Pan objawił” (por. Łk 2,14-15). Zobaczymy Człowieka, oglądajmy Słowo, które jest Człowiekiem i któremu na imię będzie Jezus. Wielka radość ogarnęła wszystkich. Radość Ojca w niebie, radość Syna-Słowa, że się ciałem stało i zamieszkało między nami; radość, iż „tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby wszelki, który uwierzy Weń, nie zginął, ale miał życie wieczne” (J 3,16).

Tak wygląda tajemnica człowieka chodzącego po ziemi, któremu może się wydawać niekiedy, że nikt go nie miłuje, że nawet Bóg o nim

zapomniał. A tymczasem... Czy może zapomnieć niewiasta niemowlęcia swego? A jeśli by ona zapomniała, Ja o tobie nie zapomnę — mówi Pan. Nie może Ojciec zapomnieć o synu, którego od początku pomyślał, zapragnął i przez miłość powołał do istnienia, które w konkretnym czasie ujawniło się w postaci naszego człowieczeństwa.

Takie jest misterium człowieka. Można się zastanawiać nad przyczyną, dlaczego człowiek chciany przed wiekami, pomyślany przez Stwórcę w Jego planie, ukazał się dziś, a nie sto lat wcześniej czy sto lat później. Zostawmy tę tajemnicę Stwórcy.

Wiemy, że wieki się toczą, czasy upływają, przed ludzkością powstają nowe zadania i muszą one być wypełnione. Bóg Stwórca, dla pełni rozwoju rodziny ludzkiej — jak to pięknie wyklada Jan XXIII w encyklice „Pacem in terris” — powołuje różne ludy i narody i prowadzi je od okresu niemowlęcego, poprzez szczyt osiągnięć i możliwości człowieka, aż do powrotu do Ojca. Każdy z tych narodów musi wypełnić zadanie sobie właściwe, bez zbędnych interwencji obcych ludów, aby okazała się pełnia możliwości rodziny ludzkiej. Świat przemilczał tę encyklikę, która jest naprawdę awangardowa, jest proroczym spojrzeniem w przyszłość rozwoju rodziny ludzkiej.

Bogu potrzebny jest konkretny człowiek dla podjęcia zadań, które są do wypełnienia właśnie dziś. O to tylko idzie, aby człowiek użył swojej rozumności i dobrej woli dla zrozumienia sensu swojego istnienia, które jest z miłości, przez miłość i dla miłości.

Jesteśmy owocem miłości Ojcowej. Przyszliśmy na świat przez pokorną służbę naszych rodziców wobec Stwórcy — przez służebnicę Pańską, naszą matkę i przez naszego ojca — których zadanie jest tak skromne w poczuciu człowieka. Można by mówić o ojcu raczej jako o opiekunie współdziałającym z Bogiem w tym misterium życia, jakie z woli Stwórcy dzieje się pod sercem matki, która poczyną człowieka przez Boga.

Muszę więc pamiętać o tym, że istnieję z woli Stwórcy. Taka była Jego Ojcowska wola, by mieć na ziemi jeszcze jednego syna, który będzie się nazywał Wojciech, Jerzy, Bartłomiej, Maciej, Stanisław, czy jeszcze inaczej. Świat doda mu nazwisko, zarejestruje w statystykach, wyda dowód osobisty. Lecz doprawdy tak niewiele ma do zrobienia w dziedzinie jego istotowego bytu. Stwierdza tylko fakt istnienia człowieka, ale dotąd ciągle jeszcze nie rozumie tego faktu. Najlepszym dowodem na to

są liczne dywagacje myśli ludzkiej na temat człowieka: „Kimże jest człowiek?” — „Człowiek, istota nieznana...” Zastanawiał się nad tym i oświecony duchem Bożym mędrzec, pytając: „Kim jest człowiek, że go tak uwielbiasz, o Boże?”

Zadaniem człowieka jest zrozumieć wielkość miłości Boga, który tak nas umiłował, że chciał naszego zaistnienia, bytu, w określonym czasie. Mam zrozumieć sens mojego życia dziś i zadania, które mi Stwórca wyznacza przez Chrystusa i przez Ducha Świętego na dziś! To jest mój obowiązek! Jednego nie wolno mi powiedzieć, że Bóg o mnie zapomniał. Skoro On nas pierwszy umiłował i przekazał nam swoją miłość, muszę pamiętać, że ta miłość jest czynnikiem stwórczym mojego bytowania i zobowiązuje mnie w całym życiu. Nieraz może mówię: miłuję Cię, mój Boże — Boże, Miłości moja. A właściwiej byłoby pytać: czy miłujesz mnie, mój Boże? Czy jeszcze mnie miłujesz? Czy pomimo wszystko miłujesz? — Tak trudno pojąć, że pomimo całej mojej niegodności, Ty mnie miłujesz!... A może przestałbyś mnie miłować, gdybym uczynił coś takiego, że stałbym się odrazą dla Ciebie...

O, nie! Miłość nie umiera. Gdy przed wiekami poczęła się i objawiła w tobie, w twoim istnieniu, nie może umrzeć. Bóg jest wszechmocny we wszystkim, może nawet ograniczyć przez miłosierdzie swoją sprawiedliwość, ale jest „bezsilny”, gdy idzie o tę właściwość, którą w swej Istocie jest — „Deus caritas est” (1 J 4,8). Nie może mnie nie miłować. Nawet ziemski ojciec ma słabość do dziecka, a cóż dopiero Ojciec Niebieski, który jest istotową miłością. Ta Jego miłość, przez którą powstałem, jest „słabością” Stwórcy wobec mnie — stworzenia. On jest bezsilny wobec tej miłości, dzięki której ja jestem. On mnie pierwszy umiłował. To On zaczął i nie może przestać mnie miłować.

Jaka to wielka pociecha, gdy rozważam wszystkie swoje słabości, moją lichotę, błędy, grzechy i upadki.

Ludzie starają się zakwalifikować swoje winy, mówiąc: to jest jakieś zapomnienie, to „peccatum ommissionis”, to może jest „lewe”, a to „prawe”. I słuszny jest ten wysiłek. Ale pomimo wszystko największym grzechem jest zwątpienie: czy Bóg mnie miłuje? Czy Bóg mnie jeszcze miłuje? I tego człowiek dopuścić się nie może! Byłby to grzech przeciwko Istocie Boga, który jest miłością.

Każde dziecko znakiem miłości Boga

Oto koleba człowieka, człowieczeństwa, rodziny, rodzących się w rodzinie dzieci, które umieszcza pod sercem matki bardziej Ojciec Niebieski, niż ojciec ziemski. Tak wielka jest miłość Boga ku rodzinie, że nawet swojemu Synowi w Nazaret stworzył rodzinę, chociaż Boży Syn, Słowo Przedwieczne, mógłby się obyć na ziemi bez rodziny. Tak świętą sprawą jest rodzina, iż jej założenie nazwał Apostoł „sakramentem wielkim w Chrystusie i w Kościele”. Rodzina jest wyrazem woli Stwórcy. Wprawdzie rozumnej istocie ludzkiej pozostawiono pole działania, które dzisiaj nazywa się planowaniem rodziny czy świadomym rodzicielstwem, ale w pełni świadome rodzicielstwo, a więc świadoma myśl stwórcza jest w Bogu Ojcu. Na ile człowiek ją zrozumie, na tyle też wypowiada swoją miłość we właściwy sposób w życiu rodzinnym. I owoc tego życia wita zawsze z radością jako znak nawiedzenia Bożego. Tak myślały matki izraelskie, mówiąc: „Poczęłam człowieka przez Boga”. „Błogosławiony owoc żywota twojego” — powiedziała Elżbieta do Maryi. Można to powiedzieć o każdej matce, ale trzeba zarazem uświadomić sobie, że jest to owoc i własność Ojca Niebieskiego.

Człowiek może ograniczyć plan poczęcia, ale nie ma już władzy nad poczętym owocem żywota swego, bo pochodzi on z Łona Ojca. Pamiętajcie, iż każde dziecko w rodzinie to jeszcze jeden znak, że Bóg miłuje; że tego mojego syna miłuje od początku, podczas gdy ja miłuję go od chwili, gdym ujrzał go na swoich ramionach. Ja miłuję lepiej lub gorzej, ale Bóg jest Konkurentem w miłości do mojego dziecka, bo On je od początku umiłował. On je chciał! — chociaż mówi się o dzieciach „niechcianych”. Bóg je chciał i lepiej je miłuje aniżeli ja. Nie ma matki czy ojca tak bardzo miłujących, aby mogli sprostać miłości Boga ku swojemu dziecku. Jeżeli Bóg aż tak miłuje mojego syna czy córkę, i to od początku, jaka wielka stąd rodzi się odpowiedzialność współdziałania z Ojcem Niebieskim! (...)

Schemat Kaina i Abla powtarza się przez wieki: schemat Kaina godzącego w życie dlatego, że brat jego jest miłowany przez Boga, i schemat Abla, padającego ofiarą prześladowania braterskiego. Kain wiedział, że ofiary Abla miłe są Bogu, bo dym idzie w niebo, a z jego ofiary dym tłucze się po ziemi, trzyma się kurczowo ziemi, nie idzie

w górę. Wytyczony schemat nieustannie powtarza się, choćby nawet w dzisiejszej walce niewierzących „Kainów” z wierzącymi „Ablami”.

Ale nawet w takiej sytuacji, zda się krańcowej, Bóg swojego planu nie pozwoli zniszczyć. Dlatego też jest błogosławiony Owoc żywota Maryi — Jezus Chrystus, nasz Brat, Droga, Prawda i Życie, Owoc Ojcowej miłości ku nam, abyśmy wiedzieli, że pierwszym i najważniejszym przykazaniem jest: „będziesz miłował”. Pierwsza miłość — ku Bogu, Bożemu Synowi, ku całej Trójcy Świętej; miłość ku Matce Słowa Wcielonego, a następnie — miłość Kościoła, który uczy miłować, miłość rodziny, dzieci, które się rodzą z miłości Ojca. Ta hierarchia miłości — „ordo caritatis” — ma wypełnić całe nasze życie. Ma to być życie z miłości, w miłości i ma prowadzić ku miłości Tego, który nas pierwszy umiłował — ku Bogu. Uwierźcie tej „dobrej nowinie”. (2)

SYNTEZA BOŻEGO I LUDZKIEGO...

I

Bóg w swym planie dąży nieustannie do doskonałej jedni, do jedności, którą pragnie utrzymać w naszej duszy i w całym świecie. Dlatego „Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami” (J 1,14) — tu, wśród ludzi. W ten sposób myśl o Bogu — teologia, cały światopogląd katolicki przedziwnie się konkretyzuje. To nie jest gdzieś „in abstracto”, gdzieś daleko, to nie są niedotykalne, niedosiężne ideały. Przeciwnie, idzie o to, abyśmy dotknęli się Boga, choćby dłońmi Tomaszowymi, abyśmy nasze palce, przy jakimś eksperymencie religijnym, włożyli w bok Boga, dotknęli Jego ran i nie byli już niewierzącymi, ale wierzącymi. To doświadczenie religijne musi być jak najbardziej osobiste i wewnętrzne, to znaczy musimy mieć głęboką świadomość, że Bóg nie jest abstrakcją, choć to „Deus absconditus”, ale że w wymiarach potrzeb ludzkich Bóg jest „incarnatus”, jest wcielony.

Bóg nieustannie wciela się w ład tego świata

Bóg wcielił się nie tylko w akcie Zwiastowania w Nazaret, ale nieustannie wciela się w ład tego świata i naszego osobistego życia. Jesteśmy nie tylko ochrzczeni i nauczani w imię Trójcy Świętej, ale Ją w sobie nosimy. „Czyż nie wiecie, że świątynią Ducha jesteście, że Duch Boży mieszka w was?” „Ciała wasze są poświęcone Bogu, noście więc i święćcie Boga w ciałach waszych” (1 Kor 3,16). „In corpore vestro” — w ciałach waszych. Nie tylko w duchu, w subiektywnym odczuciu Boga, jest On obecny, ale w konkretny sposób jest w nas i tam działa. „Ojciec mój działa aż dotąd, i Ja działam” (J 5,17). Jest to działanie Boga, w Trójcy Świętej jedyne, w konkretnych wymiarach naszego osobistego życia. Na tym polega interwencja Boża w świecie, interwencja, która dąży do skonkretyzowania naszego życia.

Przez nas ma się ona przenieść i udzielić światu. Bóg przez człowieka zespolonego ze sobą wewnątrznie, napelnionego Bogiem, działa teraz na wszystkie inne sprawy. Przez nas sprawia, że „caelestia, simul et terrena” — sprawy niebieskie i doczesne razem przeniknięte są duchem Bożym. Aby tak było, człowiek musi to uczynić, według polecenia, które ongiś usłyszał, w pierwszym najbardziej ogólnym programie, danym przez Boga: „Czyńcie sobie ziemię poddaną” (Rdz 1,28). Teraz ma to czynić w najbardziej konkretnym wymiarze wszystkich przejawów życia. Czynić sobie ziemię poddaną, to znaczy Bożą ziemię poddać Bożemu człowiekowi, temu, w którym żyje Bóg w Trójcy Świętej jedynej. (...)

Człowiek Boży a człowiek bezbożny

Gdy tak spojrzymy na życie ludzkie, życie człowieka, realizującego plany Boże, lepiej pojmujemy, co to znaczy człowiek Boży i człowiek bezbożny — bez Boga.

Człowiek Boży — w różnych okresach inaczej — sprawia, że cały świat, ze wszystkimi jego zjawiskami, jest wrażliwy na Boga. On pragnie Boga dla świata, dla codziennego życia i wszystkich jego spraw, aby dokonywała się inkarnacja Boga we wszystkie sprawy życia ludzkiego. Niektórzy to nazywają „teokracją”, chociaż w rzeczywistości tak nie jest,

ponieważ Bóg udziela człowiekowi swoich sił i zobowiązuje go do działania. Nie Bóg będzie działał, tylko człowiek. Stąd pochodzi moc chrześcijańskiego humanizmu człowieka, przez którego działa Bóg.

Nie można tego przeciwstawić ateokracji, jak się niedawno wyraził jeden z pisarzy katolickich, analizując sytuację w Polsce. Określił ją: ateokracja, czyli życie i władanie bez Boga. Istotnie dziś istnieje działanie z Bogiem i przeciwko Bogu. Te dwie siły w jakiś sposób się spotykają. Jedna, która pragnie, aby Bóg działał przez człowieka i nadawał światu oblicze Boże na sposób ludzki. Chrystus nadawał światu oblicze Boże, po ludzku — „incarnatus”. I druga siła, która absolutnie nie chce Boga na ziemi i w jej sprawach, dlatego też zapowiada nową formę ustroju: ateokrację. Jest to królestwo szatana, któremu się przeciwstawia królestwo Boże. Królestwo szatana jednakże posługuje się przeważnie wszystkimi urządzeniami ludzkimi, aby obrócić je na walkę z Bogiem. Natomiast królestwo Boże, które w nas jest, na tym polega, że człowiek uświęcony, Boży czyni Bogu miejsce we wszystkich sytuacjach i sprawach doczesnego i ziemskiego życia. (...)

Każdy z nas jest człowiekiem Bożym

Kościół Boży nieustannie nam pomaga, aby w nas był Bóg, aby On dobrze w nas się czuł; przygotowuje nas do tego zadania, by przez nas i nasze życie docierał do wszystkich miejsc, spraw i stosunków, by nadawać im Boże oblicze i charakter.

Wszystko, co mówię, Drodzy moi, nie jest wam obce, bo przecież to jest świat naszych myśli od młodych lat, od czasów akademickich. Tak pojmowaliśmy chrześcijaństwo, które nie jest wyobcowane z życia. Bóg nie wisi na drzewie, ale na nas. Jest przybity do nas, do naszej osobowości. On jest w nas i odmienia nas, upodabnia na obraz swój i przez nas, przez ludzi Bożych — działa. Możemy być zażenowani nazwą „człowiek Boży”, którą sobie przypisujemy, ale, Drodzy moi, nasza żenada nic tu nie odmieni, bo w rzeczywistości tak jest. W mniejszym czy w większym stopniu, zawsze, Najmilsi, będziemy uczestniczyli w życiu Bożym i każdy z nas jest „homo Dei”. Gdybyśmy nawet przegrali sprawę Bożą w naszym życiu, to nie przestaniemy być dziećmi Bożymi. Tragiczny będzie widok dzieci Bożych oderwanych na wiecz-

ność od Boga. Będzie to ogromny mankament w uniwersalnym planie Boga, który chce wszystko i wszystkich uszczęśliwić. Z planu Bożego, jak gdyby z jakiejś wspaniałej mozaiki wypadną kamyczki, które obraz uszkodzą, ale go nie zniszczą. W jakimś stopniu go uszkodzą i już ten obraz nie będzie taki wspaniały. Jak bardzo brak nam będzie tych właśnie kamyczków! Ufamy, przez Boże Miłosierdzie, że będą to nieliczne kamyczki, że na ogół z Bożej mozaiki nic się nie zniszczy, bo „Deus non irridetur”. Bóg nie da sobie swojego planu zniweczyć. Już teraz zapowiada księga Apokalipsy: „Ecce nova facio omnia”. Przerażająca obrazy zniszczenia, apostazji, odstępstwa, kończą się słowami: „Oto nowymi uczynię wszystkie rzeczy” (Ap 21,5). Wola Boga utrzymania planu i oblicza Bożego na sprawach ludzkich ostatecznie zwycięży. Chociażbyśmy i my, Drodzy moi, z pewną żenadą przyjmowali dla siebie nazwę „homo Dei” — człowiek Boży, musimy nabrać szlachetnej ambicji, potężnej woli, aby nie zostać kamyczkiem, który się odrywa od mozaiki. Czuwajmy nad tym, aby wszyscy w obrazie Bożym, w Bożym planie się utrzymali. Na tym polega apostołstwo, współdziałanie z Bogiem, aby Jego plan był wykonany, aby ziemia istotnie miała oblicze Boże.

Największe pragnienie Chrystusa: „aby byli jedno”

W naszym myśleniu od czasów akademickich, gdy zgłębialiśmy nasze chrześcijaństwo, by lepiej je przeżywać, zawsze mieliśmy przed oczyma ideał jedności. Nie tylko jedności Słowa Przedwiecznego z człowieczeństwem Jezusa Chrystusa i naszej indywidualnej jedności z Trójcą Świętą, w Imię której jesteśmy ochrzczeni, ale i jedności świata, w środku którego stoi — jednoczący przez wyciągnięte ramiona — Krzyż, z którego spływa na wszystkie narody Krew, która ma je omywać i jednoczyć. Ten, „qui facit utraque unum” i jedno sprawuje ze wszystkich części, wyraził największe pragnienie, „aby byli jedno” (J 17,20).

Doskonała jedność, Drodzy moi, polega nie tylko na jedni porządku nadprzyrodzonego, ale i na jedności porządku przyrodzonego z porządkiem nadprzyrodzonym, aby porządek nadprzyrodzony nie „wisiał” w powietrzu. Nawet Bóg, gdy przychodził na ten świat,

musiał się oprzeć na jakimś porządku naturalnym, i dlatego się wcielił, stał się człowiekiem. Nie zawisł w powietrzu, tylko na krzyżu, na drzewie krzyża. A więc i tu „gratia supponit naturam”. Doskonała jedność w planie Bożym polega na harmonii między porządkiem przyrodzonym i nadprzyrodzonym. Porządek nadprzyrodzony tak działa na ład przyrodzony, iż życie na świecie staje się Boże, a jak pięknie mówi Papież w encyklice „Quadragesimo anno” — staje się w ogóle możliwe.

Z własnego doświadczenia poznajemy, że bez życia religijnego, albo w jego zakłóceniu, nasze życie osobiste staje się ciężkie i trudne. Tak samo, Najmilsi, gdy jest w gromadzie ludzkiej uwielokrotniona tragedia życia bez Boga, może ona zaciążyć na życiu ludów i narodów. Jeżeli jeden człowiek żyjący bez Boga i ładu Bożego wpada w rozpacz i staje się ciężki dla siebie i dla innych, to czym może być dla ludzkości i dla ziemi gromada ludów i narodów skłócona wewnętrznie, bez Boga i mocy Bożych. Stajemy wtedy na granicy piekieł i niemalże zabawką wydają nam się fantazje dantejskie z „Divina commedia”. Wszystko to jest mało w porównaniu z rzeczywistością, którą gotuje nam świat współczesnej ateokracji. (3.1.)

II

Trzeba wybierać!

„Nie możecie służyć Bogu i Mamonie” (Mt 6,24). Trzeba wybierać i syntetyzować, trzeba widzieć ostateczny, najwyższy sens życia tego świata. A zarazem „przypatrzcie się” — przypatrzcie się dobrze, otwórzcie oczy; „przypatrzcie się liliom polnym i ptakom niebieskim” (por. Mt 6,26), a więc poznawajcie świat i życie, umiejcie wnikać w jego sens — w sens świata i stwórczej woli Boga. Przypatrzcie się! Chrystus, który przyszedł z łona Ojca, a więc był w łonie Ojca i poznał tam wszystko, niesłychane tajemnice Bożego życia w Trójcy Świętej, On sam otwiera nam oczy. Każe przypatrzeć się liliom polnym i ptakom niebieskim, jak gdyby chciał nam zwrócić uwagę na to, że jakkolwiek „Pańska jest ziemia i napełnienie jej”, jednakże Bóg daje ludziom nakaz: „Czyńcie sobie ziemię poddaną” (Rdz 1,28). Ale i tu musi być jakaś

hierarchia i jakiś syntetyczny ład. Nie można służyć Bogu i Mamonie. Nawet w porządku przyrodzonym, w życiu pełnym trosk i spraw, musimy dostrzec Boga, sens Boży. Gdy w swoim trudzie codziennej pracy, w pracy zawodowej, w badaniach naukowych i lekturze, przyglądacie się liliom polnym i ptakom niebieskim, nie możecie zapominać o tym, że trzeba naprzód szukać „królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam przydane”.

Do takiego myślenia, Najmilsi, Koleżanki i Koledzy, przyzwyczajaliśmy się jeszcze w czasach studiów akademickich. Przez przedziwną łaskę Bożą dane nam było — chociaż tylu kolegom i koleżankom nie było dane — dostrzec od początku to światło przewodnie naszych najrozmaitszych wysiłków umysłowych. My od razu zobaczyliśmy, że naprzód trzeba szukać królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, że „Corpus Christi mysticum” ma w sobie przedziwną syntezę. Synteza ta poczęła się pod sercem Matki Boga, gdy Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami, gdy to Najwyższe, Wspaniałe, Niedosiężne uwikłało się w sprawy ludzi, w życie, w ciało i krew, jak każdy z nas. I chodziło po tej ziemi ludzkimi nogami, zetknęło się z realizmem, z rzeczywistością świata, życia, aby poznawszy to życie, jego wartość, jego sens, mogło powiedzieć: „Szukajcie naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam przydane” (Mt 6,33).

Filozofia beznadziejności XIX wieku a katolicka filozofia miłości

Najmilsi! Wyszliśmy z pokolenia, które stało na progu bankructwa. My jesteśmy z wieku XX, a wiek poprzedni, XIX, przefilozofował życie ludzkie. Byliśmy zasypani teoriami, doktrynami. Wiek XIX to był wiek płodności filozoficznego myślenia, ale jakże beznadziejnego i mało skutecznego! Może do dziś dnia padają jeszcze te kłosa, podcięte śmiercionośną kosą bezdusznej filozofii wieku ubiegłego? Niedawno umarł w tragiczny sposób człowiek, produkt filozofii wieku ubiegłego, człowiek, który stracił nadzieję. Napisały o nim nawet warszawskie pisma, że musiał tak skończyć, bo tak myślał. Jego myślenie filozoficzne, jego filozofia beznadziejności musiała doprowadzić do tego, do czego doszedł. Nic innego nie pozostało do zrobienia, rurka w usta i duch wystraszony — poszedł. Na pewno poszedł do Boga, bo to był człowiek

uczciwy, rzetelny. Może to nie jego wina, że środowisko zbankrutowanej filozofii przefilozofowało. Zapomniał o tym, że trzeba syntetyzować. Stał się samotnikiem, bo myślał, że zaprzeczy prawdzie, którą Bóg ustanowił jeszcze w raju: „Biada człowiekowi samemu”. Skończyło się tak, jak się skończyło. Wiemy dobrze, że człowiek nie może być sam — „Biada człowiekowi samemu” — dlatego też w porządku i przyrodzonym, i nadprzyrodzonym musi istnieć to: „Vos estis Corpus Christi et membra de membra” — jesteście członkami jedni drugich.

Wy jesteście ujęci w te macierzyńskie ramiona Kościoła, który łączy, który zespala, który wam przypomina: braćmi jesteście. Jesteście dziećmi tego Kościoła, który choć mówi, że obcowanie nasze jest w niebie, jednocześnie naucza: „Przypatrzcie się liliom polnym, przypatrzcie się ptakom niebieskim” (por. Mt 6,26n). Wbrew temu, co się niekiedy filozofii i ascetyce katolickiej przypisuje, prawdą jest, że człowiek urodzony z niewiasty, napełniony wielkimi udrękami, żyjący krótko, ostatecznie tu, na tej ziemi zbawia się i tu się uświęca. Jak sam Bóg okrywa się ciałem, aby Słowo także i w nas ciałem się stało i mieszkało między nami. Taka jest filozofia społeczna, filozofia życia, filozofia miłości, filozofia rzetelnego postępu i przyszłości, która nie rozdziela ludzi, ale ich łączy wszystkimi siłami i ludzkimi, i Bożymi — nadprzyrodzonymi.

Nowe niebezpieczeństwo

Dzięki pomocy Kościoła Bożego i wierze jaka w nas jest, wyrwaliśmy się z tej śmiertelnej fali, która zdawała się odbierać całkowicie nadzieję polskiej inteligencji i wpędzać ją w zaułki filozofii beznadziejności. Dziś, Najmilsi, stajemy wobec nowego niebezpieczeństwa, równie groźnego jak poprzednie, z tą różnicą, że tamto dewastowało umysł człowieka współczesnego, a to usiłuje skierować wolę człowieka ku temu, co tylko z tej ziemi, co z tego świata. Wyrazem zda się dekadencji ambicji ludzkich jest ten przerażający edykt (n.red. — ustawa sejmowa przeciwko życiu nienarodzonych), który jest wprawdzie owocem umysłu i woli ludzkiej, ale w zastosowaniu nie liczy się ani z prawami rozumu, ani woli.

I oto szukamy światów! Ciasno nam na tej ziemi, nie ma zaufania do niej. Budzi się nadzieję, że może gdzieś poza ziemią stworzy się możliwości życia dla istoty ludzkiej, dla człowieka. Ci, którzy stracili wiarę i ci, którzy jeszcze jej nie stracili, odwracają się jak gdyby plecami do matki ziemi i chcą szukać ratunku w przestworzach. Ale jeden z myślicieli współczesnych, marksista, i przed tym ostrzega. Obchodził uroczystości jubileuszowe twórczości literackiej i po pięćdziesięciu latach pracy piśmienniczej, chwalony, odznaczony, w dobrobycie — jak i tamten, ofiara filozofii beznadziejności — zrozumiał i doszedł do wniosku, że nie o to idzie, czy człowiek trafi na Marsa, czy nie trafi, tylko o to, jaki będzie ten człowiek, który tam pójdzie. Jaki ten człowiek będzie? A więc znowu problem człowieka. To, co zda się, jest zdobyczą XX wieku, wyczytaliśmy w Ewangelii sprzed dwudziestu wieków. Azali człowiek nie jest ważniejszy, aniżeli to wszystko? Azali nie jest ważniejszy?!

I przed naszym pokoleniem — może nie tyle przed nami, Koleżanki i Koledzy, ile przed wami, dzieci moich koleżanek i kolegów — stanie ten wielki problem jaki będzie ten człowiek, który zdobędzie przestworza, i co on tam zanieśie? Patrzcie, Najmilsi, tego nie mówi ksiądz katolicki, to mówi Ilia Ehrenburg! Czytamy o tym w gazetach warszawskich. Te dwa tylko zdarzenia dostarczają nam argumentów myślowych, że na początku wielkiego zwycięstwa jest jakieś olbrzymie bankructwo, które jest chyba niedobrą zdobyczą naszych czasów. Zdobyczą naszych czasów będzie raczej to, co Chrystus powiedział przed dwudziestu wiekami: „Nie można służyć zarazem Bogu i Mamonie”, ale Mamonę trzeba poddać sprawom Bożym. I chyba nadal będzie chowała nas ziemia — nasza ziemia — którą mamy czynić ziemią sobie poddaną.

Najważniejszy jest człowiek

Przypatrzcie się, wy młodzi, ptakom niebieskim i liliom polnym. Po wszystkich kapitalizmach i kolektywizmach, to znaczy po ich śmierci, którą one same sobie zapewnią, będzie głoszone jako nowe odkrycie: błogosławiony Owoc żywota twojego, Maryjo. Błogosławiony owoc żywota twojego, matko — człowiek! Z mądrości sprzed dwudziestu

wieków czerpcie przekonanie na XX wiek, że istotnie człowiek ważniejszy jest, niż cokolwiek innego: „Azali wy nie ważniejsi jesteście, aniżeli one?” Ważne są one, ale wy ważniejsi! Trzeba to stwierdzić.

Cywilizowane, kulturalne, humanistyczne narody, które stojąc na ziemi ze złożonymi ku niebu dłońmi, z podniesionym czołem, patrząc śmiało Ojcu swemu w oczy, od Ojca, który jest miłością — „Deus caritas est” — będą brały miłość dla ziemi. Wezmą ją dla ludzi, dla ptaków niebieskich i lilii polnych, dla całego świata, który jest nam dany z nakazem: „Czyńcie sobie ziemię poddaną”. Tu się uświęcajcie, tu się zbawiajcie, poprzez tę ziemię i środki, które Bóg daje „szukajcie królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko — o co słusznie się troszczycie i powinniście się troszczyć — to wszystko będzie wam przydane”. (3.2.)

PRZENIKANIE BOGA W ŻYCIE LUDZKIE

Wiecie doskonale, Najmilsi, co to jest wszczepianie się Boga w życie nasze osobowe. Doświadczacie tego ciągle, doznając łaski wiary, żyjąc mocą łaski uświęcającej i władając sercem, z pomocą i pod natchnieniem Bożego Serca. Dla większości z was nie jest to teoria! Wielu z was przeszło przez życie w światłach Ducha Chrystusowego. Macie ubogaczone życie religijne, poszerzoną praktycznie wiedzę teologiczną i „sprawdzalną” wiarę, do której podchodziliście często teoretycznie. Stała się ona dla was dzisiaj i zrozumieniem, i wiedzą, i osobistym doświadczeniem, i niezaprzeczalną własnością, tak, iż żadna już wątpliwość dzisiaj nie powstaje, co to znaczy Bóg wszczepiony w życie ludzkie.

Bóg działa w konkretnych warunkach

Ale to, co jest naszym osobistym szczęściem i udziałem, Najmilsi, nie zawsze i nie dla wszystkich ludzi jest dostępne. Dlatego też powstają niekiedy wątpliwości, czy to, czego doświadcza człowiek w życiu osobistym, istotnie jest możliwe. Czy więc możliwe jest wszczepienie się

Boga w życie pozaosobowe, w życie społeczne rodziny ludzkiej? Raz po raz ponawiane są próby, aby społeczne życie ludzi tak urządzić, iżby całkowicie wolne było od dążenia Boga Wcielonego, który zapragnął się wszczepić w życie rodziny ludzkiej.

A przecież rzecz znamienne, Bóg, który tworzy wzory działania dla całej rodziny ludzkiej, dokonał swego wszczępienia w życie ludzi w konkretnych warunkach i w konkretnych stosunkach społecznych. Nie stało się to gdzieś na niedostępnym Parnasie, w obłokach, czy w nieuchwytej przestrzeni. Wcielenie Boga Człowieka dokonało się w Nazaret, objawiło się w Betlejem, na ramionach Kobiety, wziętej z tej ziemi; czerpało ze wszystkich właściwości, mocy i darów, które Bóg dał człowiekowi, aby wypielęgnował nowe życie i przekazał je wiekom. Dlatego widzimy Boga na ramionach Matki. Dlatego widzimy Go, jak dopomina się o ziemski Jej pokarm, jak oczekuje od Niej macierzyńskich ramion, jak nie jest Mu obojętna Jej obecność, nawet na Kalwarii.

Widzimy, jak wchodzi w życie domowe Rodziny Nazaretańskiej, jak poddany jest wszystkim obyczajom i prawom swojej społeczności narodowej. Wszędzie wchodzi i wszędzie jest obecny. Ślady Ewangelii wskazują, jak Bóg Człowiek, który przyszedł z łona Ojca, umiał chodzić po ziemi, jak dostrzegał jej szczegóły i drobiazgi, jak nic nie uszło Jego uwagi: niewód zapuszczony w wodę, ziarno rzucone w ziemię, osty, kąkol i ciernie; trzody owiec, które się pasły na zboczach nagich wzgórz i niedola ludzka — rozgorączkowane główki dzieci, niewiasty cierpiące i płaczące, ojcowie oczekujący uzdrowienia dzieci. To wszystko było w zasięgu detalicznej uwagi Boga Wcielonego.

Czyż nie świadczy to o Jego intencjach?! On pragnie, Najmilsi, aby życie ludzkie przeniknięte było we wszystkich szczegółach przedziwną mocą dobroci, miłości i mądrości Boga, żyjącego wśród ludzi. To są szczegóły, które mają wymowę bardzo osobistą i bardzo detaliczną. My ją najbardziej może rozumiemy, bo dotyczy nas bezpośrednio i budzi wielkie nadzieje. Słowo Przedwieczne, Syn Boży, wszczępił się w konkretne warunki bytowania ludzkiego w Rodzinie Nazaretańskiej, uświęcił ją i stał się niejako Łącznikiem między Maryją a Józefem, tak, iż widzieliśmy pierwszą „Rodzinę Bogiem silną”. I oto Bóg Wcielony zapragnął, aby Jego Wcielenie indywidualne upowszechniło się jak zaczyn, który wrzucony do mąki przenika swymi mocami całą jej miarę.

Instytucja, w której żyje Bóg

Taki jest właśnie Kościół powszechny! To jest instytucja, w której żyje Bóg Wcielony! I znowu znamienna rzecz, że Chrystus nie wybudował swojego Kościoła między gwiazdami, gdzieś w abstrakcji, w próżni, ale wybudował swój Kościół na opoczystym, na człowieku, na biedaku, który się Go zaparł — i to po trzykroć — na Piotrze; uczynił to na ziemi i wszystkie swoje Boże moce przekazał Kościołowi na ziemi, tak jak Krew swoją pozwolił sączyć i spragnionymi ustami spieczonej ziemi przyjąć w swe łono.

Kościół jest na ziemi i dlatego Kościół jest ziemski. Przedziwnie ziemski! Stoi na ziemi tak, jak stał żłób betlejemski wśród gnoju betlejemskiej stajni.

Kościół „siedzi” po prostu na ziemi i wrasta w ziemię. Zapewne, prowadzi z ziemi do nieba. Nie mamy tu przecież mieszkania stałego. Potwierdzają to współcześnie nawet ludzie niewierzący. Ciasno im na ziemi, bo czują, że nie mają tu mieszkania stałego; wydają więc olbrzymie pieniądze na szukanie miejsca w przestworzach. I chociaż głoszą, iż są bezbożnikami, to jednak mają nadzieję, że coś tam znajdą. To jest tylko odbicie tęsknoty człowieka za wiecznością i potwierdzenie prawdy, że nie mamy tu mieszkania stałego. O, będziemy latać i fruwać, będziemy szukać i przemierzać przestworza, bo nie mamy tu mieszkania stałego!

Jednak mamy tu jakieś mieszkanie, bo ziemia jest miejscem, które wybrał Bóg dla dzieci swoich. Dlatego też na ziemi, wśród swoich dzieci, postawił Kościół Boży i kazał mu żyć pośrodku ludzi. Kazał mu żyć stosunkami i sprawami ludzkimi. Były czasy, że ludzie szukający świętości chowali się na górach — jak Benedyktyni, lub w dolinach — jak Cystersi. Ale przyszły inne czasy, gdy ludzie zrozumieli, że uświęcać trzeba się wśród ludzi. Dlatego weszli w najciaśniejsze zakątki miast, jak nasi Dominikanie w Krakowie, czy Warszawie. Dla wybudowania konwentu wykupywali okoliczne działki, aby być jak najbliżej ludzi. To jest pogłębione zrozumienie Wcielenia, obecności Kościoła wśród ludzi. Będąc żyjącym na ziemi Chrystusem, niosąc w sobie Boga Żywego i Wcielonego, Kościół musi być wcielony w życie ludzkie. Musi być najbliższy naszych spraw osobistych, pragnień intelektualnych, dążeń woli, poruszeń serca, wszystkich tęsknot i po-

trzeb naszego życia rodzinnego, narodowego, publicznego, a nawet ekonomicznego.

Działanie Kościoła w życiu narodu

Dlatego też, Najmilsi, błędem jest rozumowanie, że aby pogłębić życie religijne w Polsce trzeba „odczyścić” Kościół od nalotów, które przez wieki ciężkiej walki narosły, jak mech na jego twarzy, pooranej wspólnymi dziejami i niedolami Kościoła i narodu polskiego. Mogą powstać zapędy „purgatorskie”, które pragną jakimś skalpelem odrzeć ten „mech” z dziejów Kościoła w Ojczyźnie naszej. Wydaje się niektórym, w rozpędzie czysto intelektualistycznym, że aby Kościół był należycie rozumiany, musi być oderwany od elementów narodowych, politycznych — w najlepszym tego słowa znaczeniu — a cóż dopiero od swoich zainteresowań, czy penetracji w konkretne życie ekonomiczno-gospodarcze. Wydaje się tym ludziom, że wtedy dopiero Kościół będzie należycie pogłębiany i zrozumiany.

O nie, Najmilsi! Coraz lepiej rozumiemy Kościół i coraz bardziej pogłębiamy swoje zrozumienie dla niego, gdy coraz intensywniej wprowadzamy go w konkretne, codzienne i doczesne życie ludzi, bytujących na ziemi. Kościół jest w życiu narodu jak zaczyn, który wpadłszy w trzy miary mąki działa tam, niewidzialnie może i niedostrzegalnie, ale z dynamiczną siłą i mocą zaczynu, sprawiającego nadprzyrodzony rost całego organizmu społecznego, spełniając swoje zadanie i posłannictwo, wyznaczone mu przez Chrystusa w rodzinie ludzkiej. Tak jak między mężem i żoną działają niedostrzeżenie sakramentalne moce Boże, wprowadzając w ich współżycie pokój Boży, pogłębiając i oczyszczając ich miłość, tak też jest i w życiu narodu.

Kościół w Ojczyźnie naszej nie miał nigdy programów narodowych, ale Kościół działał. Działał dyskretnie, wytrwale i ciągle. Umiał ocierać łzy narodu, umiał krzepić, żywić otuchą i podtrzymywać w najtrudniejszych nawet chwilach.

Wczoraj wieczorem przeglądałem książeczkę napisaną przez rzekomego naukowca, o Piotrze Skardze i jego roli w Polsce. Temu pseudonaukowcowi wydaje się, że Skarga chociaż był wprawdzie patriotą, niewątpliwie lepszego gatunku niż to często dziś bywa, jednak

działał na szkodę Polski. Nazywa się to „nowe widzenie Skargi”! Takie rzeczy „naukowo” się dowodzi i takie książki wydają instytucje naukowe! Są one nawet zalecone jako podręczniki szkolne. Tymczasem my dobrze wiemy, że działalność Skargi to była jeszcze jedna z tysięcy prób penetracji mocy Bożych w życiu narodu, aby naród nie zginął, nie zmarniał! Pewnie, nie miał Piotr Skarga, jak nie miał Kościół święty dywizji wojska, ale działał mocą ducha Bożego i krzywdy narodowi nie zrobił, wbrew wszystkiemu co się dziś o tym pisze.

Takich przykładów możemy znaleźć mnóstwo. Dyskretne i ciche jest działanie Kościoła Bożego, przenikającego życie narodu. Kościół wszczepia się tak dyskretnie w życie ludzkie, jak dyskretnie dokonało się Wcielenie Boga żywego w Nazaret. Po tej linii rozumowania można iść dalej, Drodzy moi! Można przenosić kategorie tego myślenia na wszystkie przejawy życia ludzkiego.

Wszędzie zobaczymy, że Kościół Boży działa przez swą bliskość, przez swą duchową penetrację, a do nas tylko należy być wyciągniętymi ramionami Kościoła do wszystkich przejawów życia ludzkiego: w rodzinie, w narodzie, w państwie, w nauce, w pracy zawodowej, gdziekolwiek. Do nas należy uwrażliwić się na takie działanie Kościoła w rodzinie ludzkiej i w życiu narodu, i czuwać, aby dzisiejsze schematy myślowe nie zniekształciły stylu, który był właściwy odrodzeńczej koncepcji Polski katolickiej. (4)

PRZEZ KRZYŻ — DO NIEBA

Krzyż, który wybrał Chrystus jako narzędzie męki, był oczywiście narzędziem dowolnie wybranym. Śmierć Chrystusa i Jego ofiara mogły być dokonane w inny sposób. Ale Chrystus uczy przez wszystko: przez słowa, czyny i znaki. Znak krzyża jest znakiem wymownym i pouczającym dla wszystkich, którzy zechcą wziąć krzyż swój na ramiona i naśladować Pana. Tajemnica krzyża jest tajemnicą rozwoju Kościoła. A Kościół jest postawiony na znak narodom, stąd tajemnica jego rozwoju staje się również znakiem rozwoju ludów i narodów.

W życiu osobistym, rodzinnym, w życiu narodu i Kościoła, w każdym niemal życiu ludzkim, prywatnym, społecznym, publicznym powtarza się misterium krzyża — skrzyżowanie woli człowieka z wolą rodziny, narodu, Kościoła, ludzkości; skrzyżowanie woli rodziny z zadaniem narodu czy społeczności publicznej, skrzyżowanie woli narodu z rodziną ludów, ludzkości, społeczności ludów ze wspólnotą Bożą, nadprzyrodzoną, z Kościołem.

Wszędzie istnieje jakieś skrzyżowanie, w wyniku którego ktoś podporządkowuje siebie, indywidualnie lub społecznie sprawie, dobru wyższego rzędu. Dopiero z tego powstaje „zbawienie”, dzieło wyzwalające postęp. Dopiero wówczas, gdy przewyciężamy siebie dla wyższego dobra.

Pan Jezus od początku poddał siebie samego nie tylko woli Ojca, ale i woli człowieka. Ten, który miał być ukrzyżowany, spoczął na ramionach Matki, której duszę miecz boleści siedemkroć przeniknął.

W przededniu uroczystości Matki Bożej Bolesnej na Jasnej Górze Zwycięstwa czcimy zwycięski Krzyż i słyszymy słowa pełne optymizmu: „Ja, gdy będę wywyższony od ziemi, wszystko pociągnę ku sobie” (J 12,32). A więc wzór ukrzyżowania, który Chrystus Pan ustanowił przyjmawszy postać sługi, ma odtąd powtarzać się w tylu skrzyżowaniach, w których człowiek, rodzina, naród, społeczność publiczna, Kościół nawet jest pociągany nieustannie do Chrystusa.

Ukrzyżował naprzód Chrystus wyobraźnię ludzi Go otaczających. Myśleli, że On odnowi królestwo Izraela, a tymczasem zginął niesławną śmiercią na krzyżu. To, co było w ludzkiej wyobraźni, z ludzkiego wyrachowania, co było jeszcze nie oczyszczone, co świadczyło o tym, że nie rozumiano do końca spraw Bożych, to miało być oczyszczone. Człowiek miał pojąć głębię; wbrew swoim wyrachowaniom i małym schematom myślowym miał zrozumieć, że nie zawsze myśli ludzkie pokrywają się z myślami Bożymi i nie zawsze są one najlepsze, chociaż mogą sprzyjać osobiście człowiekowi, jego upodobaniom, pragnieniom, potrzebom, najbardziej nawet usprawiedliwionym.

Nieustannie w procesie uświęcania i zbawiania człowieka odbywa się jego krzyżowanie. Kościół upoważniony przez Ducha Świętego będzie powtarzał człowiekowi słowa Pisma świętego: „Bogami jesteście” (Ps

82,6). Będzie stawiał mu postulaty ambitne: „Sursum corda”. Będzie wyrywał ze wszystkich planów zaniżenia osobowego, z wygodnej małości, wtedy gdy człowiek rezygnuje łatwo z wysiłku, z walki ze sobą, z przewycięzania siebie.

I ten człowiek, któremu Pismo święte słowami potwierdzonymi przez Chrystusa przypomina: „dii estis”, ten człowiek, który dzisiaj coraz lepiej rozumie swoje szczytne znaczenie i wysoką godność przewyższającą wszystko stworzenie, nie wyłączając najpotężniejszych wspólnot ludzkich, jednocześnie słyszy, że ma swoją wysoką godność, swoje osobiste koncepcje i poglądy ukrzyżować myślą Bożą, planem Bożym.

Tajemnica służby

Współcześnie człowiek coraz lepiej rozumie sens swojej godności i należne mu prawa, które chętnie wymienia w licznych deklaracjach, konstytucjach, uchwałach ciała ustawodawczego czy instytucji międzynarodowych. Mniej mówi o obowiązkach, więcej o prawach. Człowiek, którego zda się wszystko roznamiętnia, aby pojął i docenił swoją wysoką godność, wysokie przeznaczenie, swą nieśmiertelność biologiczną, społeczną, religijną i eschatologiczną, ten człowiek jednocześnie znajduje się w obliczu wielu sposobności i okazji do ukrzyżowania samego siebie.

W tym leży tragedia współczesności i współczesnego humanizmu, choćbyśmy go nazywali humanizmem chrześcijańskim, że człowiek coraz bardziej rozumie swą wysoką godność, ale często zapomina, że dochodzi się do niej poprzez ukrzyżowanie samego siebie, poprzez ofiarę z siebie i postawę służby. Tak daleko poszedł człowiek w tej dziedzinie, że nie chce nawet słyszeć o żadnej formie służebnictwa. I chociaż jest uspołeczniony, chociaż żyje w czasach socjologizmu, chociaż stworzył mnóstwo najrozmaitszych form uspołecznienia, chociaż nawet organizacje publiczne mają dzisiaj charakter i postawę służby — człowiek nie lubi służyć. I chociaż wie, że w swej osobowości, w swym charakterze, w swym powołaniu jest tak bardzo zależny od Stwórcy, który go wyprowadza z nicości i wyzwala z wszelkiego nihilizmu, jednakże człowiek współczesny bardzo pracuje na rzecz umocnienia się psychiki, atmosfery, postawy społeczności nihilistycznej. Ten nihilizm rozpoczyna od zafałszowanego ubóstwienia samego siebie.

Stąd człowiek współczesny nie lubi słów „służba”, „służyć”. Nie umie podporządkować się społecznie, stać się nawet niewolnikiem miłości, chociaż stale sprawdza się to, że nie ma miłości bez podporządkowania się, poddania, bez wyrzeczenia się siebie, swoich upodobań, a może swojej woli, swojego sposobu rozumienia i chodzenia własnymi drogami. Dlatego, że człowiek nie chce ukrzyżować swoich namiętności, jest tyle tragedii i w życiu osobistym, gdy walczą w nas sprzeczne porywy i dążenia, i w życiu społecznym, a zwłaszcza w życiu rodzinnym.

Ideałem dla chrześcijanina w życiu Kościoła jest służba. Chrystus Pan usiłował nas przekonać o tym, że mamy przyjąć jak On postać sługi. Dlatego dawał przykłady, stawiał pytania, prowadził swoisty dialog z ludźmi, gotowymi do ubóstwienia, ale nie znającymi drogi.

Któż większy na tym świecie — mówił Chrystus w Wieczerniku — czy ten, który siedzi za stołem, czy ten, który służy? A Ja przyszedłem do was jako ten, który służy. I pokazał to Piotrowi na wymownym przykładzie, gdy chciał mu nogi umyć. Bóg — człowiekowi! Broni się człowiek: „Nie będziesz mi, Panie, umywał nóg”. — „Jeśli ci nie umyję nóg, nie będziesz miał części ze Mną”, nie zrozumiesz sensu mojej służby i sensu współzycia ludzi w służbie. — „Panie, wszystko umyj: i ręce, i nogi, i głowę” — doprasza się Piotr. A Chrystus mu wyjaśnia: „Wystarczy, bym ci nogi umył. Głowy ci nie będę zmywał, nogi ci umyję” — mówi Chrystus. „Wy teraz tego nie rozumiecie co Ja czynię, później to zrozumiecie” (por. J 13,6-10). Ale pamiętajcie, że „kto chce być pierwszym wśród was, niech będzie sługą wszystkich” (Mt 20,26).

Awans społeczny, awans osobisty, awans rozwojowy zależy od postawy służenia, od łatwości podporządkowania siebie innym. Bo nie ma rozwoju, postępu, kultury bez ukrzyżowania, bez podporządkowania, bez wysiłku człowieka. Nieustannie, wszystko co w nim jest najwspanialsze, najpotężniejsze, ale co wymaga jeszcze doświadczenia, próby charakteru, próby rozwojowej intelektu, próby sprawności woli, próby oczyszczenia uczuć i porywów — jest krzyżowaniem.

Tak jest w świecie fizycznym, gdy człowiek łamie i w niewolę podbija swoje ciało. A duch? Czy tylko ciało ma być poddane i podporządkowane doświadczeniom, a umysł, wola, serce, wszystkie szlachetne właściwości osobowe człowieka — nie?

„Przyszedłem do was jako ten, który służy”, abyście zrozumieli, że wielkość wasza zaczyna się od postawy służby, służenia. Rozwój

społeczny, kulturalny rodziny ludzkiej zależy od tej postawy i drogi, którą wskazał Chrystus i od tej metody, jaką On zastosował.

Przez krzyż — do nieba

Kościół, który służy, który za wzorem Chrystusa przyjął postać sługi, stawiając przed oczyma naszymi „*exaltatio sanctae Crucis*” — podwyższenie Krzyża, jednocześnie budzi w nas ambicję, byśmy wstępowali na tę drogę. „Gdy Ja będę wywyższony od ziemi — mówił Chrystus — wszystkich pociągnę ku sobie” (J 12,32). Wszystkich będę odrywać od ziemi, podwyższać, budzić zdrowe ambicje, wskazywać, że do ubóstwienia dąży się właśnie taką drogą. A człowiek jest „skazany” na ubóstwienie. „*Dii estis*” — powiedział Chrystus swoim słuchaczom wtedy, gdy gorszyli się z tego, że On się Bogiem zwał.

We wspólnocie domowej, rodzinnej krzyżują się wole, serca i umysły dwojga dla dobra wyższego rzędu i wyższego poziomu kultury osobistej. Można wprawdzie nie krzyżować w rodzinie dążeń, skłonności i upodobań dwojga. Można im służyć w sensie egoistycznym, zgodnie z pożądaniami ciała. Powstaje wtedy zanizanie osobowości dwojga i deflacja psychiczna rozumu, woli i serca. Człowiek wówczas nie tylko nie postępuje naprzód, nic nie daje drugiej stronie, ale i siebie i ją zaniża. Wtedy dopiero gdy tych dwoje, posłusznych Stwórcy i Jego planom „ukrzyżuje” swoje serca, umysły i wole, powstaje dobro wyższego rzędu, które dźwiga wzwyż kulturę dwojga i kulturę wspólnoty rodzinnej oraz rodziny rodzin — narodu.

Oto sens „ukrzyżowania” dwojga, sens apologii godności życia ludzi, którą podjął Paweł VI w „*Humanae vitae*”. Trzeba to dostrzec w tym wielkim problemie, który dzisiaj jest dyskutowany bardziej może przez wesółków, niż przez ludzi biorących życie na serio, poważnie, jak przystało na powołanie i możliwości osoby ludzkiej.

Widzimy tu potrzebę krzyżowania siebie dla dobra rzędu wyższego. A więc — postawa służby, służenia wszystkim całym swoim człowieczeństwem, mocami ducha i ciała, szczytnością rozumnej woli, miłującej rzetelnie całego człowieka, nie tylko jego ciało — bo od tego zależy właściwa miłość. Nie ma miłości połowicznej, jest miłość całego człowieka, a ta ma charakter cielesny i duchowy zarazem, we wspaniałej

syntezie człowieczeństwa, od której zależy kultura ludzkości, narodu, narodów i rodziny ludzkiej. (...)

Można te sprawy przesunąć także na płaszczyznę życia narodowego, społecznego, politycznego, kulturalnego, międzynarodowego, ponadnarodowego, religijnego, chrześcijańskiego, katolickiego, ekumenicznego itd. Wszędzie, gdzie się chce rozwiązywać problemy sporne, w najrozmaitszych wspólnotach, na najrozmaitszych pionach i poziomach, można je rozwiązać według wzoru Chrystusa: „Ja gdy będę wywyższony od ziemi, wszystkich pociągnę do siebie”, na krzyż. A więc nauczę zdolności krzyżowania małych spraw z wielkimi sprawami Bożymi. (5)

DZIECI JEDNEGO OJCA

Wielu ludzi związanych z nami przyjaźnią i wspólną pracą, było głosicielami tych zasad, które Kościół soborowy wypowiedział w nauce o Ludzie Bożym, za świętym Pawłem, który był dla ruchu „odrodzeniowego” patronem pierwszorzędny. Święty Paweł odpowiadał bowiem w swoim myśleniu katolicko-społecznym tym ideałom, które przyświecały również pierwszym „odrodzeniowcom” na Tygodniach Społecznych. (...)

To właśnie, czego uczy święty Paweł, znalazło wspaniałe echo na Soborze. To, co od początku było umiłowaniem ruchu „odrodzeniowego”, stało się punktem wyjścia dla odnowy soborowej, pojętej w jak najszerszym znaczeniu. Dąży ona bowiem nie tylko do uaktywnienia w sposób Boży, nadprzyrodzony dzieci Kościoła katolickiego, ale do ukazania wszystkich dzieci Bożych, choćby ludzie ci żyli w innych wspólnotach religijnych, choćby byli teistami, lub i nimi nie byli. Każdy przecież człowiek nosi na sobie znamię Boże. „Odbiło się na nas światło oblicza Twojego. Dłonie Twoje, Boże, ukształtowały mnie całego wokół”. To, co jest wspólne naturze ludzkiej, co stanowi o naszym człowieczeństwie, jest już punktem wyjścia dla tej wspólnoty, którą widzi święty Paweł, a którą ubogaca jedna wiara, jeden chrzest, wspólne sakramenty święte. (...)

Rodzina ludzka wspólnotą dzieci Bożych

Tak często widzimy, a to jest widzenie słuszne, że w wielkiej rodzinie ludzkiej, my dzieci Kościoła rzymsko-katolickiego jesteśmy najbardziej uprzywilejowani. Bóg, z Jemu tylko wiadomej przyczyny, a bez naszej zasługi, wszczepił nas od niemowlęstwa w nadprzyrodzony organizm Kościoła Chrystusowego. Jesteśmy uprzywilejowanymi dziećmi Bożymi w wielkiej miliardowej rodzinie ludzkiej. Jest nas zaledwie sześćset milionów, a gdy dołączymy do tego chrześcijan innych wspólnot religijnych, dojdziemy do miliarda. Współcześnie rodzina ludzka dochodzi do czterech miliardów, a w krótkim czasie tę liczbę znacznie przekroczy.

Na tym tle widać nasze wyjątkowe uprzywilejowanie, które nie może być tylko trwaniem spokojnego posiadania. Ot, jesteśmy w Kościele i w mniejszym lub większym zakresie uczestniczymy w tym, co jest zasadą łączności. Jedna wiara, jeden chrzest, jeden Pan i Ojciec nasz. Nie idzie jednak tylko o to, byśmy na własny rachunek byli użytkownikami tych dóbr, które nieustannie spływają z Krzyża Chrystusowego i wewnątrz nas — na miarę naszego stosunku do łaski — nasycają.

Liturgia dnia posuwa nas o krok naprzód. Ukazuje nam wielką rodzinę, miliardy, które są poza wspólnotą rzymsko-katolicką czy też poza wspólnotą wytworzoną przez jeden chrzest, poza wspólnotą chrześcijańską, którą chcemy dzisiaj ogarnąć w zdrowym ruchu ekumenicznym. Ta miliardowa rzesza, na skutek rozwoju praw biologicznych i etnograficznych będzie wzrastała w liczbę i będzie majoryzowała wspólnotę katolicką. Studia nad przyrostem naturalnym ludzkości wskazują, że stosunek między ochrzczonymi a nieochrzczonymi w liczbach bezwzględnych będzie stale wzrastał na dobro nieochrzczonych.

Powstaje więc zagadnienie wyjątkowo delikatne dla uprzywilejowanych dzieci, objętych macierzyńskimi ramionami matki-Kościoła katolickiego. I nabiera znaczenia to, co Chrystus przypominał faryzeuszom i doktorom zakonnym pytającym Go, które jest największe przykazanie w Prawie. W odpowiedzi Chrystusowej staje przed oczyma Bóg i człowiek. Bóg, do którego kierujemy się miłością ze wszystkiego serca, ze wszystkiej duszy i ze wszystkiej myśli. Bóg, który jest Ojcem całej rodziny ludzkiej, który jako Miłość nie wyłącza, bo nie może wyłączyć, innych ludzi, tych nieuprzywilejowanych, tych, którzy pozostali poza

wspólnotą chrześcijańską, stworzoną przez jeden chrzest i jedną wiarę. A jednak i to są dzieci Boże, może nie w sensie ściśle teologicznym, jak to ujmujemy w nauce o Ludzie Bożym, włączonym w organizm nadprzyrodzony Kościoła, ale są to dzieci Boże w tym sensie, że są one owocem miłości Ojca. Ojciec ich zapragnął, chciał ich istnienia. Od początku swojej twórczej myśli, w potężnym programie przekraczającym wymiary eschatologiczne, ich widział, a gdy przyszła pełnia czasu, powołał do bytu. Oni są, istnieją, żyją na globie, tworzą takie czy inne wspólnoty narodowe, a może niedostatecznie jeszcze ukształtowane w naród, wspólnoty polityczne. Dzieje się to na naszych oczach. Mówi o tym Ojciec święty w encyklice „De progressionem populorum promovenda”, rzutując w daleką przeszłość.

I właśnie ich też miłuje Ojciec. Im też mówi, że przez miłość mają być jedno z Ojcem. Musimy mieć świadomość, że Ojciec miłuje wszystkie dzieci Boże. Dlatego w odpowiedzi Chrystusa na pierwszym planie stoi Ojciec: „Będziesz miłował Pana Boga twego”, a dalej zaraz — człowiek; po największym i pierwszym przykazaniu, drugie, podobne do pierwszego: „Będziesz miłował bliźniego twego jako siebie samego”. Chrystus przełamuje barierę Synagogi, faryzeuszów i doktorów zakonnych, rozrywa ramy stworzone przez przepisy talmudyczne, rozszerza wspólnotę ludzką i ukazuje: to są też dzieci Boże. Nazwano ich bliźnimi. Nieraz pytano: „Kto jest moim bliźnim?” Odpowiedź i łatwa, i trudna zarazem. Ale Chrystus rozszerza serce rodziny ludzkiej, abyśmy zrozumieli, że każdy bliźni, kimkolwiek on jest, w jakiegokolwiek chodzi skórze, jest też Bożym dziecięciem, chcianym przez Boga, pomyślanym przez Boga, ukształtowanym na obraz i podobieństwo Boże, ma naturę rozumną, wolną i miłującą. Ma określone zadania do wypełnienia, musi je rozwijać sam i to tak, by nikt go nie gnębił i aby żaden naród o wyższej kulturze, o wyższym rozwoju nie tłumił praw rozwojowych budzących się ludów i narodów. (...)

Tak jak kiedyś zachwycaliśmy się encyklikami społecznymi i to był nasz chleb powszedni, tak dzisiaj trzeba uczynić krok naprzód. Wziąć do ręki dokumenty soborowe, studiować źródła, chronić się zbędnej publicystyki, która może nam przesłonić czystość, jasność i prostotę nauczania soborowego. Trzeba dodać do tego dokumenty, które są jak gdyby skonkretyzowaniem, rozszerzeniem ambicji katolickiego świata. To są wspomniane dwie encykliki. One nam pomogą do właściwego

zrozumienia drugiego przykazania, podobnego pierwszemu, to znaczy źródłowo wyrastającemu z pierwszego, dlatego, że „będziesz miłował bliźniego” wiąże się z „będziesz miłował Pana Boga twego”. Zasadą miłowania bliźniego jest miłość ku Bogu. To — „będziesz miłował jako siebie samego”, to jest dopiero wymiar dla możliwości rozwojowych rodziny ludzkiej, która w uprzywilejowanym Kościele katolickim przypomina, jak mamy się odnosić i do wspólnot chrześcijańskich, pozostających poza Kościołem rzymskim i do wspólnot niechrześcijańskich, a nawet do niewierzących.

Jest to odpowiedź już bardzo dawno dana rodzinie ludzkiej przez samego Chrystusa, odpowiedź, jak należy zawsze, a szczególnie dzisiaj układać współzycie między ludźmi, zróżnicowanymi przez wielkie bloki polityczne, przez wielkie rodziny narodowe, przez odmienne światopoglądy, kultury, języki i rasy, przez swój stosunek do Boga.

Dwa przykazania miłości

Świat robi się niezwykle mały i wąski. Ciasno nam na globie, dlatego zaczynamy szukać miejsca w przestworzach. Pierwszy człowiek postawił nieśmiało nogi na Księżycu. Programuje się dalsze wyprawy. Świadczy to o tym, że człowiek, który dotychczas patrzył w ziemię i największych osiągnięć szukał w podziemiach, w kopalniach, gdzie drążąc glob żyją i pracują miliony ludzi, ten człowiek na chwilę spojrział w górę. (...)

Jest to wymowne i jest to znak rozwijającej się kultury nowego pokolenia Bożej rodziny na globie. Te fantastyczne możliwości świadczą o zrozumieniu przez człowieka, iż trzeba na nowo patrzeć w górę, patrzeć w niebo — może na razie na Księżyc, i badać przestworza. Świat stał się niezwykle mały. Tym bardziej ludzie zbliżyli się do siebie i poczuli, co to znaczy bliźni. Może na razie układają jeszcze swój stosunek w doktrynach, które bankrutują. Może walkę klas uważają jeszcze za program postępowy, ale zdaje się, że — przynajmniej w doświadczeniach rodziny ludzkiej — jest to już koniec tego „postępu”.

Rodzina ludzka zrozumiała, że nie tędy droga. Nabiera dla niej znaczenia i mocy Chrystusowe: „Będziesz miłował bliźniego twego”. To jest program. „Będziesz miłował bliźniego twego” to znaczy — całą rodzinę ludzką, która na skutek potęgujących się środków społecznego kontaktowania czuje się coraz bliżej siebie. I my rozumiemy, że oblicze świata się zmienia. I my uprzywilejowani, musimy nauczyć rodzinę

ludzką, jak kochać i Boga, i bliźniego jako samego siebie. Musimy umieć poprawiać miłość ku sobie, nie wstydzić się siebie, nie bać się siebie, nie wyrzekać się siebie. Musimy umieć widzieć się w prawdzie, to znaczy w swych ludzkich wartościach i w szczytnym powołaniu, ale nie po to, by dominować, przed czym ostrzegał Paweł VI w swej wspaniałej encyklice, ale służyć.

Dzisiaj najdonioślejszym zadaniem dla katolików jest, aby byli silni w wierze i nie poddawali się zamętowi, który tworzy się sztucznie, by szerzyć deflację. Gdy najrozmaitsze doktryny czują, że wyczerpują się treściowo i nie mają już nic do powiedzenia, wtedy widzą wzrastający Kościół, który tak wiele miał do powiedzenia rodzinie ludzkiej na Soborze i dziś ma tak wiele do powiedzenia. Trzeba więc zamazać wyrazistość mowy, która pociąga. Stąd ten cały zamęt tworzony w sposób sztuczny, potęgowany przez prasę, której zależy na tym, aby Kościół przedstawić w wymiarach kryzysowych.

A Kościół nadal niesie w sobie Chrystusa i Jego Matkę, i przypomina, jak dziś to czynimy, największe i pierwsze przykazanie: „Będziesz miłował Pana Boga twego ... będziesz miłował bliźniego twego jako samego siebie”. Do nas należy poprawić miłość ku sobie według wymiarów Bożych. Im lepiej będziemy kochać siebie, tym wyższy będzie wymiar miłowania bliźnich, który nas obowiązuje. Chciejmy to sobie uświadomić. Miłować siebie jako dzieci Boże, jako uprzywilejowane dzieci Kościoła, nieustannie oświecane, uświęcane, ubłogosławione. Nie lękać się wielkiego rozumienia o sobie. Poznawszy głęboką treść naszego człowieczeństwa i powołania: „dii estis” — o którym sam Chrystus powiedział — mamy zrozumieć je w pełni i mamy wyciągnąć z niego wiążące nas wnioski do praktycznego, codziennego życia. Przez spotęgowaną postawę rozumienia swojej godności, spotęgujemy miarę, według której mamy miłować bliźniego jako samego siebie.

To są jak gdyby naczynia połączone. Im lepiej i głębiej będziemy rozumieli siebie, swoje wysokie powołanie, swoje przeznaczenie, tym wyższą miarą będziemy mierzyli bliźniego i wyższą miarę miłości będziemy mu okazywać. „Będziesz miłował Pana Boga twego ... będziesz miłował bliźniego twego jako samego siebie”. Poprawiajmy miłość ku sobie, byśmy lepiej, według wzrastającej miary miłości, miłowali bliźniego. „To jest przykazanie pierwsze i najważniejsze. Na tych dwóch zawisło całe Prawo i Prorocy” (Mt 22,37-39). (6)

II

W CHRYSZTUSIE I W KOŚCIELE

ZJEDNOCZENIE NASZE NADAL TRWA!

W życiu naszym nie jesteśmy osamotnieni. Tak często lękaliśmy się tego, zwłaszcza w czasach rozproszenia, gdy „Odrodzenie” — wyrosłe przecież z największych uwzniośleń duchowych, z największych nadziei i z nieustannego programowania — nie mogło działać, a wam niekiedy pozostało tylko wrażenie, że wszystko przepadło, że jesteśmy osamotnieni, rozproszeni, rozbici. Ileż to rozmów na ten temat kończyło się zazwyczaj wnioskiem, że cały ten wielki „odrodzeniowy” ideał właściwie się załamał i nie może być urzeczywistniany.

Czy rzeczywiście tak jest? Czy rzeczywiście nic nie pozostało, czy rzeczywiście jesteśmy tak bardzo osamotnieni? Wydaje się, że przynajmniej kilka myśli, które nas postawią wobec tej wielkiej wspólnoty, jaka wyrasta w Chrystusie i w Kościele, pomoże nam do uświadomienia sobie, że chociażby wszystkie młodzieńcze ideały załamały się, to jeszcze nie przegraliśmy, jeszcze jesteśmy wspólnotą Bożą, a wszystkie nadzieje nadal zachowały swoje rumieńce życia.

I dlatego zechciejmy chociaż na moment zatrzymać uwagę naszą na więzi, jaka istnieje między każdym z nas a Chrystusem. A ponieważ

Chrystus jest jeden zawsze, wczoraj, dziś i jutro, więc też i wspólnota między każdym z nas przez Chrystusa, zjednoczenie nasze z Chrystusem w Kościele jest bardzo ścisłe.

Zjednoczenie z Chrystusem w Kościele

Tak często, czytając natchnione słowa spotykamy się z porównaniami związku naszego z Chrystusem: podobny jest do węzła małżeńskiego, podobny do latorośli winnej tkwiącej w szczepie, podobny do organizmu fizycznego ciała ludzkiego, do czego tak się odwołuje św. Paweł, a co przecież było tak wielkim przeżyciem na pierwszym zjeździe seniorów „Odrodzenia”. Wtedy zetknięto się bliżej z postacią i osobowością św. Pawła; wtedy właśnie, bodajże pierwszy raz w Polsce, wśród inteligencji zaczęto mówić o więzi nadprzyrodzonej, jaka istnieje w Kościele, o Mistycznym Ciele Chrystusa.

O wiele później przyszła encyklika Piusa XII „De Corpore Christi Mystico”. Są to już czasy wojenne, wtedy gdy nie mogliśmy się od razu z jej tekstem zetknąć, bo trudno było go dostać. Jednak czytając jej słowa, po latach, już się coś w duszy naszej rodziło — jako miłe wspomnienie — że przecież od dawna o tych rzeczach mówimy i że trzeba dziękować Duchowi Świętemu, że przez Piusa przemówił, przypominając w porę najważniejszą bodaj naukę o Kościele, naukę, która dawniej, nawet w systematycznych podręcznikach teologii zajmowała kilka kartek, a która dzisiaj rodzi całe potężne tomy, olbrzymie dzieła, tak iż teologia fundamentalna i dogmatyczna przedstawia się całkowicie w swej systematyce, odnajdując swój ośrodek myślowy, swój punkt wyjścia w nauce „De Corpore Christi Mystico”.

Nie chciałbym naszych ambicji, naszej próżności nadmiernie podsycać, bo jesteśmy i my ludźmi ułomnymi i grzesznymi. Każdy z nas dobrze wie o tym, co w ciągu tego trzydziestolecia do skarbca swojego nazbierał. Ale niemniej, dla duchowego podniesienia trzeba sobie tę prawdę uświadomić, że „Odrodzenie”, na ugorze inteligencji polskiej mocno i głęboko zasiało prawdę o Mistycznym Ciele Chrystusa. Nie należałoby więc samemu pozostać pod wrażeniem, że w osobistym moim życiu coś straciłem. Nie ma życia organizacyjnego, ale tkwię w Kościele. Może się nieco rozluźnił mój stosunek do Kościoła, może nie

stoję twarzą w twarz do tej społeczności, która jest jednością z Chrystusem, niemniej jednakże Kościół mi ciągle przypomina Chrystusowe słowa z Wieczernika: „Spraw, Ojcze, aby byli jedno, jako Ty Ojcze i Ja, jedno jesteśmy” (J 17,20).

Nie mam zamiaru tutaj, za encykliką, zastanawiać się — bo nie pora na to i nie o to idzie — nad samą naturą tego zjednoczenia naszego w Chrystusie, dzięki któremu z Nim jesteśmy jedno i przez Niego między sobą jesteśmy jedno. Z woli Chrystusa Pana społeczność chrześcijańska stanowi społeczne i doskonałe Ciało. I dlatego w tej społeczności powinny zespalać się wszystkie członki, zwrócone do jednego celu. Im cel jest wznioślejszy, tym to zespolenie ściślejsze.

Encyklika systematycznie wylicza różne formy tej jedności. Pierwsza z nich to jedność w ciele naturalnym, która posłużyła św. Pawłowi do wyjaśnienia natury jedności nadprzyrodzonej, mistycznej; druga — to jedność w ciele moralnym, społecznym; trzecia najściślejsza — to jedność w Ciele Mistycznym, ta siła wewnętrzna, która tak łączy członki, iż każdy stanowi własną osobę. Ma ona na celu i jednostkę, i ogół. Ciało Mistyczne wiąże się w całość nie tylko przez cel i autorytet, ale i przez wewnętrzną siłę, która istnieje zarówno w poszczególnych częściach i członkach, jak i w całym ciele. Siła ta przewyższa wszystkie więzy jednoczące zarówno ciało fizyczne, jak i ciało moralne — społeczne.

Nasza więź z Kościołem

Dochodzimy tutaj do samej natury tej więzi, która jest w Kościele. Może pod wpływem doktryn jurydycznych przyzwyczailiśmy się patrzeć na społeczność kościelną przede wszystkim pod kątem prawnym. Dużo mówiliśmy o tej „societas perfecta”, jaką jest Kościół-społeczność doskonała. Lubiliśmy z upodobaniem wyszukiwać analogie między społecznością kościelną a społecznością polityczną, państwową. Jednakże przekonaliśmy się, że w tej analogii za daleko iść nie można, nawet nie wolno. Gdybyśmy bowiem za wiele analogii wykazywali między społecznością kościelną a polityczną, to cały ten koszmar współczesnych społeczności politycznych mógłby mimo woli zaciążyć na społeczności kościelnej.

A tymczasem, chociaż w porządku społecznym i zewnętrznym Kościół jest zbudowany mniej więcej tak jak każda społeczność polityczna, to jednak więzią istotną, tym co jest siłą w Kościele, nie jest ani węzeł jurydyczny, ani moralny, tylko ta właśnie więź nadprzyrodzona, więź łaski; ta więź, która nie jest pochodzenia ziemskiego, która nie ma żadnej analogii tutaj, na tej ziemi, bo to jest więź przez Ducha Świętego, z Niego czerpie swą siłę. Istotą Kościoła jest więź przez łaskę. Może w budowie społecznej, moralnej Kościoła bardzo dużo się zmienić, ale Kościół nie przestaje być Kościołem. Nie może się tylko jedno zmienić: właśnie ta więź nadprzyrodzona, ta więź duchowa przez łaskę. To zawsze jest istotne w Kościele. A to dla nas jest wielką pociechą, dla nas osobiście, bo ilekroć czuwamy nad tym, żeby tę więź przez łaskę uświęcającą z Kościołem utrzymać, tak długo nie jesteśmy samotni, tak długo jesteśmy w świętej wspólnotcie, tak długo ona wszystkich swoich mocy nam udziela i tak długo jesteśmy uczestnikami tej mocy nadprzyrodzonej, która jest w Kościele Bożym i która jest — rzecz znamienita — cała dla każdego z nas.

Cały niejako Kościół jest dla mnie. Wszystkie jego siły, moce, wszystkie jego wartości są dla mnie. Jestem dziedzicem wyłącznym całej tej siły, całej tej wspólnoty, tej mocy, która jest w Kościele Chrystusowym. Kościół ma wszystko dla mnie, tak jak Chrystus miał wszystko dla mnie. Mogę w tej chwili zapomnieć o wszystkich innych, mogę siebie tylko widzieć i stosunek Chrystusa żyjącego w Kościele do mnie; prawdą będzie, że wszystko, co Kościół ma, co wziął przez Chrystusa od Ojca, to wszystko jest dla mnie, osobiście dla mnie. To jest wielką pociechą osobistą. Bo mogę się znaleźć na Księżycu i gdziekolwiek — o to dzisiaj podobno coraz łatwiej — a jednak, gdy utrzymam więź nadprzyrodzoną, przez miłość wewnętrzną, z Bogiem, jestem w tej społeczności, jestem dziedzicem tej wielkiej spuścizny, która przez krzyż Chrystusowy została przekazana Kościołowi.

Może to usprawiedliwi, dlaczego mogę powiedzieć: w takim razie jestem otoczony Kościołem, w takim razie jego wszystkie siły się nade mną skoncentrowały i ku mnie pochyliły, wobec tego nie jestem samotny. Mogę żyć jak pustelnik, jak anachoreta, mogę stracić wszystkie więzy, które mnie łączą tutaj z najbliższymi, a jednak to, co wziąłem z Kościoła i nad czym starannie czuwam, co pielęgnuję, to nadal utrzymuje mnie w tej najwspanialszej wspólnotcie, w tej „sanctorum

communio”, gdzie osnową, wewnętrznym centrum jest Trójca Święta i zaślubiona przez Wcielenie Syna Bożego z Trójcą Świętą, Najświętsza Maryja Panna.

Otóż ilekroć nachodzą nas tęsknoty za wspólnotą młodych lat, gdyśmy śpiewali sobie buńczucznie: „Wszystko nam jedno...”, nie powinno nas martwić, że tego już nie ma, że to wszystko już minęło, że nie zostało zrealizowane, bo z tej buńczucznej młodości jakże wiele nam pozostało — może do tego przyczyniła się i organizacja, która pomogła nam osiąść to dziedzictwo i to właśnie za działaniem Ducha Świętego, który jest w nas.

Gdy dzisiaj odmawialiśmy wspólnie „Introibo ad altare Dei”, gdyśmy mówili „Confiteor Deo omnipotenti, beatae Mariae semper Virgini” — rzecz znamienita, że Kościół każe nam się spowiadać przed Matką Najświętszą — to tak, jakby to było „confiteor” całego naszego życia: i osobistego, i organizacyjnego, a zarazem jakby to było jakimś oczyszczeniem, absolucją zbiorową i zapewnieniem, że jednakże przez „indulgentiam, absolutionem et remissionem peccatorum nostrorum” nadal pozostaję w tej świętej wspólnocie i wołając głośno „aufer a nobis quaesumus Domine iniquitates nostras”, wstępuję „ad sancta sanctorum” i nadal się jednakże trzymam, dzięki łasce Bożej, w „communio sanctorum”.

Siłą, która nas utrzymuje w porządku nadprzyrodzonym, jest Duch Święty. Gdy w mojej duszy jest nieustanne doń wołanie: „Veni Sanctificatore, omnipotens aeternae Deus”, to już jest dobrze, bo właśnie On tworzy we mnie porządek nadprzyrodzony, ten porządek nieskończony i niestworzony; ten porządek, który skłania do tego, że jestem obywatelem, że jestem dziedzicem najbardziej trwałej, niezniszczalnej społeczności, nad którą mogą się przewalić wszystkie burze dziejowe, przez którą mogą przejść wszystkie tanki, wszystkie bomby mogą być w niej wymiotane, ale tej więzi nic, żadna siła nie rozwali, nie rozerwie. Bo to ostatecznie zależy tylko od mojej słabości, którą na szczęście skutecznie — we mnie nawet — zwalcza Boża miłość.

To jest pierwsza pociecha, którą wyniosę z Jasnej Góry, pociecha, która będzie mi światłem nawet wtedy, gdy nostalgia za przeszłością i niepokój, że może życie zmarnowane, że może ideały nie urzeczywistnione, najdą na mnie ciemną falą. Wtedy będę się ratował tym, że jednakże to co najważniejsze, to „unum necessarium”, pozostało. Celem

najważniejszym przecież w społeczności nadprzyrodzonej jest uświęcenie członków tego Ciała, ku chwale Boga i Baranka. A więc uświęcenie mnie. Kościół — o którym może ja nie myślę zbyt praktycznie — ten Kościół nadal czuwa nad tym, żeby mnie uświęcić. On dba o to. Może ja nie dbam o to, żeby się uświęcać, ale Kościół czuwa nad tym, żeby mnie uświęcić. On się nieustannie za mnie modli, nieustannie do mnie woła: „Sursum corda” — tak jak dziś, gdy odpowiedzieliście żywo: „Habemus ad Dominum”. On nieustannie mi błogosławi i nie przestaje błogosławić. On nieustannie mówi: „Świętymi bądźcie”.

Źródłem Boskim mego uświęcenia jest oczywiście samo upodobanie Ojca Przedwiecznego. Ojciec Przedwieczny, nie wiem dlaczego, dla jakiejś swej tajemnicy — „de gustibus non est disputandum” — mnie sobie upodobał. On sobie naprzód upodobał, bo inaczej nie byłoby we mnie tej miłości, którą mam, gdyby On mi jej z siebie wpieryw nie użyzył. Źródłem jest tutaj miłosna wola Zbawcy naszego, który nieustannie idzie za mną, choćbym był zagubioną owcą. Źródłem jest wewnętrzne tchnienie do duszy i umysłu Ducha Świętego i Jego działanie w duszy, które tak dobrze w sobie czuję.

Nie chcę oczywiście tutaj pomniejszać w niczym znaczenia węzła prawnego, który mnie wiąże z Kościołem. Bo jakkolwiek Kościół nie składa się tylko z elementu prawnego i społecznego, to jednakże i ten element ma swoje znaczenie. Zespoleństwo to ujawnia się na zewnątrz, jest widzialne, bo wyznaję tę samą wiarę, bo zachowuję te same przykazania, bo czczę i uznaję nad sobą autorytet tej samej widzialnej Głowy Kościoła — Ojca świętego, bo mam dla niego cześć i okazuję tę cześć osobistą i publiczną, bo niekiedy przecież dla zachowania tej czci brałem go nawet publicznie w obronę przed nieprzyjaciółmi jego. A więc ta społeczna, zewnętrzna, prawna strona ma też ogromne i doniosłe znaczenie. Bo Kościół prawdziwie, nawet w porządku doczesnym i zewnętrznym, jest społecznością doskonałą — „societas perfecta”.

Ale to, co jest dla mnie niesłychanie doniosłe, to co potęguje wspólnotę między nami, to jest węzeł wiary, nadziei i miłości.

Węzeł wiary, nadziei i miłości

Zasadą jedności chrześcijańskiej, zasadą całej tej społeczności jest węzeł wiary. Cóż bardziej w tej chwili i w tej kaplicy jest między nami widoczne, jako wspólnota grona tu zebranego? — Węzeł wiary. Przecież nie przyszliśmy tutaj tylko dla węzłów koleżeńskich. Przecież, moi Najmilsi, słuchacie mnie nie tylko dlatego, że mówi do was jeden z waszych „odrodzeniowych” kolegów, ale ze względu na autorytet wiary, który ja reprezentuję, a którego korzenie są na dnie każdej duszy. To jest wyraz zewnętrzny tej wspólnoty — jak mówił Paweł: „jeden Pan, jedna wiara” — która prowadzi do Boga. Ona nas łączy. Św. Jan nas o tym pouczał, że „ktokolwiek wyzna, że Jezus jest Synem Bożym, Bóg w nim mieszka, a on w Bogu” (1J 4,15). Samo to wyznanie wystarczy. A my wyznajemy. Jesteśmy przecież chrześcijanami, jesteśmy katolikami i podkreślamy, akcentujemy tę prawdę. To jest nasze zewnętrzne wyznanie.

Wiara łączy nas między sobą z Boską naszą Głową. Tak jak w tej chwili obejmują nas sklepienia tej sali, tak też i nasze serca w tej chwili są skierowane przez akt wiary do Głowy naszej, do Jezusa Chrystusa. Łączy nas wiara, nas wszystkich, którzy mamy tego samego ducha wiary, których to samo światło karmi tym samym pokarmem ducha wiary. Duch wiary, to jest coś więcej nawet, niż najbardziej poprawne rozumowanie. To jest jakaś siła nadprzyrodzona, która nie da się wypowiedzieć, która nie da się w wymiarach swoich określić, jak daleko sięga. A przecież my jesteśmy napełnieni duchem wiary. Łączy nas ona między sobą, gdyż żyjemy tym samym życiem w „wierze Syna Bożego, który nas umiłował i wydał samego siebie za nas”. Stąd mamy wspólny język. My nie musimy szukać języka, aby się porozumieć, bo naszym wspólnym językiem jest dla nas jedna wiara. Jakież to wielkie ułatwienie życiowe, jak wielkie ułatwienie społeczne, że jest wspólny duch wiary, wspólny język.

A to, co nas jeszcze łączy i co nie przestało być nawet w porządku czysto doczesnym, materialnym i społecznym źródłem podtrzymania duchowego w ciężkich czasach, to właśnie węzeł nadziei — oczywiście nadprzyrodzonej. Wszyscy „oczekujemy błogosławionej nadziei i przyjścia chwały wielkiego Boga” (Tt 2,13). Przez nadzieję czujemy się jak gdyby na wielkiej drodze, która nas nieustannie, każdym momentem

zbliża do celu. Czekamy przyszłej ojczyzny. „Jedno ciało, jeden duch ... jako wezwani jesteśmy w jednej nadziei wezwania naszego”.

Bywało tak nieraz, że w trudnych i ciężkich sytuacjach spotykali się koledzy z „Odrodzenia”. Gdy już zabrakło im słów, pozostawało jedno — nadzieja. I to nie taka nadzieja zwykła. To była nadzieja nadprzyrodzona, ugruntowana w wierze, że jednak jest Bóg na niebie, że jednakże jest Jego wielka Ojcowska dłoń nad nami, która nas wszystkich podtrzymuje. Jak wielkie znaczenie dla wierzącego narodu w chwilach doświadczeń miała nadzieja chrześcijańska, nadzieja nadprzyrodzona! Któż tego dobrze nie wie? Nadzieja, to więź! I ona nam pozostała, nie zmieniła się, ma te same wymiary. Może jeszcze doświadczalnie wzrosła od czasu, gdyśmy podejmowali wspańiałe „odrodzeniowe” hasła i wierzyliśmy, że będą urzeczywistnione. A dziś, chociaż może nie znajdujemy warunków dla urzeczywistnienia w pełni, w stu procentach, naszych ideałów, i dziś jednakże nie przestajemy mieć nadziei.

A najważniejsza — więź miłości, bo ta nie umiera, bo ma w sobie znamiona nieśmiertelności, tak jak nie umiera Bóg, który jest miłością: „Deus caritas est”. On jest miłością nadprzyrodzoną. Bóg, przede wszystkim On — „a kto w miłości trwa, w Bogu trwa, a Bóg w nim” (1 J 4,16). Każdy więc, kto jest zaślubiony tej istotowej Miłości, jaką jest Bóg, sam pogrąża się w niej, jest nią przeniknięty, jest jej uczestnikiem. I nie tylko ogarniany jest przez miłość, ale jest napełniony przez miłość, „Kto w miłości trwa, w Bogu trwa, a Bóg w nim”. Gdy Boga miłujemy, Bóg miłuje nas i przychodzi do nas: „Do niego przyjdziemy i mieszkanie u niego uczynimy” (J 14,23).

To jest wewnętrzne, duchowe obcowanie, duchowe życie, bo wewnętrzne życie polega na doznawaniu miłości od Boga samego i okazywaniu — na miarę naszych skromnych, słabych możliwości — miłości Bogu, a przez Boga, przez Niego, przez tę siłę, która z Jego miłości płynie, na okazywaniu miłości wokół nas. Bo ta miłość, która nas napełnia jest tak jak woda, która przelewa się przez naczynie pełne i nie może utrzymać się, nie może zostać w tych wymiarach, musi odpływać. Dlatego też Augustyn tak przepięknie połączył dwa przykazania miłości Boga i miłości bliźniego w jedno przykazanie.

„Kto w miłości trwa, w Bogu trwa, a Bóg w nim” (1 J 4,16). To jest wielka siła w naszym osobistym życiu, to jest nasz bezpośredni kontakt

z istotową Miłością — z Bogiem i to ułatwia nam współzycie wzajemne między nami.

Przecież pragnieniem naszym było — wspomnijmy sobie nieraz konferencje i referaty ojca Jacka Woronieckiego — żeby miłość wypowiedziała się najbardziej i w życiu społecznym. Te nie kończące się spory „odrodzeniowe”: sprawiedliwość i miłość, sprawiedliwość czy miłość, pierwszeństwo jednej z nich, która z nich? I tak, bez końca. Ostatecznie, jakże trudno było się na to zdecydować, co nam ks. Szymański nieraz wypowiadał i o czym nas pouczał, że sprawiedliwość i miłość tak między sobą emulują, że właściwie trudno już wyznaczyć granice jednej i drugiej. Gdzie więcej miłości, tam się sprawiedliwość jak gdyby cofa; dzisiejsza sprawiedliwość zamienia się coraz bardziej i przeradza w jutrzejszą miłość, tak że ostatecznie wszystkie relacje i stosunki osobiste i społeczne, wszystkie się zamieniają, sublimują w wielką miłość.

Wspomnijmy te młodzieńcze rozważania, dyskusje, spory, tę przesadną niekiedy wiarę naszą w potęgę sprawiedliwości, tę chęć, ażeby sprawiedliwość — przede wszystkim — zapanowała nad światem. Jesteśmy świadkami nadużycia tego pojęcia, jesteśmy świadkami ustroju, który opiera się na sprawiedliwości, który się wyrzeka miłości i ostatecznie ani sprawiedliwości, ani miłości nie ma. A tak bardzo nam potrzeba, aby ocalała jedna i druga, i żeby ta pierwsza — sprawiedliwość czyniła drogę, „parate vias Domini”, tej drugiej właśnie — miłości, która jedna nie umiera, jedna jest wieczna. Gdyby wam Kościół nic innego w swej spuściznie nie dał, tylko to, gdyby was nauczył tylko miłości, już by was uszczęśliwił. A on was przecież przekonał, że „maior autem horum est caritas”, bośmy rozważali ten tekst z pierwszego Listu do Koryntian, rozdział 13, bez końca, w ilu konferencjach. „Maior autem horum est caritas ...” Ponad wszystkie ustroje, ponad wszystkie programy, ponad zamierzenia najbardziej szczytne, najbardziej idealne, „maior autem horum est caritas”.

Dlatego też miłość do Boga — dziś się doświadczalnie przekonujemy — skłania nas do zachowania wszystkich przykazań Bożych. I słusznie mówi nam Chrystus, że to wystarczy. Miłość Boga zawsze nas uczy miłości bliźnich. „Kto mówi, że miłuje Boga, a brata by swego miał w nienawiści, kłamcą jest ... Przykazanie mamy od Boga, żeby ten, kto miłuje Boga, i brata swego miłował” (1 J 4,20-21). Znamy cudowny

pierwszy List św. Jana Apostoła, który jest wypełniony przecież miłością tak wielką, jak gdyby wszystko, co spłynęło z krzyża, ten świadek śmierci Chrystusowej zebrał stamtąd, z Kalwarii i w sercu przeniósł na swój list, tak wymowny.

Tym bardziej będziemy zjednoczeni z Bogiem i z Chrystusem, im bardziej jesteśmy członkami jedni drugich, troszcząc się jedni o drugich. Ale też i ściślej wiążemy się ze sobą, im bardziej jesteśmy zjednoczeni z Chrystusem, Głową naszą. To jest właśnie więź przez miłość. A dzisiaj, po trzydziestu latach wojowania „odrodzeniowego” przekonaliśmy się jak najbardziej dokładnie, że u podstaw każdego zjawiska społecznego, każdego programu społecznego, jednakże musi leżeć jakaś miłość. Lubię powtarzać — takie to może zabawne powiedzenie — że my pragniemy, żeby nawet społeczność, której głównym zadaniem jest sprawiedliwość, też nas troszkę kochała.

Mam wrażenie, że kryzys współczesnych państw, ustrojów politycznych na tym właśnie polega, że im się wydaje, iż one są tylko od tego, aby były sprawiedliwe i dlatego wyrzekają się wieczystej miłości. Dlatego właśnie, że chcą być bez niej, dlatego, że chcą być doskonałe, „higieniczne”, wolne od Boga i wszystkiego, co Bogiem pachnie, nie są zdolne zabezpieczyć sprawiedliwości temu światu. I nie dadzą sprawiedliwości, bo żeby dać światu sprawiedliwość, trzeba choć odrobinę kochać. Na zaczątek pierwsza kropelka wody chrztu musi być jednakże z miłości. Wtedy dopiero uda się ochrzcić wszystkie ustroje i uczynić je sprawiedliwymi.

Oto więź przez wiarę, przez nadzieję i przez miłość, która nam pozostała i której — dzięki Bogu — nie utraciliśmy. I to z sobą, po latach wojowania, przynieśliśmy na Jasną Górę. A więc nie jesteśmy tacy samotni, osieroceni, takie bankruty społeczne, jak się niejednemu seniorowi „Odrodzenia” może wydawać. Nie jesteśmy już tacy przeraźliwie przegrani. Coś jeszcze w kieszeni „odrodzeniowej” zostało. Jeszcze są jakieś kapitały, jeszcze są jakieś siły. „Non omnis moriar”. Nie przegrałem, jestem jeszcze człowiekiem, któremu zostało to, przez co Bóg wielkie światy uczynił: miłość. I jeśli mi to zostało, to z pomocą tego mogę odbudować resztę.

Potrzebni Chrystusowi

To jeszcze, co nas łączy i zespala, to węzeł uczestnictwa w Duchu Chrystusowym. Chrystus od początku ma przed oczyma duszy wszystkie członki ciała swego. Wszystkie obejmuje miłością. Widzi je nieustannie. I nas widzi! Gdybyśmy mieli tę świadomość, że jako członki Jego Mistycznego Ciała jesteśmy tak bardzo zespoleni z Głową, że po prostu On, Głowa, sam Chrystus, pomimo swej potęgi i mocy nie może powiedzieć do nas, do żadnego z nas: nie potrzebuję was! Jesteście starym sprzętem. Do lamusa, do archiwum! Nie, nie! Nie może Chrystus powiedzieć tego do nas: nie potrzebuję was. On nas nieustannie widzi. Tak jak Jego oczy patrzyły ze złości, jak patrzyły na Kalwarii, jak teraz patrzą z tronu chwały po prawicy Ojca, tak nieustannie patrzą na nas. I stąd Chrystus jest w nas, a my w Nim. Jest w nas przez Ducha swego, którego nam udziela i przez którego wszystko w nas działa.

On w nas działa nieustannie. Chrystus nie może nam powiedzieć: nie potrzebuję was. My jesteśmy Mu potrzebni. Św. Paweł tak zuchwale to powiedział, że my jesteśmy od tego, by Chrystus rósł przez nas, byśmy uzupełniali niejako to, czego nie dostawa Jego Męce. To jest zuchwale powiedzenie. A jednak tym dalszym ciągiem, tą historią żyjącego Chrystusa tu na ziemi my jesteśmy. Gdy raz zostaliśmy wszczepieni jako latorośle w organizm Chrystusa, w Jego szczep, to już bez przerwy soki, które krążą w tym szczepie, muszą się gdzieś udzielać. Gdybyśmy spróbowali, jak to robią niedoświadczeni ogrodnicy, obciąć z drzewa wszystkie konary, zobaczylibyśmy, jaka straszliwa rewolucja by się dokonała w jego pniu. Ile krwi serdecznej, ile bólu i żalu, spływających z pnia soków by się zmarnowało. Pomyślcie, gdybyśmy wszyscy powiedzieli Chrystusowi: obejdzimy się bez Ciebie, co by się wtedy działo. Może św. Tomasz lepiej to wie, niż ja. Gdyby Chrystus — jak nie może — tak się chciał nas wyrzec, co by się działo wtedy z nadmiarem integralnego odkupienia, które na krzyżu się dokonało, i które nieustannie jest tym „dobrym winem” — jak czytaliśmy dzisiaj we Mszy św. — zachowanym aż do czasów dzisiejszych. Nie może się to stać.

Jesteśmy więc potrzebni Chrystusowi. Potrzebny jest Mu nasz rozum. Bo jakkolwiek Chrystus wszystko opowiedział, co od Ojca przyniósł, to jednakże my wiemy, że praca umysłu ludzkiego, ten nieustanny wysiłek, nawet w dziedzinie wiary, ta „fides quaerens intellectum” sprawia

nieustannie, że coraz lepiej rozumiemy Słowo, które ciałem się stało. I praca teologii odsłania przed oczyma ludzkimi coraz pełniej potęgę i wspaniałość Chrystusa. Chrystusowi są potrzebni ci wszyscy myśliciele, ci teologowie, bo On już nie mówi, On tylko miłuje. Potrzebni Mu są ci wszyscy ludzie, ci kaznodzieje, filozofowie, mówcy, pisarze, którzy nieustannie „rozszerzają” Chrystusa, nieustannie sprawiają, że się Go coraz lepiej rozumie.

Chrystusowi jest potrzebny nasz rozum, aby się okazała pełność prawdy. Chrystusowi potrzebna jest nasza wola, ta dobra wola, która sprawia, że Chrystusowe ramiona stają się coraz dłuższe i obejmują cały świat. Ta nasza wola to sprawia. Ona oczywiście korzysta z łaski w każdym poruszeniu, ale ostatecznie ona to sprawia, że wydłużają się ramiona Chrystusa, tak jak wydłużają się dzieje Kościoła.

Chrystusowi potrzebne jest nasze serce, by kochało Boga. Tak jak do Szymona mówił Chrystus, dopytując się: Miłujesz Mnie? Czy Mnie miłujesz, czy miłujesz? — tak też nieustannie przypomina nam, że i my mamy miłować. I że nasza miłość Jemu jest potrzebna, że nasze serce nie jest Mu obojętne. Dopiero przez to Serce człowiecze, dzięki temu Sercu, które jest serc wszystkich Zjednoczeniem, na świecie zaczyna władać serce, bo to Boże Serce przebite raz, sprawia, że odmienia serca. Przez tę odmianę serc na świecie włada Serce Boże. Włada na ziemi przez ludzkie serca. Potrzebne jest Mu nasze serce. Podobnie jak potrzebna jest Mu nasza gorliwość, nasz zapał apostołski, nasze usposobienie apostołskie i nasze usta, nasz rozum, nasze dłonie, to wszystko, co otrzymaliśmy od Ojca Niebieskiego po to, aby służyło Bogu.

Tak więc cały człowiek, tak uświęcony, tak związany, tak zespolony stanowi jedno z Chrystusem w Kościele. Człowiek nie jest samotny. Do tego Kościoła większość z was była zbliżona — oczywiście przez działanie łaski uświęcającej — dzięki tej społeczności, która dzisiaj jeszcze żywo do nas przemawia: „Odrodzenie”. Bóg posłużył się gromadą ludzi, w których serca wlał głębszą miłość, a oni byli prawdziwymi apostołami, dzięki czemu miłość rozlała się w sercach naszych.

I pozostała! Oto, Najmilsi, nie jesteśmy samotni. Oto do jakiego stopnia jesteśmy nadal rodziną. Rodziną, która żyje w imię tej samej wiary, tej samej nadziei i tej samej miłości. Katolik nigdy nie jest samotny. Jak bardzo musimy być wdzięczni Bogu, że jesteśmy aż tak

bardzo zjednoczeni i zespoleni. Zapamiętam sobie ten żywy obraz, który mi będzie przypominał moje szczęście. „Jam jest szczep winny, a wyście latorośle” (J 15,5). Ja jestem Twoją latoroślą, tkwiącą w Tobie, Szczenie winny. (7)

JEST JEDNA MATKA — KOŚCIÓŁ

Kościół jest macierzyński. W naszej inteligenckiej psychice jesteśmy tak skłonni pytać: kim on jest? Podchodzimy do Kościoła z naszą miarą, z centymetrem naszego mózgu i pytamy: czy jest on na poziomie? Dlaczego nie pytamy matki w izbie, w mieszkaniu inteligenta lub w pałacu, czy jest na poziomie?

Właściwie jest jedna matka rodzaju ludzkiego, która tylko mieszka w różnych miejscach. Jest jedna matka, ale ma rozmaite dzieci: ma niemowlęta i przedszkolaki, wieśniaków i robotników, udyplomowanych i niewiedzących, ma też i tych wszystko wiedzących i wszystko rozumiejących, którym się niekiedy wydaje, że mają prawo do sądenia wszystkiego.

Macierzyński język i poziom Kościoła

Trzeba pamiętać, że to jest przede wszystkim matka i musi mieć własny język dla wszystkich swych dzieci. Nie można do Kościoła przykładać „mojej miary”, „mojego centymetra”, którym mierzę myśli, prawa, teorie, zasady i ustroje. To wszystko jest mało wobec... Matki! Matka pielęgnuje maleńkie ziarenko, owoc żywota swojego i musi przemawiać do niego własnym językiem. Nawet matka udyplomowana musi do niemowlęcia przemawiać językiem niemowlęcia.

Gdy nieraz wizytuję parafie i błogosławię małe dzieci, przemawiam do nich, do malutkich i najmniejszych, które nic jeszcze nie rozumieją. Całe szczęście, że Kościół powszechny przemawia do dzieci, które siedzą na ramionach matek! Widzę nieraz z ambony, jak niejedna matka przerabia jak gdyby na pokarm twarde słowa udyplomowanego człowieka.

Ona często też udyplomowana, przemienia je na język dziecięcy i coś tam szepce swemu malcowi do ucha. Malec wytrzeszcza oczy i patrzy na jakąś dziwną, „czerwoną figurę”, której sam przez się pojąć nie może, ale matka mu to ułatwia. Patrzy więc z zaufaniem i nawet ręce wyciąga, chociaż nic jeszcze nie rozumie.

Taki jest Kościół święty, Najmilsze Dzieci! On też musi mieć język przerobiony i przepracowany. We współczesnej prasie, nawet katolickiej, prowadzona jest dyskusja, niekiedy niekompetentnie, na temat: czy Kościół w Polsce jest na poziomie, czy nie? Można się ubawić tymi rozważaniami, bo często ludzie, nawet najlepszej woli, zapominają, że Kościół ma różny poziom. Ma poziom betlejemskiego błota i kołyski z progu chaty. Ma poziom przedszkolaków i musi go mieć! Ma poziom szkoły podstawowej, średniej, wyższej i poziom tych wszystkich, którzy przemierzają bezkresne szlaki, szukając Boga na księżycu. Dla wszystkich musi być Matką i do wszystkich musi przemawiać właściwym im językiem. Nam kapłanom szczególnie trudno być nauczycielami prawdy, gdy mamy przed sobą wszystkie ludzkie poziomy. Musimy niekiedy zrezygnować z własnego poziomu, by dotrzeć do tych, do których musimy przemawiać.

Macierzyńskie obyczaje Kościoła świętego

W Kościele wszystko dzieje się według metody macierzyńskiej, wypracowanej w życiu Chrystusa.

Kościół też rodzi jak Maryja w Betlejem. Mówimy niekiedy: Czemuż chrzci się niemowlęta, kiedy one nic nie rozumieją? A jak się zaczęło w Betlejem? Posadził Bóg w stajni Niepokalaną Matkę Słowa Przedwiecznego. Ona dała Mu Ciało i położyła w żłobie, ażeby ludzie rozumieli, że Boga trzeba jeść! Że Boga trzeba własnymi ustami przyjąć i wcielić w siebie tak, iżby Chrystus miał prawo mówić: „Kto słucha słowa Bożego i czyni je, ten Mi jest matką i siostrą, i bratem” (Mt 12,50). Ten „teologiczny Bóg”, ujmowany „per suprema principia” nieudolności ludzkiego mózgu, staje się taki codzienny i zwykły, na każdy dzień powszedni!...

I teolog, i filozof muszą o Bogu myśleć górnie, ale gdy się już umęczą tym odgórnym myśleniem, najlepiej zrobią, gdy zwałą się na kolana

i pokornie modlić się będą do Ojca. Chrystus tak powiedział i przykazał. Gdy uczniowie myśleli, że trzeba się modlić do jakiegoś gromowładnego potentata niebios, usłyszeli: Gdy modlić się będziecie, mówcie tak: Ojcze nasz, Ojcze! Ojcze! Nasze wyniosłe głowy muszą się ukorzyć w obliczu Tego, który jest Ojcem, i z którego jest wszelkie ojcostwo na niebie i na ziemi.

Ludzkość musi mieć Matkę

Musimy zrozumieć, że Ojciec ma na tej ziemi Matkę dla swojego Syna, Niewiastę równą wam, Drogie Siostry! Była Ona bardzo uprzywielejewana, ale tylko w swoich wartościach duchowych, nie w stylu codziennego życia. Bóg musi mieć Matkę i ludzkość musi mieć Matkę! Dlatego Chrystus musiał nam dać Matkę. Dał Ją na Kalwarii i zrodził Ją z boku swojego na krzyżu — Kościół Chrystusowy. Ludzkość musi mieć Matkę, musi rozumieć Matkę i być wyrozumiała dla Matki. Musi przeniknąć styl Matki, która powinna mieć własny język do wszystkich. Ludzkość musi się niejako związać z piersią Matki Kościoła, jak się dziecko wiąże z piersią swej matki.

Kościół cały jest zbudowany według kategorii stylu rodzinnego: ojcowskiego i macierzyńskiego. Z matki nic się nie bierze, gdy obserwuje się ją z daleka. Trzeba się do niej przysunąć, i to nie tylko wtedy, gdy nam potrzeba jej pokarmu i gdy siedzimy na jej błogosławionych ramionach, ale wtedy, gdy jesteśmy tacy dorośli, dojrzały, wspaniali, wielcy i potężni. I wtedy nie przestaliśmy być dziećmi. Nam też potrzeba dziecięcego stylu i dziecięcego podejścia do naszej Matki Kościoła, jak niekiedy dochodzimy do naszej matki ziemskiej i kładziemy swą głowę, pełną mądrych myśli, na jej prostych, macierzyńskich kolanach. I tak jest dobrze! Dopiero wtedy rozumiemy, że tak być powinno. Coś się w nas rozbraja i coś się w nas otwiera. Stajemy się ludźmi prostymi, opuszcza nas ta cała wyniosła i tyrańska wielkość, w jaką się niekiedy uzbrajamy, niedostępni dla otoczenia, dla ludzi, bez rzetelnego i uczciwego dla nich słowa.

O, jak dobrze, gdy wielcy jeszcze mają matki i szanują matki! Jak dobrze, że ludzkość może mieć Matkę, i że się do Niej odnosi całkowicie po dziecięcemu. Na tym właśnie polega istotny wkład duchowy

Kościół w kulturę i w życie społeczne ludzkości, że wszystkim zmiękcza serce, pokazując nieustannie Matkę. Wszystkim skłania głowę wyniosłe, aby chcieli uczcić Matkę: tę z chaty i Tę ze świątyni. Apostazja duchowa ludzkości zaczyna się wtedy, gdy ludziom i narodom się wydaje, że na tym globie Matki już nie potrzeba.

A Kościół klęcząc na ziemi, w błocie, prostuje nam nieustannie ręce, myśli i dusze, i każe mówić: Ojcze nasz! Każe nam klękać na posadzce i mówić: Święta Maryjo, Matko Boga! Matko ludzi, Matko moja! Kościół nieustannie każe nam śpiewać hymn wielkosobotni: „Sacrosancta Mater Ecclesia”, Matka kołyski, Matka Betlejem, Matka ołtarzy i Matka ludzkości!

Kultura tu się zaczyna... I stąd, z błota wyrasta aż do tronu Bożego, gdzie jest Matka spokrewniona z Trójcą Świętą przez Syna — Słowo, któremu dała Ciało i Krew, wzięte z błota tej ziemi. Błoto ziemi reprezentowane jest w niepokalanej odmianie w Maryi — Matce, która siedzi po prawicy swojego Syna. Ona nam kiedyś na progu nieba pokaże, jako Najlepsza Matka, nie co innego, tylko błogosławiony Owoc swego macierzyńskiego żywota. (...)

Dobrze zrobiliście, przychodząc dziś tutaj, Ty, Ludu prawniczy, przyzwyczajony do norm i kategorii zda się nieugiętych, którym tylko elastyczne życie da radę. I Ty, katolicka Inteligencjo, której obowiązkiem jest rozumieć, zawsze rozumieć, lepiej rozumieć! A to lepiej rozumiane dawać tym, którzy mniej rozumieją, byśmy wszyscy razem rozumieli, że dziećmi jednego Ojca jesteśmy. (8)

PRAWDZIWI WZROST KOŚCIOŁA — OD WEWNĄTRZ

Jesteśmy ludźmi przyzwyczajonymi do ujmowania spraw tej ziemi w formy instytucjonalne. Dlatego też i w dziejach Kościoła — jak o tym świadczy dotychczasowy sposób pisania podręczników historii Kościoła — uwagę naszą zajmują przede wszystkim zmienne sytuacje historyczne. Gdybyśmy chcieli rozeznaczyć znaczenie Kościoła dla rodziny ludzkiej tylko na podstawie historii czy wojen religijnych; gdybyśmy

nawet do tego dodali — jak to jest w zwyczaju — że Kościół tworzył uniwersytety i szkoły parafialne, zapoczątkował opiekę społeczną i przyczynił się do rozwoju wielkiej sztuki gotyckiej, a nawet Odrodzenia, że wpisuje się we wszystkie poloty twórczości ludzkiej — powiemy dużo, ale jeszcze nie uchwycimy istoty rzeczy. Przypomina nam to Chrystus, mówiąc: „Błogosławieni, którzy słuchają słowa Bożego i strzegą go” (Łk 11,28).

Można pisać książki na temat: „Kościół w przełomowych okresach historii”. Można problem tak ująć, jak uczynił to Oskar Halecki w „Sacrum Poloniae Millennium”, a przedtem Engelbert Kurt czy Fryderyk Wilhelm Foerster. Ale cokolwiek byśmy powiedzieli analizując fakty i zdarzenia, jeszcze nie dotrzemy do istoty chrześcijaństwa i jego wpływu na każdego z nas, na rodzinę, naród, ludzkość i jej kulturę. Zawsze będzie powiedziane za mało, zbyt humanistycznie, zbyt historycznie. Zapomina się bowiem o procesie wewnętrznym jaki zachodzi w sercu każdego człowieka, o działaniu Chrystusa Boga-Człowieka, który pragnie nas ubóstwić — „Dii estis”. (...)

Moja religia

Chodzi o to, abyśmy przestali błąkać się po peryferiach spraw Bożych na ziemi, wśród wielości problemów egzystencjalnych, obliczeń socjologicznych, dostrzeżeń i doznań, leżących niejako poza naszym wnętrzem, w którym spotyka się człowiek ze swoim Bogiem.

Wszystko co zanotuje historia Kościoła czy teologia, ascetyka czy mistyka, to w przeważającej części są fakty kulturotwórcze. I choćby były wielkie i doniosłe, jednakże chrześcijaństwo rośnie wewnątrz człowieka. Każdy z nas jest jak stągiew z Kany, którą świat napęlnia wodą. Musi przyjść dopiero nieznaną Moc działająca w wielkiej ciszy, nie notowana w dziejach, nie dostrzeżona przez nikogo, a jednak będąca procesem stałym. Ogarnie ona moje serce, moją myśl, wołę i ciało i przepracuje wszystkie wartości ludzkie w wewnętrznym fermentie, tak iż moje myśli stają się Bożą myślą, moja wola — Bożą wolą, moje serce — Bożym sercem, a nawet ciało staje się nosicielem Boga, Jego mieszkaniem i świątynią. „Ciała wasze są poświęcone Bogu. Noście Boga w ciałach waszych”.

Dopiero to jest moja religia czyli moje związanie się z Bogiem. On działa tak, że ludzie widzą tylko „wodę” we mnie, lecz „woda” przemienia się w „wino”, które Gospodarz wesela zachował aż dotąd. To On rodzi kulturę duchową naszych czasów i nadaje im oblicze zawsze nowe, świadczące o postępie rodziny ludzkiej.

Wszyscy jesteśmy w jakimś wymiarze zlaicyzowani, zinstytucjonalizowani, zsocjologizowani, dlatego treści Boga w Trójcy Świętej jedyne-go, w Imię której jesteśmy ochrzczeni i nauczani, są dla nas niekiedy czymś dodatkowym, czymś co istnieje poza nami. My tak serdecznie i szczerze troszczymy się o Kościół i jego instytucje, a często nie wiemy czy nie pamiętamy, że Kościołem Bożym jesteśmy właśnie my, że Duch Boży w nas mieszka, nosimy Go w sercach naszych. Między nami a Bogiem istnieje stały kontakt, mniej lub więcej uświadomiony.

Tak często boimy się laicyzacji, ale właśnie to my sami jesteśmy sprawcami naszej osobistej laicyzacji, gdy odczyszczamy się od wewnętrznego powiązania naszego człowieczeństwa, naszej osobowości z Tym, który jest naszym Stworzycielem, który jako Bóg Człowiek jest naszym Zbawicielem i z Tym, który jest naszym Uświęcicielem. Proces, który zaczął się w dniu naszego chrztu, nie może w nas ustać. Ziarno chrztu, bierzmowania, Eucharystii nie może pozostać bierne. Musi w nas obumrzeć, by wydało owoc stokrotny.

Co mamy czynić w Kościele Bożym?

Nieraz z troską pytamy się: co mamy czynić w Kościele Bożym? Jest to niemal schematyczna troska i nałogowe pytanie ludzi Kościoła. A przecież w każdym z nas najwięcej się dzieje; w duszy naszej dokonuje się nieustanna wewnętrzna przemiana. Jesteśmy jak woda wylana przed Obliczem Pańskim, jak wosk roztopiony. Codziennie pada na nas Boża rosa łaski, codziennie obdarza nas Bóg swoją miłością, bo On nas pierwej umiłował, zanim się zorientowaliśmy. Nieustannie Bóg nas wewnętrznie przemienia, niedostrzegalnie dla oczu ludzkich — jak wodę w Kanie.

Wystarczy, abyśmy poruszeni łaską, skruchą, żalem, dołączyli się do Bożego działania: „Domine, non sum dignus ...” — „Agnus Dei, qui tollis peccata mundi ...” Wystarczy, abyśmy przebijając się przez wszystkie

nasze słabości, lichotę, winy, grzechy i upadki wołali: „Ty wiesz, Panie, Ty wszystko wiesz. Ty wiesz, że Cię miłuję”. Chociaż moje czyny przeczą temu, choć moje słowa nie są zdolne Ci tego wypowiedzieć — ogromnie trudno mówić do Boga słowami. Chociażby moja mowa ojczysta była najpiękniejsza i najsubtelniejsza, to jednak to co zdołam sformułować w wyrazy, jest zaledwie dziecięcym szczebiotem niemowlęcia w obliczu „Verbum Dei”, który mówi do mnie bez dźwięków. Przecież dzisiaj Osoby Jezusa Chrystusa nie słyszymy. Słyszymy Jego sługi: papieża, biskupów, kapłanów, a jednak słyszymy Jego słowa, Jego naukę. „Dziś, gdy głos Jego usłyszycie, nie zatwardzajcie serc waszych” — uczy nas Kościół.

Duch Boży tchnie kędy chce — jak wiatr, który nie wiesz skąd przychodzi i dokąd idzie — ale On ci daje światła, natchnienia, poruszenia, On ciebie uwzniośla, podnosi, trzyma przy sobie mocno jak Habakuka za czuprynę i niesie tam, gdzie sam byś nie chciał.

To jest życie wewnętrzne, to jest to „religio” czyli powiązanie człowieka z Bogiem, a właściwie powiązanie, którego Bóg sobą w nas dopełnia. To jest pełnia chrześcijaństwa, katolicyzmu. Kościół rośnie na dnie naszej duszy, naszych myśli i serca, w poruszeniach naszej woli.

Kościół jest nieśmiertelny aż do skończenia świata, ale nie w swoich różnych urządzeniach i instytucjach, które będą się zmieniały zależnie od potrzeb świata i sytuacji. Niezmienne i trwałe jest wszczepianie się Boga, chociażby różgą żelazną, w nasze osobiste życie. To stanowi prawdziwy przyrost Kościoła. Choćby było wiele wspaniałych świątyń, katedr, bazylik, Kościół będzie się modlił o coś więcej: „ut, quod Ecclesiae tuae corporalibus proficit spatiis, spiritualibus amplificetur augmentis” — aby to, co się rozrasta w budowie nowych świątyń, napelnione było mocami duchowymi. Człowiek wspaniały, religijnie przykładowy, wzorowy, rzetelny, może być tylko „wodą”. „Winem” może go uczynić tylko Chrystus przez swojego Ducha.

Nie rozumieją tego ludzie, którzy przychodzą do Kościoła „z miarą i wagą”, chcąc Kościół badać statystycznie, matematycznie, socjologicznie. Czatuja u podwoi świątyń i obliczają wszystkich, którzy weszli do kościoła, którzy przystąpili do Komunii świętej, którzy się wyświadczyli. Mój Boże, jakże głęboką treść, moc, ofiarę i miłość wszczepia w Kościół Chrystusowy matka, która modli się w skrytości swego domu, pilnując rozgorączkowane chore dziecko. Jakże wiele wnosi i ten

umęczony człowiek, któremu, dla różnych przyczyn, nie dane było przekroczyć progu świątyni... Kto to obliczy?

Chrystus siedział kiedyś przy skarbonie kościelnej i przyglądał się tym, co wrzucali na ofiarę pieniądze. Przychodzili tacy, którzy dawali bardzo dużo, z pychą; przyszła też uboga wdowa i nieśmiało wsunęła swój grosik. Zdaniem Chrystusa, ona najwięcej dała, więcej od wszystkich, bo to była cała jej majątność. Jak mało niekiedy człowiek ma do „dania” Bogu, a jak dużo to znaczy w nadprzyrodzonej „alchemii” życia i mocy Kościoła.

Słusznie dopytujemy się o rozwój kontemplacji w Kościele, czy Kościół zaradza pragnieniom człowieka szukającego odpowiednich dla niej warunków. Ale możemy ich nie znaleźć w wymiarze zewnętrznym, możemy je mieć w sobie, kontemplując Boga w sobie i odczuwając Jego obecność w swojej duszy. „Błogosławieni, którzy słuchają słowa Bożego”, którzy słuchają tego, co Duch Boży mówi Kościołowi.

Kościół przez głos papieży, biskupów, kapłanów, przez służbę sakramentalną, pomaga nam. Stwarza odpowiednie warunki, sposobności spotkania z Bogiem, zapładnia naszą myśl, pokrzepia łaską. Ale reszta dopełnia się w misterium wewnętrznego kontaktu człowieka z Bogiem Ojcem, z Bratem Jezusem i Duchem Uświęcicielem. W tym wspaniałym organizmie nadprzyrodzonym wszystko przedziwnie się przenika, tak iż Apostoł nie znalazł słów, aby to bliżej określić. Powiedział tylko: „Abyście w miłości wkorzeni i ugruntowani, wraz ze wszystkimi świętymi zdołali ogarnąć duchem, czym jest Szerokość, Długość, Wysokość i Głębokość, i poznać miłość Chrystusa, przewyższającą wszelką wiedzę, abyście zostali napełnieni całą Pełnią Bożą” (Ef 3,19).

Niech więc ci, którzy troszczą się o Kościół, pamiętają, że daremna jest ich troska, jeśli nie poznają miłości Chrystusa i pełni Boga, jak radził Apostoł przed wiekami Efezjanom. Taka troska będzie zbędną stratą czasu. Wieki, które odeszły w różnych herezjach od Kościoła — arianie, nestorianie — były ratowane przez ludzi świętych: Bazylego, Jana Chryzostoma, Augustyna, Benedykta, Tomasza, Franciszka, Dominika, Ignacego Loyolę. To były płomyki, które tu i tam, na przestrzeni odległych wieków zapłonęły i rozpałyły w świecie Boże ognie, jak tego pragnął Chrystus: „Przyniosłem ogień na ziemię i chcę, aby był zapalony” (Łk 12,49).

Kościół nie zna kryzysu

Moce Boże trwać będą w Kościele Chrystusowym do skończenia świata. One sprawiają, że bramy piekielne nie zwyciężą go i one dają odpowiedź maluczkiemu: „Nie bój się, maleńka trzódko, albowiem podobało się Ojcu dać wam królestwo” (Łk 12,32). Może cały świat zmobilizować się przeciwko Panu i Chrystusowi — Pomazańcowi Boga, lecz nic nie zdoła Mu uczynić, gdyż Bóg nie umiera na rozkaz ludzi. Niczego nie dokonają uchwały różnych parlamentów czy władz, skierowane przeciwko Bogu.

Przeżyła już ludzkość boginię Mądrości w świątyni Notre-Dame w Paryżu; Notre-Dame stoi, a boginię robaki zjadły. Ale jest prawdziwa „Notre-Dame”, którą Bóg ukrył na pustyni, a Jej Syna żywi po prawicy swojej tak, że Kościół na Soborze Watykańskim II musiał mówić o swoim misterium czyli o Chrystusie, który żyjąc w Kościele, oczyszcza go, ożywia, uświęca, jednoczy i napełnia pokojem. Czyni to przy macierzyńskiej asystencji — obecnej w misterium Chrystusa i Kościoła — Jego Matki, która do dziś „tuła się” po świecie tu i tam. W licznych objawieniach ostatnich stuleci daje znać o swojej obecności, albowiem wzięta do nieba nie zaprzestała być nam Matką.

„Manifest” Chrystusa na Kalwarii nie był tylko testamentem. Uruchoił w Kościele żywotną siłę, bo Kościół-matka, jak każda matka, też potrzebuje matki. Lękali się niektórzy ojcowie soborowi, że pojęcia te pomieszają się nam. Nie ma obawy! My przychodzimy do tej Matki, która jest Matką Kościoła, bo Kościół sam rodzicielski i macierzyński musi wywodzić się z macierzyństwa. „Maria origo mundi melioris” — wołano na Kongresie Mariologicznym w Maria Bistrica w Jugosławii. I my tak wołamy w Polsce. Jakże to wszystko przedziwnie jest nam bliskie.

„Nie bój się, maleńka trzódko” — przestań mówić o kryzysie Kościoła, nie trać na to czasu, wyzwalaj się z lęków, bo to niegodne człowieka żywej wiary, a wiara góry przenosi i szczyty zrzuca w głębiny. Pogłębiaj swój wewnętrzny kontakt z miłością, jaką Bóg pierwszy ciebie umiłował, z wiarą, którą nie ty wymyśliłeś, tylko jest ci dana, i z łaską, która jest wyłącznie pochodzenia Bożego, nadprzyrodzonego. Wtedy będziesz wiedział, co masz czynić w Kościele posoborowym — jak się o to nerwowo, gorączkowo dopytujesz.

Otwórz serce twoje i umysł, rozłóż przed Panem twoje dłonie jako wyraz twej woli, a On twoją wolę zamieni w dobre „wino”, którego nie zabraknie Kościołowi i w wieku dwudziestym. Jak przed wiekami działa się to pod tchnieniem Tej, która pierwsza dostrzegła w Kanie czego brak, szepnęła o tym swojemu Synowi i poradziła sługom: „Cokolwiek wam każe, to czyńcie”, tak i my wsłuchujemy się na Jasnej Górze w słowa Maryi: „Cokolwiek wam (Syn mój) każe, czyńcie” (J 2,5). (9)

JESTEŚCIE ZIARNEM GORCZYCZNYM

Najmilsi moi, Koleżanki i Koledzy uniwersyteccy! (...) Rozpoczynając studia akademickie braliście się za bary — wiara z niewiarą, wątpliwość z pewnością, małoduszność z wielkodusznością. Wszystko się w was zmagало, rozum, wola, serce. Duch podążał niekiedy przeciwko ciału, ciało przeciwko duchowi. W waszych młodzińskich sercach wszystko kipiało, gdy szukaliście pługa, do którego można byłoby ręce przyłożyć, uchwycić miecz ducha i pójść odważnie, zaborczo, może niekiedy rewolucyjnie, z zawziętością, ale zawsze z wiarą, zawsze z Krzyżem, w światłach Ewangelii i w modlitwie wspólnej.

Zmagając się ze sobą chcieliście rozpoznać waszą wysoką godność, miejsce w Kościele, w narodzie i w państwie. Pracowaliście w każdej niemal dziedzinie kultury katolickiej. Trudziliście się wszędzie, by realizować apokaliptyczne „ecce nova facio omnia” — „oto nowymi uczynię wszystkie rzeczy”.

Wasze ziarno wydaje dziś owoc...

Może rachunek sumienia, który dzisiaj z pełnej dojrzałości waszego życia czynicie, nie zadawała was. Wiedźcie, Najmilsi, że w Polsce katolickiej jesteście ziarnem gorczycznym, które wprawdzie najmniejsze jest ze wszystkich nasion, ale wpadło w ziemię i przyjęło się. Dzisiaj, w światłach Soboru, widzicie, że wydaje owoc stokrotny.

Pamiętamy nie kończące się dyskusje na Tygodniach Społecznych „Odrodzenia”, wysiłki i trudy rozważań ewangelicznych „Juventus

Christiana”, modlitwy, ślubowania i zobowiązania Sodalicji Mariańskich Akademickich, ekumeniczne porywy Akademickich Kół Misyjnych i wysiłki tylu innych organizacji katolickich na uniwersytetach. Widzieliśmy, Najmilsi, jak gdyby zaczątek tych problemów i spraw, które dzisiaj na Soborze ciałem się stają na waszych oczach.

Zmagając się wtedy ze sobą, uwrażliwialiście się na wielkość, godność, prawa i obowiązki osoby ludzkiej. A oto Sobór, idąc jak gdyby po śladach tęsknot waszego młodzieńczego życia, przypomniał filozofię osoby i filozofię człowieka, którą w fundamentach swojej nauki zakładał Jezus Chrystus, Słowo Przedwieczne, które ciałem się stało i zamieszkało między nami. My widzieliśmy chwałę Jego, jako Jednorodzonego z Ojca. Myśmy Go oglądali. Powtarzając często: „Credo... incarnatus de Spiritu Sancto ex Maria Virgine, homo factus” — „stał się Człowiekiem”, widzimy, że Kościół od początku bazuje na osobie ludzkiej, na człowieku. Tworzy filozofię, teologię i mistykę osoby, socjologię, kulturę, moralność i ascezę osobową. Zaczyna od człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo Boże. „Faciamus hominem”. Wy za Stwórcą powiedzieliście sobie: Uczynimy z siebie człowieka. „Poznaj, chrześcijaninie, godność swoją”. Tak często powtarzaliście: „Homo sum et nihil humani a me alienum esse puto” — „Człowiekiem jestem i nic, co człowieczego mi nie obce”.

Czytajcie Konstytucję dogmatyczną o Kościele

Wertujcie teraz, Drodzy moi, Konstytucję dogmatyczną o Kościele i Konstytucję pastoralną o obecności Kościoła w świecie. Czytajcie rozdział „De populo Dei — o Ludzie Bożym”, zobaczcie pozycję świeckich w Kościele, ich zadania w Dekrecie o apostołstwie świeckich. Zobaczycie tam udoskonaloną, pełną filozofię osoby, człowieka, od którego zacząć trzeba. Tylko ten, kto ją dobrze zna, umie ustawić właściwie jego wysoką godność, określić jego prawa i obowiązki w społeczności ludzkiej, powiązania między ludźmi, których wiąże Kościół, przekazując im przez chrzest święty Ojca, Syna i Ducha Świętego. Ta najdoskonalsza Wspólnota ma swoje odbicie w sercu każdego ochrzczonego człowieka, a przez ochrzczonego ludzi w społeczności rodzinnej, zawodowej, narodowej i politycznej. To nam daje

prawo mówić nie tylko o człowieku ochrzczone, ale również i o narodzie ochrzczone, według słów Chrystusa: „Idźcie, nauczajcie... chrzcząc narody”.

Pamiętam namiętne rozważania prowadzone na tzw. sekcji zagadnień narodowych. Patrzcie, dzisiaj materiał leży jak gdyby w pełni wydobyty z archiwum, aby się można było przyjrzeć chrześcijańskiej kulturze narodu polskiego.

Oglądałem wczoraj pismo włoskie „L'Osservatore della Domenica”. Przedstawiają tam, jak woda rzeki Arno wymyła z piwnic stare, archiwalne księgi. Przyglądają się teraz bogactwom, które posiadało wspaniałe miasto Fra Angelico i Savonaroli.

Tak u nas dziesięciowiekowe wody chrztu „Sacrum Poloniae Millennium” wymyły z archiwów księgi naszej przeszłości, abyśmy się mogli przyjrzeć zabytkom i zrozumieć, jak głęboko kultura chrześcijańska tkwi w dziejach narodu polskiego. Zobaczyliśmy, że to jest symbioza nie do rozerwania, nie do rozłączenia.

Rzucone dzisiaj hasło: rozdział Kościoła i państwa, jest próbą przeprowadzenia linii: tu Kościół, tam państwo — to znaczy naród. Spróbujcie to uczynić, sprawdźcie, czy to się wam uda. Będzie to praca najbardziej nierozumna, tak jakbyście chcieli żywego i żyjącego człowieka rozdzielić i powiedzieć: tu dusza, tu ciało. A przecież wszędzie jest dusza i wszędzie jest ciało.

Tak jest również z pełnią osobowości, którą nam pokazuje traktat „De homines” w teologii, ale pokazuje ją także traktat „De Deo”, „De Deo Redemptore”, „De Verbo Incarnato”, a zarazem cała moralność katolicka, cała asceza, socjologia i psychologia współczesna. Wszystko nam pokazuje, jaką wartością jest człowiek, jaką jednością psychiczną. Nie można go podzielić: osobno „homo oeconomicus”, „homo politicus”, „homo religiosus” i osobno „catholicus christianus”. Okazuje się, że to wszystko jest przedziwną jednością. Bóg do tego dąży, aby w nas wszystko uczynić jednością, „Utraque unum”, stosownie do prośby Chrystusa w Wieczerniku: „Spraw, Ojcze, aby wszyscy byli jedno, jako Ty i Ja, Ojcze, jedno jesteśmy” (J 17,20). To jest mądrość na czasy, które idą. Nie sztuka dzielenia i przeciwstawiania, ale mądra umiejętność łączenia, zespalania, zgodnie z charakterem osobowości ludzkiej.

To, co jest zespolone w człowieku, duch i ciało, musi mieć swoje odbicie w dalszych planach: rodzina, naród, państwo, życie społeczne,

zawodowe, kulturalne człowieka żyjącego w wielkiej rodzinie międzynarodowej.

Chrześcijaństwo wprowadza nas w życie innych ludzi, tak jak innych ludzi wprowadza w nasze osobiste życie. Dzieje się to przez naszą osobowość, ukształtowaną przez Stwórcę i przez porządek nadprzyrodzony, przez Boga w Trójcy Świętej jedyne, który czyni sobie w nas mieszkanie Boga z ludźmi. „Świątynią Ducha jesteście, Duch Boży mieszka w was, ciała wasze są poświęcone Bogu. Noście przeto i czcijcie Boga w sercach waszych” (por. 1 Kor 3,16).

Kościół dokonuje tak wielkiego wyniesienia człowieka w czasach zdawałoby się katastroficznych, gdy człowiek widział się bardziej na polu Ezechielowym niż na tronach, które dobry Ojciec szykuje nam i tym wszystkim, którzy Go miłują. Takie przepaści może wypełnić tylko Duch Boży, unoszący się nad wodami współczesnej beznadziejności, deflacji psychicznej i poniżenia człowieka w jego prawach do prawdy, wolności, sprawiedliwości, szacunku i miłości.

Jedność Ludu Bożego ukazana przez Sobór

My się tym nie zrażamy, Najmilsze Dzieci. Przeszliśmy tyle zmagania o lepsze życie osoby ludzkiej, o rozumniejsze współzycie ludzi w duchu sprawiedliwości i miłości. Patrzcie, jaką wspaniałą lekcję chrześcijańskiej równowagi społecznej i wyrównania daje Sobór w Konstytucji dogmatycznej o Kościele, zwłaszcza w II rozdziale, gdzie naucza o Ludzie Bożym. Tyle kiedyś mówiliśmy o tym, wydobywając z wielką pracowitością z nauki św. Pawła wszystkie myśli o Ludzie Bożym. Dzisiaj nam Sobór pokazał, jak trzeba na nowo ustawiać wszystkie sprawy, w pełni szacunku dla całego Ludu Bożego, którym i my też jesteśmy.

Według Soboru, Lud Boży to papież, biskupi, kapłani, rodziny zakonne, świeccy — małżonkowie, dziatwa, młodzież, wszyscy skierowani ku świętości, wszyscy powołani do realizacji ostatecznych, eschatologicznych celów w nie kończącym się wymiarze Kościoła ożywiającego, uświęcającego i triumfującego. Triumfującego dlatego, że zawsze ojcowskiego, zawsze rodzącego. (...)

Kościół, mimo że idzie drogą kalwaryjską, jest triumfujący i zawsze zwycięża, a to wszystko, co świat bez Boga tworzy, przeważnie się

kończy w błocie ludzkiego sponiewierania. Kościół wydobywa nawet z błota swoje dzieci, ratujące się jeszcze resztkami nadziei i wprowadza je na drogę ku prawdzie i żywotowi, którym jest Chrystus. (10)

ZWYCIĘŻA CHRYSZTUS OPUSZCZONY

Współcześnie jesteśmy świadkami zagubienia się myśli człowieka, usiłującego pojąć sprawy Boże. Ten sam człowiek, który jedną prawdę Bożą przyjmuje i aprobuje — nie dostrzega innych prawd, nie widzi całości, która w działaniu Bożym ma swoją logikę i swój wewnętrzny związek. Stąd powstają ludzkie trudności, kłopoty, wątpliwości w wierze, rozważania, zastanawiania się: czy to jest słuszne, czy też nie, czy łączy się w całość, czy może staje się dla tej całości czymś nieuzasadnionym? To są jak gdyby ciernie, które ranią myśl ludzką i nie pozwalają człowiekowi spokojnie ogarniać zasadniczych, podstawowych prawd działania Bożego. (...)

Badając historię Kościoła...

Obraz ciągłości działania i konsekwencji możemy również dostrzec w Kościele Chrystusowym. Badając historię Kościoła, widzimy wielkie kroki naprzód i załamania się, zrywy reformatorskie, nowe uderzenia światła, przyływ energii i mgławice, poprzez które przebija się Kościół, świadom, iż zbudowany jest na Chrystusowej zbawczej woli, pełnej miłości. — Ty, Piotrze, któryś się Mnie zaparł, któryś powiedział: Nie znam tego Człowieka — ty jesteś Skala, Opoczyste, „Petra”. I na tobie, na tej skale, na opoczystym, „super hanc petram” zbuduję Kościół mój i bramy piekielne nie zwyciężą go. Ty będziesz miał klucze Królestwa niebieskiego. Ty staniesz w dalekiej eschatologicznej wizji, aby zatrzymać grzechy i rozwiązywać je, aby prowadzić ludzkość do Ojca...

Tej wizji nie tylko żaden papież, ale cały Kościół wyzbyć się nie może, tę wizję musi widzieć. Bo Kościół to jest żyjący Chrystus. A Chrystus żyjący w Kościele jest niemowlęcy, jak w Betlejem, jest młodzieńczy,

z nagłymi przeblyskami ujawnionej niezwyklej mądrości Młodzieńca w świątyni, nad którego słowami zdumiewali się badacze Prawa Mojżeszowego. Zdawałoby się dwunastoletni Jezus, a już taka pełnia mądrości. To wizja doskonałej teologii z Listów św. Pawła. Nieraz zastanawiamy się, jak zaledwie w kilkadziesiąt lat po Wniebowstąpieniu Chrystusa można już było pisać wspaniałe traktaty o Mistycznym Ciele Chrystusa, jakie znajdujemy w Listach św. Pawła Apostoła. Dzisiaj na Soborze Watykańskim II w Konstytucji dogmatycznej o Kościele wróciliśmy do Listów Pawłowych, jak gdyby do dwunastoletniego Jezusa w świątyni jerozolimskiej.

Pomimo że szczegóły, detale są różne, niewyrównane, nieproporcjonalne, małe lata — wielka mądrość, jednak plan Boży idzie naprzód. Bóg konsekwentnie prowadzi odkupioną rodzinę ludzką do pełni, aby każdy z nas jak Maryja w Nazaret był łaski pełny, aby dusza nasza pełna była jak stągwie w Kanie Galilejskiej, aby w każdym z nas „dobre wino” zachował Bóg i Ojciec nasz aż do czasów dzisiejszych.

Można by tak prześledzić całe dzieje Kościoła. Zdawałoby się — same wzloty, zdolność do każdego poświęcenia, do ofiary, męki i męczeństwa, które ma swoje bazy w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, a swoje echo w obozach koncentracyjnych w Dachau i gdzie indziej, gdzie tysiącami ginęli kapłani i biskupi, polscy i niepolscy.

Zdawałoby się, że Chrystus idący przez swój Kościół jest wspaniały, jak Chrystus uczący tomaszowym piórem: „Dobrze napisałeś o Mnie, Tomaszu”. A jednocześnie — wiek ciemności, którym dzisiaj gorszą się nieucy zajmujący się historią wczesnego średniowiecza.

Zdawałoby się, że są już wspaniałe przebliski w potędze miłości — u Franciszka, w potędze apostołskiej — u Dominika, w potędze umysłu — u Tomasza, Antonina z Florencji i innych wielkich myślicieli, w precyzji Soboru Trydenckiego. A tu znowu pierwszy, drugi i trzeci „upadek” Tego, który żyje w Kościele — Chrystusa, nowa Kalwaria. Jak gdyby wszelka krasa i piękność Syna Bożego, Nauczyciela Prawdy, Lekarza i Zbawcy opuściła Go. Jak gdyby sam Bóg Go opuścił. „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?” (Mk 15,33).

Spojrzenie posoborowe

Nieraz w Kościele zda się, że Chrystus śpi jak w łodzi Piotrowej. Wówczas ludzie niespokojni o losy Kościoła, w trosce, by nie utonął wśród burz, wołają: „Panie, ratuj nas, giniemy!” (Mt 8,25). Słyszą spokojne: „Małej wiary...”. Czy zapomniałeś, małej wiary, że powiedziano o mojej Matce „Łaski pełna”? Czy zapomniałeś, człowiecze Boży, że to moja Matka usłyszała: „Co się z Ciebie narodzi Świète, nazwane będzie Synem Najwyższego”? Czy zapomniałeś, że moc wyzwala się i dochodzi do doskonałości — w słabościach? Że „głupstwo krzyża” nie może być przysłonięte ludzką mądrością? Chcielibyśmy nieraz mądrością ludzką „wytapetować” Krzyż, aby nie był taki ostry, kanciasty, nieznośny, rażący współczesnego pięknoducha, pragnącego chrześcijaństwa „w rękawiczkach” i zbawiania bez bólu, bez cierpienia, bez ofiary, bez wyrzeczenia się siebie. A przecież Chrystus, ten z Taboru Przemienienia, jaśniejący na twarzy jako słońce, w szatach białych jak śnieg — leżał pod Kalwarią w błocie! I wtedy nie przestał być Bogiem, nie przestał być z woli Ojca Niebieskiego Ofiarą. Nie przestał być wybranym przez Ojca — Synem umiłowania Ojcowego. Tym, który idzie, aby przez śmierć zniszczyć śmierć, aby stał się Zwycięzcą śmierci i stanął na czele odrodzonej rodziny ludzkiej.

Takie głębokie upadki, z których pesymiści wróżą: „skończył się Kościół!” — są początkiem nowych wzlotów i nowych zdobyczy Kościoła. Kościół jeden ma gwarancję, że będzie istniał aż do skończenia świata. Nie ma takiej gwarancji żadna dynastia, żadne mocarstwo!

Po Soborze Watykańskim II, gdy odsłoniły się wielkie światła Kościoła i aż tyle ma on do powiedzenia rodzinie ludzkiej XX wieku, zdawało się, iż nastał w Kościele nowy złoty wiek, nowy okres. Wydawało nam się: żadnych trudności, żadnych przeciwności, wszyscy otrzymali swoją część. Okazało się na Soborze, że „stągwie” są pełne „wina”, że „dobre wino” przetrwało do Soboru i jest radością wszystkich.

Nagle przyszły chwile ciężkie, trudne, kontrowersyjne, chwile pełne bóleści dla Głowy Kościoła i dla biskupów. W takich chwilach zapominamy o tym, że już była Łaski pełna, że Duch Świète zstąpił na Nią, że to, co się z Niej narodziło Świète, nazwane jest Synem Bożym.

Wprawdzie słyszano: „Jam jest robak, a nie człowiek, pośmiewisko ludzkie i wzgarda pospólstwa”, — „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?”, ale też słyszano: „Wykonało się”.

Wydawało się nam, że po Soborze będzie szło łatwiej, bez trudności. Zapomnieliśmy, że Królestwo niebieskie gwałt cierpi i gwałtownicy porywają je. Odnowa soborowa nie zaczyna się od pomnażania stosów papieru, książek, nie polega na udzielaniu wywiadów, na zyskiwaniu popularności przez różnych teologów, którzy rozjeżdżają się po świecie i rzucają wypowiedzi niedostatecznie przemyślane, wyważone. Zdaje się, że najbardziej słuszne jest to, co powiedział jeden z ojców soborowych: „Po Soborze musimy wszyscy trochę zmilknąć, więcej się modlić, więcej myśleć, a mniej mówić, nie tak pochopnie, pospiesznie”.

Zostaliśmy ukarani za naszą pychę, że już wszystko zrozumieliśmy. Zostaliśmy ukarani za naszą gotowość zbierania owoców bez wysiłku, bez pracy: „Bądźmy spokojni, Sobór wszystko zrobi”.

A my? Czego nauczyliśmy się z Soboru i co z Soboru weszło w nasze życie? Może chcielibyśmy, żeby wspaniałe akta soborowe stały jak najprędzej na regałach, na półkach — a życie potoczy się dalej? Nie, tak nie będzie! Przez trud posoborowy musi przejść ukrzyżowany Chrystus, a my ludzie posoborowi musimy powiedzieć: „Witaj Krzyżu, Nadziejo jedyna”. Nie wystarczy powiedzieć: Niech żyje zwycięstwo rozumu, postępu w wierze! Trzeba powiedzieć: Niech żyje w nas Chrystus ukrzyżowany! Ten zbawiający, za nas się ofiarujący. Ten, który mówi: „Kto chce iść za Mną, niech weźmie krzyż swój na ramiona swoje i naśladuje Mnie” (Mt 16,24). „Per cruce ad lucem”. Musimy lepiej zrozumieć sens odnowionej Ofiary, która jest nie tylko Ofiarą Chrystusa, ale ofiarą każdego z nas. To ofiara z naszych nieuporządkowanych myśli, które muszą się upracować w męce, cierpieniu, wysiłku i trudzie, aby ziarno pożywne dla naszych czasów wydobyć i przeżuć, aby nas wewnętrznie wzmocniło i pokrzepiło.

Nie wystarczy mówić i deklarować...

Nie wystarczy mówić i deklarować, trzeba czynami poprzeć, że jesteśmy gotowi miłować coraz lepiej, coraz głębiej, coraz rzetelniej, przyjmując jako miarę miłości na czasy dzisiejsze słowa Chrystusa: „Nie

ma większej miłości nad tę, gdy ktoś duszę daje za braci” (J 15,13). Po czasach sięgania po dusze ludzkie, po życie i krew ludzi, po czasach poniewierki i dyskryminacji człowieka musi przyjść czas na większą jeszcze miłość, na większy jeszcze szacunek i zrozumienie człowieka, jego wysokiej godności! Muszą przyjść czasy, w których władać będzie znaczyło służyć, w których nie będzie demosu i ugniotu człowieka sponiewieranego. Czasy, w których będziemy mieli dla człowieka tyle miłości, ile się tylko zmieści w naszym sercu, tyle, ile byśmy jej pragnęli dla siebie.

Tak powstanie nowy świat, jaki szkicował Sobór w Konstytucji pastoralnej o obecności Kościoła w świecie, jaki odstaniał Jan XXIII w encyklice „Pacem in terris”, jaki głosił Paweł VI w encyklice „Do ludów afrykańskich”. Oto nowe spojrzenie na człowieka, aby to, co się rodzi pod sercem Kościoła było tak ocenione, jak Zwiastun ocenił to, co się miało urodzić pod sercem Maryi. „To, co się z Ciebie narodzi — Święte”, i to, co się z Kościoła narodzi — święte! Nie wstydzmy się tego programu: „Świętymi bądźcie, jako Ja jestem święty” (1 P 1,16). To jest prawdziwa odnowa soborowa. Taki jest duch Soboru.

Duch Soboru to nie publicystyka, to nie jest kłótnia, dyskusja czy dialog, taka czy inna kontestacja. Duch Soboru to nie jest wyzwalanie się setkami dyspens od ofiary, to nie jest zagadnienie życia bez ofiary dla kapłanów, biskupów i ludu Bożego.

Wszędzie musi być obecna w misterium Chrystusa i Kościoła Matka Bolesna, Łaski pełna. Wtedy maleją nam w oczach spory i kłótnie, wywody publicystów, odosobnione opinie, rzucane raz po raz nowe problemy, jakże niedojrzałe, niepoważne, nieprzemyślane. Jak gdyby szło tylko o to, by produkować wiatry i niepokoić nimi słabych duchem, słabych sercem, słabych wiarą.

Mówi się o katolikach po Soborze. To nie są trzciny chwiejące się od wiatru. To nie są ludzie, którzy zbierają gorączkowo różne opinie i biegają od jednego kapłana do drugiego z pytaniem: co ty o tym myślisz? To są ludzie, którzy niekiedy muszą pokornie uklęknąć i w modlitwie do Ducha Świętego modlić się o Boże światła dla zrozumienia tego, co mówi Kościołowi na czasy dzisiejsze Duch Boży.

To jest pełnia, całość. Wtedy dopiero nasze myślenie religijne nie rozsypuje się jak znoszona szata. Widzimy jasno, jak sprawy wielkie są związane z małymi, drobnymi. Jeśli tych drobnych nie rozumiemy,

starajmy się zrozumieć ramy, które trzymają strukturę Bożą, plan Boży, którego Bóg nie da sobie zepsuć, plan, w którym wyraża się potęga Boża — „Cuius potentia misericordia”. Wtedy wszystko jest jasne. Chociażbyśmy widzieli Chrystusa — papieża, biskupa, kapłana — jak gdyby powalonego na drodze krzyżowej, wiemy, że On dojdzie na szczyt, na Kalwarię i chociaż wydawałoby się, że przegrał — wygrał! Z Chrystusem wygra! Zdawało się ludziom, że Chrystus przegrał na krzyżu. Opuścili Go Apostołowie. Została tylko Maryja, bo sam Bóg Ją tam postawił. I został Jan. Zdawało się, że Chrystus przegrał. Ale właśnie wtedy była godzina zwycięstwa, gdy był sam. (...)

Przecież już nieraz bywało tak w dziejach Kościoła. Piotr był sam, Paweł w więzieniu — sam, Andrzej na krzyżu — sam. Wojciech nad Bałtykiem — sam, Stanisław na Skałce — sam. I wtedy właśnie powstawało największe, najwspanialsze dzieło, żywotne do dziś dnia. Wystarczy, że jest ten, który usłyszał, jak apostołowie nad jeziorem Genezaret: „Idźcie, nauczajcie, chrzcząc” — wystarczy, że jest biskup. Jest z nim Chrystus. A gdzie jest Chrystus, tam i Jego Matka, a gdzie jest Syn i Matka — tam jest wszystko. Wpierw czy później zrozumie to lud Boży. Nieraz nas straszą perspektywą odejścia ludu. Ale zostaną nauczyciele Prawdy i na nich zawsze będzie ciążył obowiązek głoszenia Prawdy.

Chciejmy to misterium widzieć, rozumieć je, bo „veritas Domini manet in aeternum” — prawda Pańska trwa na wieki i usta mądrego nie swoją, ale Tego, który go posłał, wypowiadają naukę. W naszym życiu, myśleniu i trudzie katolickim trzeba mieć umiejętność wiązania szczegółów, drobiazgów małych czy dużych w syntezę, w całość. Niech nas uczy tej umiejętności ludzi inteligentnych — Maryja, Łaski pełna. (11)

PRAWDZIWI CZCICIELE BOGA — W DUCHU I W PRAWDZIE

Misterium Kościoła to żyjący w nim Jezus Chrystus.

Słusznie czynimy powiększając materialne wymiary instytucji Kościoła powszechnego przez budowanie świątyń — jest to niezbędne ze

względów społecznych. Jednakże Kościół w dniu konsekracji domu Bożego modli się do Boga, aby to co rozszerza materialne wymiary Kościoła, napełnione zostało mocami duchowymi — „ut, quod Ecclesiae tuae corporalibus proficit spatiis, spiritualibus amplificetur augmentis”. Właśnie idzie o wzrost nadprzyrodzonych, duchowych mocy mieszczących się w instytucji Kościoła, w jego strukturze hierarchicznej, administracyjnej, czy też w świątyniach wznoszonych z kamieni.

Wiemy, że dziś na świecie wspaniałe świątynie, jak na przykład potężne bazyliki rzymskie czy stare gotyckie katedry francuskie, często są puste. Mogłoby się komuś zdawać, że Kościół traci swą moc. Zapewne, gdyby moc Kościoła wyrażała się w wymiarach materialnych świątyń, można by tak myśleć. Ale my wiemy, że Kościół nieustannie poprawia nasze myślenie i oczekuje od nas wgłębienia się w jego misterium. Przypomina nam, że zapoczątkowany w Nowym Przymierzu, w stajni betlejemskiej, rozwijany i budowany był przez samego Chrystusa na polach i łąkach, nad jeziorami i w górach, wreszcie zrodzony został na krzyżu.

Jak pięknie o tym mówią Ojcowie Kościoła, Kościół wyszedł z boku Nowego Adama, przebitego na krzyżu. „Jeden z żołnierzy włócznią otworzył bok Jego i zaraz spłynęła zeń krew i woda” (J 19,34). Otwarte zostało przez żołnierza — może w sposób nie całkowicie świadomy, nie rozumiany przez otoczenie — Serce Boga, aby człowiek mógł wszczepić się w tę otwartą Ranę, w życie Chrystusa działającego w Kościele.

Zachęca nas Ewangelista, abyśmy zrozumieli misterium tego widzialnego znaku otwarcia boku Chrystusa, abyśmy się przyglądali Temu, którego przebodli — „Videbunt in quem transfixerunt” (J 19, 37). I tutaj właśnie bierze początek wszczepianie się człowieka we wnętrze Boga, w duchowość Zbawcy posłanego przez Ojca, ukształtowanego w Maryi przez Ducha Świętego. To jest istota posłannictwa Chrystusa, istota chrześcijaństwa. O takim realizowaniu Kościoła mówił Chrystus do Samarytanki: „Przyjdzie godzina, gdy prawdziwi czciciele czcić będą Boga w Duchu i w prawdzie” (por. J 4,23).

Każdy z nas jest świątynią Boga

Nie wiem, czy ciągle wołanie, które słyszymy zwłaszcza z ust młodych ludzi, o autentyczność życia chrześcijańskiego, jest całkowicie uświadomione, czy ci młodzi ludzie myślą o wszczępieniu się w Chrystusa, czy też może o zewnętrznej zgodności naszych czynów z wiarą. Prawdopodobnie idzie im o to ostatnie. Ale gdy Kościół soborowy mówi o odnowie Ludu Bożego, to na pewno myśli o tym, na co Samarytanie zwrócił uwagę Jezus Chrystus, iż prawdziwi czciciele Boga czcić Go będą nie w Samarii czy Jerozolimie, albowiem nadchodzi już godzina, owszem, ona już jest — mówi Chrystus — gdy „prawdziwi czciciele Boga czcić Go będą w Duchu i w prawdzie”. (...)

Kościół jako instytucja jest dzisiaj często nie zrozumiany na skutek rosnącego indywidualizmu religijnego. Uważa się niekiedy jakoby struktura hierarchiczna, organizacyjna Kościoła była już dziś niepotrzebna. A jednak stanowi ona o ładzie życia i współżycia w Kościele Bożym. Instytucje działające i dziś w Kościele powszechnym ułatwiają nam życie chrześcijańskie, bo nieustannie pobudzają nas do tego, abyśmy wchodzili przez otwarty bok Zbawiciela w misterium Chrystusa żyjącego w Kościele i abyśmy czcili Boga w ciałach naszych „w Duchu i w prawdzie”.

Podziwiamy piękno świątyń, ale nie zapominajmy, że każdy z nas jest świątynią Boga, mieszkaniem Boga z ludźmi, żywym domem Bożym, każdy z nas ma czcić i nosić Boga w swoim ciele — mówi Apostoł (por. 1 Kor 3,16). Gdybyśmy chcieli porównać nasze śmiertelne ciało przeznaczone do zmartwychwstania do świątyni widzialnej, zbudowanej z kamieni, to moglibyśmy powiedzieć, że wprowadzie i ono się rozsypie, jak może się rozsypać niejedna wspaniała katedra, lecz nasze ciało kiedyś zmartwychwstanie, bo jest ono świątynią Boga — „glorificate et portate Deum in corpore vestro”. Pamiętajmy, że jak nasze katedry, kościoły parafialne i kaplice są potrzebne dla zachowania ładu Bożego w Kościele, tak i ciało nasze jest potrzebne, by nosiło duszę. I jak świątynie, tak i nasze ciała, i nasze człowieczeństwo musi być napełnione Duchem Bożym. „Jesteście bowiem mieszkaniem Boga, świątynią” — „Duch Boży mieszka w was” (1 Kor 3,16) — pouczają nas teksty Nowego Przymierza.

Właściwe rozumienie Kościoła

Ludzie mający uwrażliwienie społeczne, które świadczy o społecznej naturze ich osobowości, skłonni są patrzeć na Kościół od strony instytucjonalnej. Dlatego ciągle wytaczają problemy peryferyczne: zagadnienie budowy świątyń, zagadnienie takiej czy innej instytucji w Kościele, problem umiędzynarodowienia administracji Kościoła Rzymskiego, obsadzenia diecezji przez takiego a nie innego biskupa, postawa godnego lub niegodnego kapłana, zagadnienie urzędzeń i zmian liturgicznych itp. Niekiedy zatrzymują się na wymiarach społecznych, zewnętrznych, dotykalnych, widzialnych. Niewątpliwie ma to doniosłe znaczenie chociażby dlatego, że obok takich ludzi istnieją inni, którzy są zupełnie niewrażliwi na stronę widzialną, społeczną Kościoła; subiektywizują życie religijne i chcieliby do tego sprowadzić cały Kościół powszechny, aby niejako zniknął w swych wymiarach instytucjonalnych. (...)

Prawda leży w tym, że jak człowiek nosi i czci Boga w ciele swoim, tak i Kościół nosi i czci Boga w swych wymiarach zewnętrznych, widzialnych, instytucjonalnych, ale zawsze ukierunkowany jest na człowieka. Usiłuje Boga Człowieka wszczepiać w życie ludzkie, tak iżby każdy człowiek był żywym kamieniem budowania Kościoła Chrystusowego.

Dopiero wtedy jesteśmy w prawdzie, gdy wszczepieni w jeden święty, katolicki czyli powszechny i apostołski Kościół, budowany na Piotrze jako Opoce i na biskupach, jesteśmy w nim kształtowani przez Chrystusa „w Duchu i w prawdzie”. Nasz autentyzm powinien przejawiać się nie tylko w takim czy innym usposobieniu społecznym, które nas uwrażliwia na zewnętrzne warunki bytowania Kościoła, ale powinien nas nieustannie uwrażliwiać na to, kim my w tym Kościele jesteśmy. Czy naprawdę jestem „w Duchu i w prawdzie” — to znaczy czy żyję Duchem Bożym? A Duch Boży to miłość Boga Ojca, łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa i dar jedności w Duchu Świętym. Czy więc żyję w Duchu trynitarnym, czy żyję w Prawdzie, która jest objawiona jako nauka Ojca, przyniesiona przez Chrystusa i głoszona dzisiaj przez „Magisterium vivum Ecclesiae”, przez Papieża i biskupów?

Pod tym kątem musimy, Najmilsi, badać nasz autentyzm chrześcijański i całe nasze osobiste życie. To jest miara naszego autentyzmu. Inaczej moglibyśmy się zatracić w subiektywizmie, w którym zagubia się dzisiaj

tak wielu ludzi. Zamykają oni oczy na Kościół Chrystusowy, na Ewangelię i sakramenty święte, na różne formy modlitwy liturgicznej czy paraliturgicznej a szukają tej „wody”, której szukała Samarytanka, nie wiedząc, że przy studni, z której ona chce czerpać, siedzi Ten, który jest sam Źródłem wody żywej. (...)

Budujemy Kościół Boga żywego „w Duchu i w prawdzie”

„Odrodzenie” — słowo, którym często się posługiwaliśmy w naszych czasach akademickich — również było uwrażliwione bardziej na wymiary społeczne Kościoła, niż na „profundum” życia Bożego w człowieku. Ale powoli do tego zmierzało. Dziś wspominamy tylko tę pracę akademicką na różnych uczelniach przedwojennych. Dzisiaj tej instytucji nie ma, pozostał jej duch, doszukujący się autentyzmu życia chrześcijańskiego. W tym duchu gromadzimy się od czasu do czasu na Jasnej Górze, wspominając dawne instytucje, które uczyły nas przyglądać się Chrystusowi — „videbunt in quem transfixerunt”.

Ale dziś przez doświadczenia naszego życia osobistego i przez doświadczenia Kościoła poszliśmy dalej. I chcemy iść dalej w tym duchu, który odślonił nam na Soborze Duch Święty poprzez główne Konstytucje — Dogmatyczną, Pastoralną i Liturgiczną. Obyśmy pamiętali, że mamy budować na Żywym Kamieniu — Jezusie Chrystusie, my wybrane kamienie — Dom Boży, Kościół Boga żywego. Kościół, który jest mieszkaniem Boga z ludźmi, a którego słabym tylko odbłaskiem, choć tak koniecznym i szacownym, jest kościół na Lateranie — Bazylika Biskupa Rzymskiego, Bazylika Gnieźnieńska, Krakowska, Lwowska, Warszawska i inne. One nam pomagają w naszej drodze do Boga, ale nie są wszystkim. Wszystkim są prawdziwi czciciele, o których mówił Chrystus — „przyjdzie czas, gdy czcić będą Boga prawdziwi czciciele w Duchu i w prawdzie”, i to na całym świecie. Ten czas nadchodzi.

Nie myślm, że Kościół już wypełnił całe swoje zadanie. Nie myślm też, że Kościół osłabł, chociaż wydaje się, że jest ukrzyżowany. I Chrystus był ukrzyżowany i właśnie wtedy zbawiał i zwyciężał. Choćby Kościół w naszej Ojczyźnie był ukrzyżowany, będzie wydobywał z siebie takie moce, które czynić z nas będą mieszkanie Ducha Świętego,

mieszkanie Boga z ludźmi. Bo każdego z nas wyzwoli z siebie i uwrażliwi na Lud Boży, tak iż zrozumiemy wszyscy, że zbawienie jest społeczne, w całym Kościele, który też ma wymiary społeczne, choć składa się z poszczególnych osób, ochrzczonych w imię Trójcy Świętej, która jest Troistą Jednością. (12)

DO WSPÓŁCZESNYCH APOSTOŁÓW ŚWIECKICH

Działanie Boga na ludzi konkretyzuje się w Kościele Chrystusowym. Ludzie będą toczyli nie kończące się spory o charakter Kościoła, o zakres jego działalności, o sens i sposób jego apostołowania. W różnych okresach będą różnie pojmowali zadanie Kościoła.

Upłatanie się Kościoła w sprawy ziemi

Zapewne, w Listach Pawłowych zapłonęło wielkie światło, dzięki któremu ukazało się nam właściwe oblicze Kościoła, Mistycznego Ciała Chrystusa. Zapewne, zrozumiemy wydaje się nam Pawłowy obraz Kościoła, gdy interpretują go w swoich pismach Ojcowie Kościoła, zwłaszcza Jan Chryzostom, Augustyn, Bazyli. Ale jakże często idzie to wszystko w niepamięć i zaciera się właściwe pojęcie Kościoła. Jak często ludzie, poddający się takim lub innym nastrojom, zapominają, że Kościół jest jak ziarno pszeniczne, które wpada w rolę, aby tam obumarłszy, wydać owoc stokrotny.

Dlatego będą okresy w dziejach Kościoła, że najlepsi jego synowie, wzięwszy z Kościoła łaskę przez chrzest i wiarę, przez sakramenty i modlitwę, uciekną na pustynię, aby się tam uświęcać. Będą obcować z Bogiem „sam na sam”, jak im się wydaje — „twarzą w Twarz”, zamykając oczy i zatykając uszy w milczeniu, załęknienu, aby „ten świat” do nich nie przyszedł i nie zakłócił ich związku z Bogiem... Z czasem jednak będzie się to zmieniać, chociaż bardzo powoli i nieśmiało.

Jedni mnisi osiadają na górach wysokich, jak benedyktyni, aby z ich szczytów śpiewać: „Laudate Dominum omnes gentes...” Chrystus też był

na górze wysokiej, osobno, z uczniami swoimi, ale potem sprowadził ich do nędzy ludzkiej, postawił wobec rzeczywistości paralytyka, kazał go ratować, przywracać człowiekowi i światu. Inni osiadą w dolinach ocienionych, nad brzegami wód, osłonięni górami, aby świata nie widzieć. Będą wyśpiewywać Bogu słodkie kantyki, w nadziei, że może w tej absolutnej kontemplacji, tak porywającej, a tak przy tym trudnej — widzimy to z pism Mertona — w odosobnieniu i całkowitej ucieczce przed wszystkim co przypomina świat, znajdą w pełni Boga.

Inni jeszcze, jak Franciszek z Alwerni, rozumieją, że mając Boga i rozkoszując się Nim, są jednakże otoczeni niedolą tych, którzy Boga nie znają. Dlatego Franciszek rozgani swych braci po całym świecie. Jeszcze lepiej uczyni to Dominik, który nakaze swoim uczniom wleźć między ludzi i budować klasztory w najciaśniejszych kątach miasta, jak np. u nas w Warszawie, na Nowym Mieście, gdzie dominikanie wykupywali małe działki ziemi w najbardziej zatłoczonym miejscu, aby być wśród ludzi. Tak zaczną coraz odważniej płynąć fala synów Bożych, którzy będą szukali Boga dla ludzi, wśród ludzi.

Ta fala wędrowców Bożych będzie się coraz bardziej wyzwalala. Przyjdzie wiek XVIII, XIX, a z nimi potężne organizacje i zgromadzenia, które okryte habitem, jeszcze za klauzurą i w pewnym odosobnieniu, będą się starać uświęcać i zbawiać nie tylko przez wspaniałe środki, jakimi są sakramenty święte i modlitwa, ale także przez służbę ludziom, przez uczynki miłosierne co do duszy i co do ciała. Namnoży się wiele zgromadzeń zakonnych, których największym dążeniem i pragnieniem jest objawiać Boga ludziom przez czyny, „aby widzieli uczynki dobre i chwalili Ojca, który jest w niebie” (Mt 5,16).

Taki jest w życiu Kościoła wiek XVII, XVIII i XIX. Wzrastająca fala zgromadzeń dobroczynnych, charytatywnych, opiekuńczych, szkolnych, wychowawczych, apostoelskich, wypełniła życie i kształtowała w ostatnich wiekach dzieje Kościoła. Ale mimo wszystko świat głodnych, nie znających i szukających Boga — narasta.

Dlatego też w czasach współczesnych, gdy wzrasta ateizm i zobojętnienie, gdy programuje się zniszczenie Imienia Bożego na ziemi, tak, aby nie było już przez nikogo wspomniane, Kościół idąc za natchnieniem Ducha Świętego, wyszukuje nowe formy życia dla ludzi, oddanych służbie braciom poprzez pracę zawodową, a jednocześnie apostoelską. Mając dobre przygotowanie do pracy w zawodzie i poświęcając się jej we

własnym środowisku, są w nim jak ziarno pszeniczne, rzucone w rolę. Żyjąc wśród ludzi, przez wspólnie wykonywaną pracę i dobry przykład, przez ducha apostołskiego i żarliwą miłość, obumierają sobie, aby wydać owoc stokrotny i przynieść Chrystusowi Panu do Jego gumna trzydziesty, sześćdziesiąty czy setny plon.

To jest XX wiek Kościoła! Obok zakonów kontemplacyjnych i zgromadzeń zakonnych rozkwitają w nim instytuty świeckiego apostołstwa. Rozkwit instytutów każe nam spojrzeć na Kościół nowymi oczyma i zobaczyć go nie na górze wysokiej w odosobnieniu, nie w abstrakcji i w astralnych wymiarach, ale wśród spraw tego świata. Widzimy więc Kościół uwikłany w sprawy ziemi, jak Słowo Przedwieczne było uwikłane w Ciało. Widzimy Kościół w ciągłej wędrówce, jak ongiś oglądano Chrystusa, wędrującego od Samarii do Galilei czy do Jeruzalem, przez Transjordanie i z powrotem do Tyru, Sydonu... Widzimy Kościół uplątany w sprawy ludzkie, dotykający jak Chrystus każdej niedoli, wszystkich rozgorączkowanych, chorych, ślepych, nagic, trędowatych. Widzimy Kościół wrażliwy na sprawy tej ziemi, jak wrażliwy był Prorok na sprawy swej ojczyzny i narodu, świętego Jeruzalem.

Życie Kościoła w konkretności narodu

Znamienne jest, że Chrystus Pan, który przyszedł do ojczyzny swojej, chociaż Go w niej nie przyjęli, podkreślił w jakiś osobliwy, a może nawet twardy sposób, że jest posłany jeno do owiec, które zginęły z Domu Izraelskiego. Dopiero uczniom swoim zlecił: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody!” (Mt 28,19). Jakby pragnął zaznaczyć: Ja sam, Syn Dawidów, muszę być tu, na Syjonie, w pośrodku mej ojczyzny i mojego dziedzictwa, a dopiero wy — „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody” — „Omnes gentes!...” W jakikolwiek sposób chcielibyśmy te słowa tłumaczyć i komentować — czy chodzi tu o ludy, narody, czy o pokolenia — prawdą jest fakt, że Chrystus chciał uwrażliwić uczniów na konkretne formacje socjologiczne, jakimi są narody.

Dobrze wiemy, że nie narody są ochrzczone tylko ludzie, członkowie narodów. Gdy więc mówimy: „Milenium Narodu polskiego”, pamiętamy, że wszystko działo się w konkretności, a łaska Boża padała w serca

ludzkie, bo tylko one zdolne są miłować. Ale ostatecznie wiemy także, że przez ludzi zdobywane są dla Boga rodziny, narody, państwa i różne inne formacje społeczne. Dlatego też Apostołowie, gdy rozeszli się po dwóch wędrowali do różnych narodów. Mówi się o Apostołach różnych narodów. Oni już zaczęli opierać Kościół Chrystusowy o pewien konkret. Powstał nawet spór między Piotrem i Pawłem. Piotr chciał oprzeć Kościół o konkret narodu izraelskiego, Paweł zapowiedział, że jest Apostołem wszystkich narodów. I tak go do dziś nazywamy: „Apostoł narodów”. Już wtedy rozstrzygnięto i zdecydowano, że Chrystus przyszedł, aby zbawić wszystkie narody.

Trzeba więc wyjść i wyrwać się z ciasnego podwórka, aby chrześcijaństwo nie stało się sektą. Trzeba zwycięsko przełamywać wszystkie granice: granice własnego serca, umysłu, woli; granice własnej rodziny i narodu; granice Europy, a może nawet globu ziemskiego — któż to wie? — aby na wszystką ziemię doszedł głos Boży.

W ten oto sposób kształtował się Kościół. Widzieliśmy go we wspaniałych wymiarach, w czasie pierwszej sesji Soboru Watykańskiego II. Widzieliśmy Kościół mówiący różnymi językami, jak ongiś w Wieczerniku; Kościół różnobarwny, różnojęzyczny, o przedziwnym folklorze; Kościół „nowoczesnych proroków”, z których każdy troszczy się o swoje „święte Jeruzalem”, jak troszczył się Prorok — w odczytanych dziś fragmencie Pisma Świętego.

Istnieje dziś odpowiedzialność za własny naród, troska o to, aby był on Chrystusowy. Dlatego Kościół nie może być pojmowany tylko jako społeczność ponadnarodowa; jest nią wprawdzie, bo zadaniami swoimi przewyższa wszystko, co ma wymiary ludzkie. Wszak nawet człowiek przekracza wymiary ludzkie, bo przekracza siebie, swą rodzinę — opuszcza przecież ojca i matkę — naród, państwo i społeczność międzynarodową. Jest czymś więcej, aniżeli wszystkie formacje socjalne, bo jest synem Bożym, dziecięciem Boga. To prawda! Ale to wszystko dzieje się w pośrodku ziemi. Dlatego mamy nauczać wszystkie narody i głosić dzieje odkupienia we własnym narodzie.

Kościół, tak pojmowany, opiera zawsze swoją misję i posłannictwo nie na abstrakcji, lecz na konkretności, jakim jest naród. Będzie zawsze dążył do tego, aby ziarno pszeniczne, które ma w swych gumnach, wpadało w konkretną ziemię, duszę, rodzinę.

Dzisiaj szczególnie wzrasta wrażliwość na Kościół, tak pojmowany. Widzimy to wyraźnie na Soborze Watykańskim II. Widzimy to w szczegółowej trosce różnych episkopatów, które chociaż należą do całego i jednego Kościoła, ale w sposób bardzo konkretny i detaliczny, podejmują własne zadanie we własnym narodzie.

Groźna pokusa oderwania Kościoła od życia narodu i gonięcia za obcymi wzorami

Trzeba się uchronić przed jedną wielką pokusą: przed wyobcowaniem Kościoła z życia narodu. Ulegają jej nawet katolicy, uzasadniając to koniecznością pogłębionego pojmowania Kościoła, który musi być oczyszczony od nalotów rodzimych, nacjonalistycznych, od tradycji i zwyczajów narodowych. Uważają oni, że dla ratowania Kościoła przed przyziemnością konkretnego narodu, trzeba umieścić go w jakiejś abstrakcji myślowej, ideologicznej i teologicznej, ustawiając Kościół do podziwiania, jako idealny, oderwany wzór, gdzieś daleko, niemal na księżycu.

Chyba nie ma groźniejszego błędu, niż ta pokusa! Dobrze wiemy, że tak jak Chrystus upłatał się w życie ludzkie i ubrudził na drodze kalwaryjskiej, aby zbawić swój naród, tak też Kościół, brodząc przez dzieje konkretnego narodu, niejednokrotnie ubrudził się wszystkim, co ten naród przeżywa, ale powoli oczyszcza go, uświęca i zbawia. Widzieliśmy to w historii naszej Ojczyzny. Kościół uświęcił i uszlachetnił przejawy życia religijnego pogańskiej Polski, nadając im nowe wymiary. Pozostawił wszystko, co tylko dało się zostawić, aby ratować duchową całość i ciągłość rozwoju żywego organizmu, jakim jest naród, w niczym go nie niszcząc i nie naruszając.

Za niewątpliwą pokusę trzeba uznać najrozmaitsze, idealistyczne zapędy zmierzające do tego, aby tak pogłębić zrozumienie Kościoła w Polsce, iżby nie miał on już nic wspólnego z narodem i obyczajem narodowym, i z konkretnym życiem. Takie pokusy niestety są! Może dlatego, zamiast włożyć cały wysiłek w rozpoznanie naszego własnego życia i obyczaju narodowego, religijnego i moralnego, aby lepiej zaradzić konkretnym potrzebom, ciągle szukamy obcych wzorów, które nas zachwycają, ciągle śledzimy i wyglądamy przez okno Ojczyzny na

cały świat. Patrzymy i podziwiamy, że tam jest ten, tamten czy ów, że tam jest taka „formacja”, a gdzie indziej znowu inna... Bez końca mnie wszyscy pytają, czy byłem u ojca Pio? Odpowiadam niezmiennie: „Nie byłem u ojca Pio”. — Czy rozmawiałem z przedstawicielami Taizé? — „Rozmawiałem, ale nie za bardzo...” — Czy widziałem to, tanto i owo? Co o tym myślę?

Jednym słowem, na wszystkie strony patrzymy, chwytamy, łapiemy, tylko bardzo często nie widzimy obok nas brudnej, obdartej kobiety, która nie umie pacierza; nie zauważamy dziecka, które się rodzi na brudnej słomie i nie ma koszulki. Tego wszystkiego nie widzimy, bo ciągle interesujemy się tym, co się robi w Taizé, co robią „księża robotnicy”, co myśli ojciec Pio? Zachwycamy się i ekscytujemy pracą katolików, grup i zespołów za granicą, a nie widzimy ciężkiej pracy Kościoła w Polsce i olbrzymich, odłogiem leżących możliwości apostołskich. Krytykujemy Wielką Nowennę, palca do niej nie przykładając, boczmy się na ruch maryjny w Polsce, na „dewocyjne” pielgrzymki na Jasną Górę, które rażą naszą estetykę i podejście intelektualne — pomimo, że tu się naród odradza, odmienia i kąpie w źródłach łaski sakramentalnej — ale możemy godzinami mówić o sukcesach Kościoła w innych krajach, o pielgrzymkach do Lourdes, Chartres...

To jest jakaś choroba i mania współczesnego człowieka w Ojczyźnie naszej. Gonimy za egzotyką i ciągle jesteśmy nastawieni tylko na egzotykę. Pamiętajmy, że kwiaty rosną tam, gdzie sprzyja im odpowiedni klimat i warunki. Nie trzeba ich na gwałt przeszczepiać, jak przeszczepiamy palmy na polską glebę i chowamy je na zimę do cieplarni. Zamiast ogrzewać chałupy marznących dzieci, ogrzewamy cieplarnie... To wszystko jest jakimś wielkim wyobcowywaniem się z konkretnego organizmu własnego narodu, w jakim człowiek ma swoje konkretne zadanie do wypełnienia. Możemy wiele rzeczy podziwiać — jak nam mówią: podziwiajcie świętych — ale nie wszystko naśladować, bo nam również mówią: nie naśladowajcie wszystkich świętych.

Każdy musi we własnym środowisku dotknąć konkretnych spraw, przejąć się potrzebami, brakami, bolączkami, cierpieniami i schorzeniami swego własnego narodu. Tak czynił Chrystus, gdy dotykał detalicznych spraw swej ojczyzny, wędrując po ziemi ojczystej, po królestwie Dawidowym. Potem powiedział uczniom swoim: „Idźcie i czyńcie podobnie”.

Nie na tym polega istotne pogłębienie życia katolickiego w Ojczyźnie naszej, abyśmy pościgali z całego świata najrozmaitsze wzory, ale na tym, abyśmy dobrze rozpoznali własny teren, za który jesteśmy przed Bogiem i przed historią odpowiedzialni i dla którego otrzymaliśmy pszenicę Bożą. Tę pszenicę mamy wsiąć we własną ziemię, w nią przynosząc wszystkie moce i łaski Boże. Przenikać nimi musimy przede wszystkim życie własnego narodu i własnej Ojczyzny. Tak też trzeba pojmować i Kościół Chrystusowy! Należy to sobie jasno powiedzieć, zwłaszcza teraz, gdy zbliżamy się do naszego Tysiąclecia. Znowu będziemy skłonni szukać wzorów dla naszej Ojczyzny w Afryce, we Francji i gdzie indziej, zamiast rozpoznać dobrze konkretne braki i potrzeby własnej Ojczyzny, odmienne od innych. (...)

Apostolstwo czasów współczesnych

Lubimy czytać Mertona — ja przyznaję, że też lubię go czytać. I oto ciekawa rzecz, ten człowiek kontemplacji raz po raz wspomina: „Dzisiaj czytałem Ruysbroeka”, a zaraz w następnej godzinie: „Rozrzucałem gnój na polu” albo: „Ciąłem kukurydzę!” I my musimy umieć uchronić się przed katolicyzmem przeintelektualizowanym, prowadzącym ciągle na wszystkie strony dialog. Nasz „dialog” polega dziś na uległym i rzetelnym włączeniu się w pracę Kościoła w Polsce, któremu ufamy! (...)

Dzisiaj, w dumnym świecie fantastycznego rozwoju techniki i różnych programów, namnożyło się tak wiele nędzy, męki i cierpienia, że nas to po prostu przeraża. Pytamy zaniepokojeni, do czego właściwie współczesny człowiek zmierza, co chce osiągnąć, a co otrzymuje w wyniku wszystkich swoich olbrzymich planów i sukcesów? Nędzę można dziś zobaczyć nie tylko pod Pałacem Kultury w Warszawie, ale wśród bogatych pałaców Zachodu. Wszędzie są matki, które jeszcze rodzą, jak Maryja w Betlejem na słomie i gnoju... Wszędzie są nędzarze, szukający na śmieciach różnych odpadków, skórek chleba, owoców czy też resztek zgniętego sera lub zjełczałego masła... W Warszawie i w Paryżu, w Londynie i w Rzymie, w Afryce i w Indiach są ludzie, którzy żyją resztkami, zebranymi ze śmietników...

Zdaje się, że nowy okres życia świata i obecnego zadania Kościoła w świecie będzie polegał nie na mnożeniu nowych książek, przepisywa-

niu starych i ustawianiu olbrzymich bibliotek, nie na tworzeniu nowych kierunków filozoficznych i doktryn teologicznych, ale na wytężonej pracy, abyśmy stali się zwykłymi ludźmi, którzy dostrzegają innych, rozumieją ich, odczuwają, uwrażliwią się na wszystkie ludzkie niedole i nędze.

Zbliża się przecież dzień Sądu Ostatecznego. A my wiemy, jaki „porządek dzienny” ustalił Chrystus Pan na Sądzie... Niedawno czytano nam w czasie Mszy świętej o tym jak Chrystus, Sędzia sprawiedliwy oddzielił owce i kozły od siebie. Wyliczył jednym wszystko, co uczynili, a więc: jeść dali, przyodziali, zaleczyli, więźniów nawiedzili... Aż się dziwimy, słuchając... Zrozumiałe jest nasze zdziwienie, bo my przecież tego wszystkiego nie robimy, my ... piszemy książki, artykuły, ale „tego” nie robimy! A właśnie „za to” Chrystus Pan mówi: „Pójdźcie, błogosławieni...” A innym, którzy „tego” nie robią, powie: „Idźcie precz!” (por. Mt 25,31-41). Widzieliście Mnie nagim, głodnym, a nie przyszliście Mi z pomocą. Zdziwimy się: kiedy to było? Jak to się stało? My Cię przecież takiego nie widzieliśmy... — I dowiemy się wówczas, że szukaliśmy Chrystusa, ale na Księżycu, a On jest tu, wśród nas! On chodzi po ziemi w setkach, tysiącach i milionach nędzarzy. Ale my ich na ogół nie widzimy, dlatego nie widzimy Chrystusa, chociaż On jest wśród nas.

Często, gdy pytamy, jak wygląda duszpasterstwo dobroczynne, słyszymy odpowiedź: U mnie nie ma biednych ani ubogich. Mój Boże! — Czy naprawdę nie ma? Świat cały jest w nędzy i w męce, świat niszczeje, chociaż, oczywista rzecz, jest ... chrześcijański! Jakże więc może być prawdą, że nie ma biednych?!

Tak, Drogie Dzieci! Apostolstwo współczesne to jest niezawodnie apostołstwo bardzo konkretne. Nie jest apostołstwem wielkich rozpraw i niezwykłych dyskusji, jest natomiast spełnianiem codziennych, dobrych uczynków, jest wypracowywaniem w sobie najlepszej woli, aby dostrzec innego człowieka, aby go zrozumieć, znaleźć z nim wspólny język, umieć się do niego życzliwie odnieść, uśmiechnąć, podać rękę, przewidzieć jego potrzeby, zaradzić im, łatwo i szybko wyjść im naprzeciw z pomocą. Trzeba umieć mówić, jak Chrystus: „Ja przyjdę i uleczę...” Od razu biegł z pośpiechem na pomoc, chociaż był Słowem Przedwiecznym. Ale po to Słowo upłatało się w życie ludzkie i w ciało, aby nosić wszystkie nasze niedole i skutecznie im zaradzać. (...)

Trzeba dostrzec koło siebie człowieka i obudzić w sobie potrzebę rozmawiania z nim, niezależnie od tego, czy to będzie katolik, czy anglikanin, protestant czy prawosławny. Ktokolwiek by to był — trzeba chcieć rozmawiać z człowiekiem!

(...) Trzeba być pośród ludzi, aby wnosić w ich życie Boga, którego się ma w sobie. Trzeba Bogiem wszystkich obdzielać, jak chlebem. Trzeba umieć się do człowieka życzliwie uśmiechnąć. Bardzo często więcej on tego potrzebuje, aniżeli naszych pieniędzy i mądrości. (13)

ŻYĆ WDZIĘCZNOŚCIĄ

Ogarniając nasze życie, które prowadzimy w światłach Kościoła świętego, wypowiadamy głęboką wdzięczność wobec niego.

Wdzięczność nasza wobec Kościoła

Dziękujemy Kościołowi za to, że nas przyjął, powołał i że przez wodę chrztu odrodził nas w Duchu Świętym. Dziękujemy, że tak nas włączył do swojej wspólnoty, abyśmy się nigdy, nawet w trudnym naszym życiu, nie czuli osamotnieni; aby zawsze, choćby w najcięższych chwilach, była dla nas jeszcze nadzieja, moc i okruszyna wiary.

Dziękujemy Kościołowi za Krzyż Chrystusowy i za każdy krzyż. Dziękujemy za wszystkie krzyżyki, które nas dotykają. Wiemy, że krzyż to miłość, to błogosławieństwo i nadzieja jedyna.

Dziękujemy Kościołowi, że przez chrzest, sakramenty i modlitwę nieustannie wprowadza nas w porządek łaski, czyli miłości nadprzyrodzonej, że łaskę tę nieustannie w nas pomnaża. Przecież to Kościół dał nam przez chrzest — Trójcę Świętą! On nas ochrzcił i naucza w imię Trójcy Świętej. To on pragnie, byśmy nieustannie byli mieszkaniem Boga i nosicielami Jego. „Portatores Dei!” Czyż nie wiecie, że ciała wasze są poświęcone Bogu, i że Duch Boży mieszka w was? Za cały porządek łaski i miłości, którym jesteśmy ogarnięci, składamy dziś zbiorowo uczucie głębokiej wdzięczności wobec Kościoła.

Dziękujemy Kościołowi za Ewangelię, którą nam przepowiada, za prawdziwie Dobrą Nowinę, którą wziął z ust Chrystusa przez tchnienie Ducha Świętego. Dziękujemy Kościołowi za jego czujność, która strzegła, by ani jedna litera nie została odmieniona, by Słowo Boże nie było skrępowane, by docierało do nas poprzez wieki i krzepiło zawsze, jak dziś nas krzepi.

Jaka to olbrzymia zasługa Kościoła, że przez dwa tysiące lat, aż do moich uszu i serca, doniósł Ewangelię, że jej nie zniekształcił, że tyle dla niej wycierpiał, aby zachować dla mnie ten święty Dar! Dzięki temu, bez wysiłku i zasługi, uczestniczę dzisiaj w Dobrej Nowinie, którą Chrystus wypowiedział przed dwudziestu wiekami. Czyż mam poczucie wdzięczności wobec Kościoła za nieogarniony dar Ewangelii i światła Bożego?

Pragniemy wypowiedzieć również uczucie wdzięczności za wielką mądrość Kościoła, za jego myśl filozoficzną, za nieustannie potęgującą się naukę teologiczną, za kulturę religijną i katolicką, w światłach której żyjemy i jesteśmy nadal pielęgnowani.

Czy często myślę o tym, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie otrzymał od Kościoła wielowiekowej spuścizny potęgi myśli i uczuć „Sanctorum communio”? Jak wyglądałoby moje życie bez błogosławionego dziedzictwa, które narastało przez pracę tylu pokoleń, żyjących Bogiem? Dziedzictwa, które dziś otrzymałem bezpłatnie i darmo, gdy z kolei i mnie przypadło żyć w ramionach Kościoła świętego?

Jest to dziedzictwo tak wspaniałe, iż doprawdy Kościół Boży niczego nie ujął i niczego nie uronił, a wszystko ma dla mnie. Daje mi swe dary w ten sposób, że przez ubogacenie mnie, w niczym nie ujmuje innym swym dzieciom. Tylko Kościół umie tak dawać i tak obdarowywać! On ma dla mnie niejedno błogosławieństwo, bo on się nigdy nie wyczerpuje, nigdy nie ustaje i nigdy nie traci sił. Jemu wszystko zawdzięczam! (...)

...i zobowiązanie

Obowiązuje mnie współpraca z Kościołem, a jednocześnie współczucie z nim. Obowiązuje mnie dobra wola zrozumienia Kościoła, czujności razem z hierarchią kościelną i kapłanami. Obowiązuje mnie wrażliwość sumienia, bo — jak mówi Pius XII — jest to godzina sumień

katolickich. Obowiązuje mnie przedziwna mądrość, która każe nam odróżniać łatwo zło i dobro, wyczuwać niebezpieczeństwo i być gotowym mu się przeciwstawić.

Obowiązuje mnie dziś również i współcierpienie... Jeśli bowiem cierpi jeden członek, współcierpią wszystkie. Tego ducha wspólnoty uczył nas Paweł i Tomasz. Nie możemy stać na boku i wielkie męki Kościoła zwać tylko na barki hierarchii czy kapłanów. Musimy podstawić swoje ramiona pod wspólny krzyż, który dźwiga dziś Kościół przez polską ziemię. Musimy być odważni w gotowości brania na swoje ramiona ciężaru Kościoła. Musimy wspólnie, razem z nim dźwigać krzyż na Kalwarię, bo tam przez cierpienie ma się dokonać nasze odkupienie, omycie i oczyszczenie. (...)

Nie wystarczy żyć Krzyżem i Ewangelią! Trzeba troszczyć się o to, by ci, co wzięli z naszej krwi i ciała, brali również z naszego ducha. To są nasze dzieci, rodzina i juniorat katolickiej inteligencji akademickiej. Ma on prawo do wszystkiego, czym żyjemy i co kochamy.

Nie możemy szczędzić nic z wielkich darów nam udzielonych. Musimy zatroszczyć się o przekazywanie Bożej spuścizny rodzinom naszym i najbliższym. Jest to duch apostołski, o którym tak wiele mówiliśmy w naszej pracy akademickiej i który nas dziś obowiązuje. Apostolstwo bowiem obowiązuje zawsze w każdej chwili. Im więcej otrzymaliśmy, tym więcej dać możemy i musimy. (14)

III

PRZED MATKĄ BOGA I CZŁOWIEKA

PRZED MATKĄ I KRÓLOWĄ

Stanęliśmy wspólnie dzisiaj tutaj po przejściu szmatu drogi od ławy akademickiej, aż po próg tej świątyni. Przebyliśmy długą i żmudną drogę. Stanęliśmy społem, wspominając przeszłość, licząc się z nią u tronu Tej, która jest ustanowiona „ad defensionem populi polonici”. Nasze głębokie uczucia, myśli rzetelne i łaska miłości Bożej nas tu prowadzi. Stoimy, jesteśmy i radujemy się. Radujemy się Jej urokiem, radujemy się sobą wzajemnie, iż dochowaliśmy, wśród zmiennych kolei życia, wiary w Boga. Patrzymy w oblicze Królowej i Matki — bardziej Matki niż Królowej — Dziewicy Matki, Dziewicy Wspomożycielki, Pośredniczki łask wszelkich.

Te słowa Mszy świętej, tak odważne: „ad defensionem populi polonici” podnoszą naszego ducha miłości ku Bogu i ludziom. Zdają się one wiązać tę ziemię tak bliską, a nieraz tak obcą, w jakiejś syntezie niezgłębionej. Może sami nie śmieliśmy posądzać Królowej świata o to, żeby się zajmowała szczegółami globu ziemskiego, żeby prawdziwie była „defensio populi polonici”. Ale skoro jest Królową świata, skoro sam Kościół święty tak odważnie modli się do Niej i wierzy, że Ona jest właśnie dla obrony narodu, dlaczegóż my mielibyśmy się lękać i ścieś-

niać w myślach naszych? Prawdziwie tak jest, iż od chwili, gdy Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami, ziemia spotkała się z niebem w łonie Najświętszej Dziewicy, a niebo założyło swój tron na ziemi. Właśnie niebo zbliżyło się do nas, w Matce Boga i Człowieka, ażeby odtąd już wszystko co ludzkie Bożym się stawało; ażeby dla ludzi Bożych już nic co ludzkie, obcym nie było; aby człowiek Boży w swym codziennym trudzie pamiętał o uświęceniu doczesności, aby miał odwagę czynić sobie ziemię poddaną i w ten sposób wypełniać jedno z pierwszych przykazań Bożych.

Wyrośliśmy z wielkich ambicji, z wielkiego zaufania do Kościoła Bożego, wyrośliśmy z tego głębokiego przekonania, że Bogu ziemia obcą nie jest i że jej oblicze ma stać się coraz bardziej ludzkie: „Czyńcie sobie ziemię poddaną” (Rdz 1,28).

Wyrośliśmy z tego przekonania, że gdy raz Słowo ciałem się stało, to wówczas ustanowione zostało jakieś potężne prawo, według którego wszystko odtąd ma przyjąć, w odpowiedniej mierze, Wcielenie Syna Bożego. Iżby ziemia Boża napelniona była, we wszystkich przejawach bytu i istnienia, życiem Boga.

Od dawna było dla nas rzeczą nie do przyjęcia, ażeby ziemia przez Boga stworzona, Jego dłońmi, i człowiek Boży, którego dotknęły się dłonie Ojca najlepszego, miał być porzucony i jak niemiłowane dziecko oddany własnemu losowi. Nam się te rzeczy w głowie i w zmyśle naszym katolickim pomieścić nie mogą. Myśmy wierzyli, że nie ma właściwie absolutnej autonomii materialnej i doczesnej tu na ziemi, że wszystko, choćby było najdrobniejszym pyłkiem w tym ogromnym planie Bożym, ma służyć Bogu i człowiekowi — dziecku Boga miłującego. W tej wierze wychowaliśmy się. A chociaż ta nasza wiara, tak uniwersalna, tak katolicka, pełna odrodzeńczych wartości, jeszcze może nie w pełni ciałem się stała — bo tyle w tym czasie zaszło różnych przeszkód i trudności — to jednak my wierzymy nadal, że przyjdą jeszcze takie dni, w których Bóg po tej ziemi będzie chodził z człowiekiem pod ramię, jak z Adamem w raju, bo zaczął już to dzieło Syn Jego, Jezus Chrystus.

By przekonać nas, że życie tej ziemi może mieć oblicze Boże, sam Jezus Chrystus, przyjąwszy oblicze swej Niepokalanej Matki, tej ziemi kapłańskiej — boć Syn najbardziej jest podobny do Matki — z tym Jej obliczem chodził po tej ziemi i zamieniał padół łez na Bożą krainę. Na

nowo ją odmienił, na nowo ją ukształtował, wsiął w nią ziarno prawdy, przekazał wszystko, czego się od Ojca dowiedział, zrosił własną Krwią, wziętą z łona Najświętszej Paniienki i tak „doprawiwszy” ziemię oddał ją na nowo w dzierżawę, w dziedzictwo Duchowi Świętemu i odszedł, aż do czasu żniwa, gdy powie Kościołowi: „Zdaj liczbę z włodarstwa swego” (Łk 16,2).

Może byśmy się lękali tej chwili rachunku ostatecznego, gdyby nie to, że Królową świata, tej ziemi, narodów, Ojczyzny naszej jest właśnie Ona, Ta która zna cenę ciężkiej walki człowieka na ziemi. Bo Ona ustanowiona została przez Boga na to, aby starła głowę węża, aby na tej ziemi toczyła wszystkie boje Najwyższego Boga. Ona rozumie, co znaczy trud walki, co znaczy męka życia, co znaczą boleści tej ziemi. Ona wie, jak głogi ranią stopy ludzkie, jak twardy jest niekiedy chleb, jak gorzka łza, jak sucha woda ze źródła; jak to wszystko nie syci, jak nas przekonuje, że prawdziwie „nie samym chlebem żyje człowiek” — i wreszcie — jak dochodzimy, po licznych zawodach, do tej pokornej prośby: chleba naszego powszedniego, nadprzyrodzonego, duchowego... „Panem nostrum... supersubstantialem da nobis hodie...” — „daj nam dzisiaj”.

Wtedy wstępuje w człowieka nowe życie, tak jak w was, Bracia i Siostry, weszło ono we wspólnocie Eucharystycznej Ofiary.

Najmilsze Dzieci! Może nie wypada tak do was mówić, bośmy przecież z jednej ławy wyrosli i jednym służyliśmy ideałom i nadziejom. Ale wybaczcie, nie moja to wina, tylko Kościoła świętego, który mnie ojcem uczynił i dał mi prawo mówić w ten sposób do was. Zresztą, stoimy przed Matką, a jam Jej służą. I dlatego też z woli Ojca, z Niej właściwie czerpiemy to prawo, aby jak Ona Kościołowi Chrystusa urodziła, tak byśmy również i my wam Go rodzili.

Wezwaliśmy więc naród, aby przyszedł na Jasną Górę i ażeby tutaj u stolicy łaski, u tej koleby łaski narodu czekał, aż mu się narodzi nowa łaska. I przyszedł tu! (...)

Przyszliście i wy, bo wyście bardzo dużo wzięli. Wy należycie do tych wybranych, którzy awansem, bez waszej może zasługi, obdarzeni zostaliście dziesięcioma talentami, w oczekiwaniu, że wiele przyniesiecie owocu Kościołowi i Ojczyźnie. Wzięliście dużo! Jakieś wielkie światło błysnęło w waszych oczach, właśnie wtedy, gdy nic zda się nie zapowiadało odrodzenia chrześcijaństwa w kołach oświeconych, w ko-

łach wyższej inteligencji. Wśród was są ludzie, którzy mieli tę zasługę, że zaczęli pierwsi mówić na uniwersytetach w imię Chrystusa. I chociaż zdumiewali się słuchający, jednak zachowywali te dziwne słowa w sercu swoim i zaczęli je rozważać. Chrystus nauczający, Nauczyciel i Mistrz był przepowiadany na uniwersytetach. Waszymi nogami i dłońmi tam był zanesiony. Rozpoczęło się budowanie katolickiej inteligencji w Polsce. I to nie tej z imienia, nie tej z tradycji, ale właśnie tej z myśli, która im więcej rozumie, tym mocniej wierzy i chce jeszcze lepiej zrozumieć, by jeszcze mocniej wierzyć. Tej inteligencji, która była przekonana, że gdy Słowo ciałem się stało raz, to jest rzeczą możliwą połączyć rozum i wiarę, naturę i łaskę, aby wszystko, co wyrosło z jednego Boga, do jednego Boga prowadziło.

Ten trud nie był daremny. Ten trud wydał swoje owoce. Może nie w tym procencie — nie całkowicie z waszej winy — jak byście pragnęli, ale wydał swoje owoce. Po latach przynosicie ten owoc waszej pracy do Tej, która zrodziła Owoc żywota swojego. Wy jesteście w tym okresie życia, że możecie mówić o owocu waszego życia. Gdzież więc z tym owocem życia pójdziecie, jeśli nie do Tej, która zrodziła Owoc żywota swojego, tak pożywny dla ludzkości, że do dziś dnia usta ludzkie, serca ludzkie i uczucia ludzkie otwierają się, łaknąc tego właśnie pokarmu, tego Owocu żywota Maryi.

O! — powiecie — to prawda! Bóg siał w mej duszy wyborne ziarno, samą pszenicę, bez kąkol. Może tam kąkol sam się podsiał, gdy brak było czujności, należytej wrażliwości, pełnego zaufania do mocy i potęgi Boga, Słońca sprawiedliwości, Chrystusa, Boga naszego — gdy ciemności ogarnęły ziemię. Być może?! Ale, Najmilsi, choćbyśmy przynieśli za jeden talent dwa, to Święta Boża Rodzicielka, która zna mękę Betlejemu, mękę wygnania do Egiptu, ból Nazaretu, drogi krzyżowej i Kalwarii, Ona wie, że życie na tej ziemi narodziło się wtedy, gdy Wódz życia, królując z krzyża, przez śmierć swoją zwyciężył śmierć.

Płyńcie stąd nadzieja! Wy jesteście dziećmi nadziei, jesteście dziećmi najlepszej nadziei. Wiecie, że prócz wiary i miłości trzeba mieć nadzieję. W imię tej nadziei tu jesteście i tu stoicie, patrzycie ku Tej, która się nie wyczerpała w swoim macierzyństwie, która raz została — nie gdzie indziej, ale właśnie na Kalwarii — Matką, by Matką być dla każdego z was i dla dziejów ludzkości, aż do chwili gdy po tym wygnaniu sama u progu niebios okaże nam Owoc żywota swojego. (15)

„A BYŁA TAM MATKA JEZUSOWA...”

Maryja z woli Ojca Niebieskiego jest ściśle zespolona z dziełem zbawczym Jezusa Chrystusa. Powołana do współpracy z dziełem Bożym, została w szczególny sposób ukształtowana przez Ojca, Syna i Ducha Świętego. Można Ją nazwać „Pierwszą ukształtowaną przez Trójcę Świętą” i prawzorem Kościoła.

Każdy z nas jest wszczepiony w Kościół Chrystusa w imię Trójcy Świętej. Łączy nas więc bardzo ściśle pokrewieństwo przez Trójcę Świętą. Ale zadanie Maryi jest wyjątkowe i niepowtarzalne. Ona jest Matką Boga Człowieka, Matką Kościoła i naszą Matką. Zostaliśmy Jej powierzeni na Kalwarii przez Jezusa Chrystusa.

Patrzemy dziś w Jej oblicze z dziecięcą ufnością. Msza święta, którą odprawimy, będzie wotywą ku czci Matki Bożej Jasnogórskiej.

Boży program działania: aby było życie, musi być naprzód matka

Gdy uważnie wsłuchujemy się w słowa Ewangelii zapisane przez świętego Jana, zastanawia nas pierwsze zdanie opisu zdarzenia w Kanie Galilejskiej: „Była tam Matka Jezusowa. Zaproszony był też i Jezus z uczniami swoimi” (J 2,1-2). Czy jest to przygodne sformułowanie? Czy może oznacza genetyczne ujęcie zdarzeń?

Zastanawia nas też tekst Księgi Rodzaju, odzwierciedlający niedolę rodziny ludzkiej w jej pierwszych przedstawicielach oraz ojcowską wolę Boga, aby nic nie zginęło, aby wypełnił się program życia, nakreślony odwiecznie przez Stwórcę i Dawcę życia. Oto śmierć czyha na pierwsze pędy rodzaju ludzkiego. Ale czuwa Ojciec ludzi. Wprowadza nieprzyjaźń między Niewiastą a wężem — szatanem. Ukazuje Matkę życia i Jej błogosławiony Owoc, który daje życie i który po to ma przyjść na świat, abyśmy życie mieli i obficie mieli.

Słowa Jana Ewangelisty i Księgi Rodzaju wydają się być paralelne. W Księdze Rodzaju naprzód jest wymieniona Niewiasta, potem — Jej owoc, i u Jana — najpierw Matka Chrystusowa, a potem — Jezus.

Czy jest to przypadek, czy też Boży program? Gdybyśmy prześledzili księgi prorocze, moglibyśmy dostrzec w nich dalszy ciąg tak właśnie

ustawionego programu i jego realizację. Naprzód jest Matka, a potem Życie, Owoc Jej żywota. „Oto Panna pocznie i porodzi Syna. Nazwie imię Jego Emmanuel, Bóg z nami” (Iz 7,14).

Można takich przykładów przytoczyć więcej. Bóg Ojciec ukazuje ludzkości Matkę Życia. Naprzód ukazał Ją w raju, później zapowiedział słowami Proroka, wreszcie ujawnił w Nazaret, w momencie Zwiastowania. Jeszcze nie widzimy błogosławionego Owocu Jej życia, a już widzimy Matkę. Tak samo dzieje się w Kanie Galilejskiej. Ewangelista powtarza w opisie godów: „Była tam Matka Jezusowa... — Matka Jego... — rzecze Matka do Syna...” Tak samo i na Kalwarii: „Pod krzyżem stała Matka...” (J 19,25). Kończy się ziemskie życie Chrystusa, ale zostaje Matka Jego.

Czy wobec tylu przekazów mógł Ewangelista inaczej sformułować swoje opowiadanie z Kany? Nie! Zaczął od Matki: „Była tam Matka Jezusowa. Zaproszony był też i Jezus...”

I jeszcze jeden moment historyczny — Wieczernik Zielonych Świąt. Uczniowie Pańscy, Apostołowie, Matka Chrystusowa i niewiasty modlą się, czekając na Ducha Świętego (por. Dz 1,14). Nie ma w tej chwili w Wieczerniku Jezusa — jest Jego Matka. Nie jest to dowolność literacka opisu, lecz Boży program.

Gdy wsłuchujemy się w słowa Księgi Mądrości, które Kościół stosuje w dzisiejszej liturgii do Maryi, zastanawia nas Jej czuwanie od początku przy Chrystusie i Kościele. Nic więc dziwnego, że Sobór Watykański II w Konstytucję dogmatyczną o Kościele wpisał przedziwną obecność Maryi w misterium Chrystusa i Kościoła. Gdybyśmy opowiadali komuś treść tej Konstytucji, musielibyśmy chyba zakończyć tymi słowami, którymi zaczął swe opowiadanie z Kany Jan Ewangelista: „Była tam Matka Jezusowa”. Ona była i jest w Kościele Bożym, który przygląda się dzisiaj sobie nowymi, współczesnymi oczyma.

Maryja — Matka — w Bożym planie zbawienia

Musimy zgodzić się, że jest to program Boży i Boża logika. Ukazuje go Bóg Ojciec w raju, przepowiada przez Proroków, realizuje w Nazaret. Ojciec „szuka” Matki, to zrozumiałe. Jest wprawdzie Ojcem Słowa Przedwiecznego, ale w oczach rodziny ludzkiej „bardziej” będzie Ojcem,

gdy będzie miał Syna zrodzonego z Niewiasty. Bardziej to przemówi do ludzi, aniżeli filozoficzne dociekania o Absolucie, Prabycie, relacjach w Trójcy Świętej, gdy Bóg poznaje i niejako widzi Siebie, a to widzenie czyni Go Ojcem, bo w ten sposób rodzi Syna, który jest Odbiciem Jego chwały.

Dlatego Ojciec szuka Matki, aby stać się Ojcem, gdy nadejdzie pełnia czasów; aby wszyscy przekonali się, że mają Ojca w niebie. Muszą ludzie ujrzeć na ziemi Jego Syna, ale w sposób dla nich dostępny. Muszą oglądać ludzkimi oczyma Jego wymiary materialne. Muszą usłyszeć Jego głos, wołający: „Abba, Pater, Ojcze”. Muszą zobaczyć Tego, który nauczy ludzkość wołać: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”

Ale jak to się może stać w sposób zrozumiały dla rodziny ludzkiej, oswojonej z przekazywaniem życia przez ojców, za pośrednictwem matek? Jak to może się stać bez matki, w tej Rodzinie „wzorcowej”? Trzeba przywołać matkę! Dlatego Bóg Ją przywołuje. Jest Ona w programie Bożym od wieków. Ukazana jest w raju, w wizjach proroczych: „Virgo concipiet” — „Dziewica porodzi”; ukazana w wizji nazaretańskiej, w obrazie konkretnego życia w Kanie, na Kalwarii i w Wieczerniku Zielonych Świąt; a wreszcie w soborowej Konstytucji dogmatycznej o Kościele.

Ojciec rodzący musi posłużyć się Matką. Dopelnia się to na płaszczyźnie ludzkiej, czytelnej dla człowieka, dostępnej dla jego umysłowości i doświadczenia osobistego — przez macierzyństwo Maryi, wybranej i oglądanej od dawna, ukazanej w Nazaret i obecnej w zbawczym misterium Chrystusa i w uświęcającej pracy Kościoła. Jeśli więc nie chcemy okaleczyć naszego myślenia o Kościele, musimy stwierdzić to co Jan, opisujący gody w Kanie: „Była tam Matka Jezusowa. Zaproszony był też i Jezus”. — Jest w Kościele Matka Jezusowa.

Bóg „upatrywał” Matkę od czasów rozmowy z pierwszymi rodzicami, pierwszym małżeństwem — Adamem i Ewą. A gdy Ją upatrzył, rozmawia z Nią o Jej macierzyństwie, które będzie Bożym Macierzyństwem, „zaślubieniem” z Bogiem. Dopiero wtedy, gdy Ona już jest, gdy można Ją zobaczyć tak jak widziano Ją w Nazaret — może przyjść na ziemię Jezus Chrystus, Syn Boży, Syn Człowieczy.

Tego wymaga logika myślenia, logika ładu stwórczego i zbawczego. Nie można okaleczać myśli Bożej! Nie można uważać Maryi za „obiekt zabytkowy”, który wypełnił swoje zadanie i spoczywa w archiwum. Plan

Ojca jest inny. Ojciec, który nieustannie dopełnia dzieła zbawiania, uświęcania i jednoczenia rodziny ludzkiej, musi przekazywać stwórcze moce swej ojcowskiej miłości. Dlatego ciągle musi być przy Nim Matka, Ta, która powiedziała w Nazaret: „Niech mi się stanie”. I stało się! Dziewica — Matką, Bóg — Ciałem!

To jest Boża teologia, teologia chrześcijańska i katolicka, teologia nieokaleczona. Powiem — teologia jak najbardziej ludzka, humanistyczna, wyjaśniająca genetycznie stany analogiczne, przez które przechodzi każda rodzina ludzka. Jest ojciec, musi być matka. Ojciec staje się ojcem, o ile jest matka, i to rodząca! Inaczej będzie jakiś „pan” i „pani”. Gdy „pani” rodzi, wtedy „pan” jest ojcem. Dlatego Chrystus nie mówi: „Panie nasz, który jesteś w niebie”, tylko „Ojcze nasz, któryś jest w niebie”. Bóg Ojciec to rodzący Pan wszechświata, przez Służebnicę Pańską.

Gdy Służebnica Pańska została wpisana przez wolę Ojca i przez swoją uległą wolę w Boży plan zbawiania, odtąd wygnańcy synowie Ewy bardziej wyraziście i realnie „widzą” Ojca i czują Jego obecność. Szukają Ojca, bo widzą Syna, który wszystko opowiedział o Ojcu. Wierzą słowom Syna, który w szczytowym momencie swego zadania wołał: „Ojcze, w ręce Twoje oddaję ducha mego”. Ale zanim to uczynił, był świadom, że pod krzyżem jest Matka.

Powie dziejopis: „Stała pod krzyżem Matka Jego”. Jak gdyby powtarzał echo z Kany Galilejskiej: „Była tam Matka Jego”. Możemy powiedzieć: Pod krzyżem była Matka, a na krzyż został „zaproszony” Jezus... Kto zaprosił Jezusa do Kany, nie wiemy. Ale wiemy, kto „zaprosił” Go na krzyż! Powiedziane jest to w wizjach proroczych. Gdy już Bogu nie podobały się ofiary Starego Przymierza, Synowi swojemu przygotował Ciało. I wtedy Syn powiedział: „Oto idę, Ojcze, aby czynić wolę Twoją” (Hbr 10,4). Wola Ojca nie odmieniła się, pomimo prośby Chrystusa w Ogrodzie Oliwnym: „Ojcze, jeżeli chcesz, oddal ten kielich ode mnie. Lecz nie moja, a Twoja wola niech się stanie” (por. Łk 22,41).

Światu potrzeba Matki!

Jak to wszystko ściśle się wiąże! Jaka jest logika Bożych planów, których Bóg nie zmienia, chociażby zostały zakłócone. On zawsze jest

Bogiem życia, On zawsze jest Ojcem! On zawsze rodzi! Posługuje się jako narzędziami tymi, których wybiera. Będzie to każda matka w rodzinie, a nade wszystko przedziwna Matka z Betlejem i z Kalwarii, Matka z Wieczernika Zielonych Świąt, Matka obecna w misterium Chrystusa i Kościoła, a więc — Matka Kościoła. Matka, którą naszym zmysłem religijnym, katolickim i maryjnym wyczuliśmy w Kościele. O podkreślenie wyraźne Jej obecności, polscy biskupi wołali swoimi memoriałami do Ojca świętego, do całego Soboru, upominając się o Nią wytrwale i nieustępliwie.

Światu potrzeba Matki i Kościołowi potrzeba Matki, bo każda matka ma też swoją matkę. Kościół-matka musi mieć Matkę. Ma Ją więc i to nie od dziś, nie od chwili, gdy w poniedziałek po Zielonych Świątach po raz pierwszy w Polsce obchodziliśmy święto Matki Kościoła. Tego święta nie ma jeszcze nigdzie na świecie. W Polsce już jest. Stało się to za aprobatą Ojca świętego, który 21 listopada 1964 roku w auli soborowej powiedział, że pragnie, aby Matka Chrystusowa była czczona „pod najmiłszym imieniem Matki Kościoła”.

Dlatego też niedawno, 5 września, tutaj na Jasnej Górze oddaliśmy tejże Matce Kościoła cały Kościół powszechny i całą rodzinę ludzką. Uczyniliśmy to w imię naszych praw biskupich i kolegalnej odpowiedzialności nie tylko za swoje diecezje, ale za cały Kościół. W dniu 12 września uczyniliśmy to samo we wszystkich polskich parafiach. Przyzywaliśmy Maryję Matkę, aby była obecna w świecie, jak kiedyś na godach w Kanie. Bo tam gdzie jest Maryja, tam jest też i Jej Syn. Była obecna w Nazaret, „zaproszony” był tam i Jezus... Była obecna w Kanie, zaproszono również Jezusa. Była obecna na Kalwarii. „Zaproszony” przez Ojca Jezus, ubezpieczył w Jej ramionach swoje odkupione dzieci — „Oto Matka twoja”. Obecna była w Wieczerniku Zielonych Świąt, gdy Ojciec i Syn posłali tam Ducha Miłości.

Jest to przedziwna tajemnica! Aby ją zrozumieć, potrzeba żywej wiary. Potrzeba, abyśmy oczyma Bożymi — a nie tylko ludzkimi! — patrzyli na sprawy Boże. Potrzeba gorącej miłości i wielkiej pokory. Bo jesteśmy dziećmi Zbawcy, który przyjął postać sługi i narodził się ze Służebnicy Pańskiej.

Aby służyć Bogu, potrzeba pokory. Bóg pysznym się sprzeciwia. Apostoł ostrzega przed filozofami, przed ludźmi łechcącymi uszy innych opowiadaniem różnych hipotez, które są podawane za pewniki, niemal

za dogmaty. Potrzeba pokory! Bóg pysznym się sprzeciwi, zamąca ich umysły, a pokornym daje łaskę, rozeznanie, światło, mądrość, rozumienie planów Bożych, przejrzenie ich w głębi perspektywicznej aż do bezkresnych, eschatologicznych kresów.

Tak chce Bóg! Błogosławiony, kto przyjmie tę tajemnicę, kto uwierzy Bożym planom! Błogosławioną nazwana została Maryja w Ain Karim, na progu domu Elżbiety: „Błogosławiona, iż się uwierzyła”. Błogosławiony jest też Kościół, który się Jej nie wyrzeknie. Błogosławiony naród, który zaufa tej Bożej tajemnicy. Błogosławiony każdy człowiek, który zrozumie, że matka-Kościół też musi mieć Matkę.

Zejdźmy na chwilę na płaszczyznę spraw ludzkich, codziennych, zwykłych, doczesnych, dotykalnych — tam, gdzie leją się łzy i krew rodzących; tam, gdzie jest męka, ból, cierpienie i ofiara. Kto podda się tej męce i cierpieniu, zrozumie jego sens, będzie rozradowany jak niewiasta, o której mówił Chrystus. Smutna była, gdy przyszła jej godzina, ale gdy porodziła, już nie pamiętała ucisku z radości, że człowiek na świat się narodził. Podobne są wspomnienia wielu matek. Wielka jest radość rodzin i radość narodu, który ma ofiarne matki — na wzór Matki z Nazaret, Betlejem, Kalwarii, Wieczernika Zielonych Świąt i z Kościoła dzisiejszego.

„Była tam Matka...” Jak miło to powiedzieć. Ona tam była, czuwała, widziała. Nie przeoczyła niczego. W radosnej chwili godów dostrzegła każdy niepokój, smutek i lęk. Zaradzała potrzebom, podpowiadała — nawet swojemu Synowi, który był zaproszony tam, gdzie Ona była.

Gdyby nie było matki, nie byłoby syna — nawet tak wspaniałego Syna. Tak chciał Ojciec. I daremnie jest przeciwko ościeniowi wierzgać. Oby była wśród nas zawsze! Obyśmy się Jej nie wyrzekali i nie wstydzili! Obyśmy się nie lękali, że przyznając się do Niej będziemy uchodzili za ludzi niezbyt nowoczesnych, niepostępowych. Jakby postępowcy mieli się rodzić na świat bez matek. Sam przecież Salomon urodził się z matki i ze wszystkimi dziećmi tej ziemi miał wspólny pierwszy łyk powietrza i pierwszą mowę — płacz. Schemat ten będzie utrzymany. Rodzina ludzka musi mieć świadomość macierzyństwa, dopiero wtedy będzie ludzka. Technika i maszyny nie wydadzą z siebie życia, przetwarzają tylko materię. Życie może przejść od ojca przez matkę do dziecięcia. Musi o tym pamiętać, ktokolwiek chce żyć: człowiek, rodzina, naród czy państwo. I trzeba po imieniu nazwać — jak niedawno w jednym z pism

warszawskich napisano — że wszelki zamach na życie nienarodzonych jest barbarzyństwem! Jest to powiedziane bardzo twardo. A ludzie lubią znaleźć eleganckie słówka na określenie zwykłego łotrostwa, jakim jest zaprzeczanie natury człowieczeństwa. Nie chcą wiedzieć, że bez macierzyństwa i ojcostwa, bez ofiary i męki nie zrodzi się nowe życie!

Lubimy z dumą mówić, że jesteśmy ludźmi chrystocentrycznymi. Gdybyśmy jednak byli uczciwi w naszym myśleniu, musielibyśmy powiedzieć, że cały nasz chrystocentryzm wisiałby w powietrzu, nad ziemią, gdyby się Chrystus nie wywodził z Matki ziemskiej. I nie można mówić o chrystocentryzmie, jeśli się nie uzna, że Chrystus z woli Ojca narodził się z Maryi Dziewicy: „Natus ex Maria Virgine et homo factus”.

Jeśli kultura ma być ludzka, humanistyczna, musi być macierzyńska. I Kościół musi być macierzyński dla rodziny ludzkiej. I dziś musi mieć Matkę. Dlatego rzeczą najbardziej postępową, najbardziej realizującą Sobór jest nieustanna świadomość obecności Matki w misterium Chrystusa i Kościoła.

Drogi Dzieci Boże! Stoimy wobec Matki. Wołajmy więc do Niej pokornie: „Vita, dulcedo et spes nostra” — „Życie, słodyczy i nadziejo nasza!” (16)

OBRONA MACIERZYŃSTWA MATKI BOGA I MATEK LUDZI

Ilekcjo stajemy przed Matką Boga Człowieka i nie tylko patrzymy w Jej Obraz, lecz wnikamy w przedziwną tajemnicę Jej obecności w misterium Chrystusa i Kościoła, zawsze napełnia nas zdumienie. Oto człowiek w wyjątkowy sposób wybrany i powołany do zadania szczególnego, które przez dwadzieścia wieków nie powtórzyło się w dziejach i na którego wypełnienie rodzina ludzka czekała przez trudną wprost do pomyślenia ilość lat.

Niepowtarzalne powołanie Maryi

Obliczył ktoś, że od początku istnienia istoty rozumnej na globie do dziś dnia, mogło być ponad siedemdziesiąt miliardów ludzi. Jest to więc powołanie wyjątkowe, jedyne, gdy Dziewczę z Nazaret słyszy dziwne słowa: „Bądź pozdrowiona, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami”. Pozdrowienie to wywołało lęk w Maryi. I do dziś wywołuje lęk wśród wielu ludzi. Sprawdza się to, co przewidziano ongiś. Świat nie pogodzi się łatwo z tym, że Ona, wybrana z rzeszy ludzkiej, ma począć i porodzić Bożego Syna, nadać Mu imię Jezus, że Jej Syn będzie wielki, będzie nazwany Synem Najwyższego, On odkupi rodzaj ludzki, a królestwu Jego nie będzie końca. Zawsze nas zdumiewa pierwsza „Ewangelia” zwiastowana Dziewczęciu z Nazaret. Nic dziwnego, że nawet ludzie silnej wiary usiłują niekiedy poddać w wątpliwość wyznaczone człowiekowi przez Boga miejsce — przy Bogu Człowieku. Jak gdyby lękali się, że człowiek przestoni Boga Człowieka.

Ilekcóż mówimy o Maryi, jesteśmy świadkami stałej ostrożności. Ostrożność cechowała również wypowiedzi ojców soborowych. Pomimo to wyniki uchwał soborowych były zdumiewające. Był przecież projekt, aby nauce o Matce Najświętszej poświęcić odrębny dokument soborowy. A tymczasem dyskusja i głosowanie w auli soborowej doprowadziły do tego, że nauka o Maryi nie jest jednym z traktatów teologicznych, lecz elementem stałym organizacji Kościoła, omówionym w Konstytucji dogmatycznej. Tak więc elementem stałym ustroju Kościoła jest Jezus Chrystus, Jego Matka, Lud Boży — hierarchia, świeccy katolicy, zakony, wszyscy powołani do świętości i skierowani do realizacji dzieła odkupienia w wymiarach eschatologicznych. Odtąd nauka zwana w teologii eklezjologią albo teologią fundamentalną, ma stałe, wyliczone przez Sobór elementy. Elementem niezaprzeczoną i należycie uwytatnioną jest Maryja, obecna w misterium Chrystusa i Kościoła.

Zdawałoby się, że wobec tego ustać powinny wszelkie wątpliwości, lęki, obawy, a trzeba raczej przyjąć powiedzenie potoczne „De Maria nunquam satis” — „o Maryi nigdy dość”. Ale widocznie sprawdzać się ma nieustannie, że chociaż Jej zadaniem jest ścierać głowę węża, on jednak stale będzie podnosił głowę i czyhał na Jej stopę.

Macierzyństwo warunkiem istnienia i zbawienia rodziny ludzkiej

Wydaje się, Najmilsi, iż Ojcu Niebieskiemu, który Synowi swojemu dał Matkę, i Jezusowi Chrystusowi, który nam daje Matkę, oraz Duchowi Świętemu, który właśnie Maryję nazywa Matką Kościoła — bardzo zależy na tym, aby w czasach dzisiejszych w Kościele, który też jest nazywany Matką, uwydatnić element macierzyństwa, aby strwożona, zaniepokojona, niepewna swych losów rodzina ludzka wiedziała, dokąd ma się uciekać, gdzie szukać ratunku.

Nieraz już, w czasach pełnych zamętu, w Niej ludzkość szukała szczególnej swojej Protektorki i Opiekunki, i wołała: „Advocata nostra, illos tuos misericordes oculos ad nos converte”. Czasy powtarzają się. Powstają dziś bowiem całe systemy filozofii śmierci, szerzy się polityka zabijania, unicestwiania, moralność ludobójcza. Człowiek od łona swej matki aż po grób nie jest pewien swego bytu. Straszliwe pociski i bomby mogą wyłuskać z matki-ziemi i tych, którym Kościół wymadlał „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie”. Ludzkość i tym nawet nie chce dać spoczynku.

Chlubimy się, że wiek życia ludzkiego podniósł się o jakiś procent. Chlubimy się z osiągnięć socjalnych, z humanizacji prawa, z postępu społecznego, ze służby ekonomii wszystkim warstwom społecznym, z rozwoju instytucji międzynarodowych, zabiegających o pokój w świecie. A jednocześnie czujemy, iż nasze najmłodsze pokolenie jest zagrożone. Los najbardziej nawet władczych i zwycięskich ludów i narodów jest niepewny, niepewne dalsze ich trwanie i bytowanie.

Dlatego w czasach współczesnych, w czasach głoszenia filozofii śmierci, trzeba nie tylko mówić „Życie jest światłością ludzi”, trzeba również ukazywać, gdzie ono się rodzi, gdzie powstaje, jak jest ubezpieczone. Trzeba, aby Matka życia i macierzyństwo zdobyły sobie prawo obywatelstwa w życiu i myśleniu ludzkim, w obyczajach każdej rodziny domowej, w filozofii, w polityce, w traktatach międzynarodowych.

Patrząc na Matkę Boga Człowieka, rozumiemy wychowawcze posunięcie Ojca Niebieskiego, Ojca Życia. Bóg chciał nas przekonać, że macierzyństwo jest wielką chwałą i warunkiem istnienia i zbawienia rodziny ludzkiej. Dlatego gdy nadeszła pełnia czasów i Ojciec postanowił posłać na ziemię swojego Syna, ubezpieczył Go, aby ludzie za

wcześniej Go nie zniszczyli. Od początku bowiem snuli plany zniszczenia Syna Bożego. Wspomnijmy historię Heroda. Ubezpieczył więc Ojciec Niebieski Syna swojego i ukrył w Nazaret, w rodzinie ubożuchnej — gdzie bogów nie szukają, gdzie władcy się nie rodzą — pod sercem Dziewczęcia, które umie miłować, które umie służyć i oddać się mistyce życia.

Obecność Maryi w misterium Chrystusa i Kościoła jest więc zarazem obecnością idei macierzyństwa, Matki, ukazuje potęgę Jej wysokiej godności, Jej miejsce zda się nieusuwalne. Do Niej, do Maryi wołać będzie niemowlę i stary, osiwiwały, umierający profesor. Zmęczony mózg odebrał mu już wszystką wiedzę, ale pozostawił jedno słowo, które wydobywa z dalekiej, dziecięcej pamięci: „Mamo, mamo!...”

Ludzie boją się nawrotu matriarchatu w świecie, obawiają się przewagi pierwiastka kobiecego. Dzisiaj świat kobiecy przez wyższe uczelnie przenika do wszystkich dziedzin życia. Wydaje się nam to naturalnym i zdrowym kierunkiem rozwoju. Niemniej jednak ludzie lękają się tego. Boją się sfeminizowania stosunków współżycia społecznego. Jak gdyby mieli się czym pochwalić w okresie przesadnej maskulinizacji, niemal monopolu władztwa mężczyzn, w okresie ich absolutnej autonomii i bezwzględnej obecności w każdej dziedzinie.

Jaki to dało owoc, jak wyrzeźbiło dzieje? Czy nie doprowadziło w końcu do potwornej amputacji ewolucji rodziny ludzkiej? Zapomniano zupełnie, co Ojciec Niebieski powiedział w raju Adamowi i Ewie, razem: „Czyńcie sobie ziemię poddaną” — wy, oboje. To było przykazanie dane obojgu. Start rozwojowy rodziny ludzkiej był wyrównany, dopiero później uległ zniekształceniu. I trzeba to było naprawić.

Właściwe miejsce Służebnicy Pańskiej — przy Chrystusie

Czyni to Ojciec Niebieski zapowiadając Niewiastę, która zetrze głowę węża. Często wraca ta myśl w prorocत्वach: „Dziewica pocznie...” Jak gdyby próba rehabilitacji Matki Życia, wprowadzenie jej w osobie Maryi w zharmonizowaną ewolucję rodziny ludzkiej. Znowu jest Tych Dwoje: nowy Adam i nowa Ewa — jak mówią Ojcowie Kościoła, pisarze pierwszych wieków chrześcijaństwa. Idą razem, On — Zbawiciel i Ona — Współtowarzyszka Męki. Ale wcześniej widzimy Matkę Syna

Bożego. Widzimy Ją w Nazaret w dniu Zwiastowania, w wędrówce do Ain Karim, do Elżbiety. Widzimy Ją błakającą się po uliczkach Betlejem, szukającą gospody dla Boga Człowieka. Widzimy Ją w Kanie... Zawsze wcześniej. Wymownie mówi o tym tekst Pisma świętego: „Była tam Matka Jezusowa...” Na godach, gdzie tworzyło się i zapowiadało nowe życie była Matka Życia. A potem dodaje historyk biblijny: „Zaproszony był też i Jezus...”

Naprzód Bóg ukazał Maryję, a gdy Ona powiedziała: „Oto ja Służebnica Pańska”, na świat „zaproszony” był Jezus. Ma już miejsce „w gospodzie”, pod Jej sercem. A Maryja wie, co ma czynić. Zwie się Służebnicą Pańską, aby uspokoić bojaźliwych, by nie lękali się o przeroszt kultu maryjnego, o religijność maryjną. Staje przy Chrystusie jako Służebnica Pańska, Matka Jego ziemskiego życia, Matka Boga Wcielnego, obecna w misterium Chrystusa i Kościoła Matka Kościoła... Matka... Nowa Matka, prawdziwa Matka, z prawdziwego zdarzenia Matka, rehabilitująca w swym dziele macierzyństwo, wyznaczająca mu właściwą pozycję i miejsce w hierarchii wartości, aby ziemia była Boża, aby filozofia życia zwyciężyła filozofię śmierci. I to rodzina ludzka musi mieć nieustannie przed oczyma.

Tajemnica ataków na Matkę Najświętszą i Jej cześć w Kościele

Jest bardzo ciekawe genetyczne wyjaśnienie tajemnicy wszelkich ataków na Maryję i Jej cześć, na Jej miejsce w Kościele i w polskiej religijności. Mają one posmak jakiegoś odrodzonego satanizmu. Jak gdyby chcąc uśmiercić Kościół w Polsce, trzeba naprzód uśmiercić Matkę Kościoła, w nadziei, że uśmierci się Syna Bożego — Syna Matki Kościoła. Nie będzie Go już, bo nie będzie Tej, która została pod krzyżem, gdy Syn Jej poszedł do Ojca. — Ona została jako Nadzieja jedyna. Jest jeszcze Ona, Matka Życia. Jest więc Życie, jest nadzieja na nowe życie. Uratuje się filozofię życia, ekonomię życia, teologię życia, kulturę życia.

Nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak wielką prawdą była zapowiedź Maryi: „Odtąd błogosławioną zwać mnie będą wszystkie narody”. Mieściła się w tym nadzieja narodów, że gdy będą Matkę Życia nazywać błogosławioną, uratują swój byt i „imiona głupich” nie będą

wymazane z ziemi żyjących. Bo ludzkość, choćby umierała, będzie śpiewać: „Vita, dulcedo et spes nostra...” — Życie, słodkości i nadzieje nasza...” Jedyna Nadzieja, która nam pozostała.

Opowiadał mi pewien cudzoziemiec, który wracał z Dalekiego Wschodu, że chociaż nie można tam mówić o Synu Bożym, w zakamarkach, w ukrytych izbach została jeszcze Matka Boga. Ona tam jest, już czeka... Jak w Kanie Galilejskiej czekała Maryja na przyjście Jezusa, który też był zaproszony, i dziś czeka, aż Jezus znowu zostanie zaproszony. I doczeka się... Wyjdzie z muzeów do swoich sanktuariów, bo Ona jest „Vita, dulcedo et spes...”

Czy nie jest to lekcja dla nas, dla narodu? Czy nie jest to przypomnienie, że musi on być wrażliwy i czujny na wszelkie próby schowania Maryi w kącie, w zakamarku, na próby zrażenia ludzi do pielgrzymowania do Niej? Musimy być bardzo czujni i wrażliwi na to, żeby nam nie odebrano Matki, a przez to nie zaniżano macierzyństwa w ogóle. Gdy zabraknie ideału takiej Matki, zaniży się godność macierzyństwa. A naród bez chwały macierzyństwa staje się cementarzyskiem. Sprawdzą się wtedy słowa Pisma świętego: „Imiona głupich będą wymazane z ziemi żyjących”.

Dziś patrząc ku Niej, wołajmy z ufnością: „Vita, dulcedo et spes” — dla każdego z nas, dla każdej polskiej rodziny, dla narodu polskiego i kultury ojczystej, dla filozofii życia, dla rodzimej strategii, która trwanie, wytrwanie, przetrwanie narodu i jego rozwój wiąże z macierzyństwem. Od niego zależy dalszy postęp i wypełnienie zadania przeznaczonego i naszemu pokoleniu, byśmy uwierzyli w potęgę powiedzenia Janowego: „Vita est lux hominum”.

Przed Matką Pana naszego Jezusa Chrystusa, Matką pięknej miłości, przed Tą, która uwierzyła, dziękujmy Bogu za życie, dziękujmy za to, że jesteśmy owocem miłości Ojca Niebieskiego, który jest Miłością. Dziękujmy za dar wiary, za to, iżśmy uwierzyli. Dziękujmy, że jesteśmy powołani do Kościoła, żyjemy w jego światłach, krzepieni mocami, które czerpie z Chrystusa i Jego krzyża. Dziękujmy za to, że jesteśmy nieustannie wzmacniani Ciałem Chrystusowym, światłem Ewangelii, łaską nadprzyrodzoną, która jest miłością Boga i ludzi.

Dziękujmy Bogu za całe nasze życie, udane czy nieudane. Wszystko jest łaską, darem Bożym. Dziękujmy za światła Ducha Bożego, za naukę i chleb, za dary nieba doczesne i wieczne, za powołanie do świętości.

Dziękujemy za powołanie do królestwa niebieskiego. Dziękujemy za to, iż mamy pewność od Ojca, że wejdziemy do przyjaźni Bożej.

Dziękujemy za Ojca świętego, biskupów i kapłanów, za tych, którzy nam podawali Eucharystię, którzy nas chrzcili, rozgrzeszali, pouczali. Dziękujemy za hierarchię i lud Boży. Żyjmy dziękczynieniem, aktem wdzięczności. Sprawiedliwym przystoi dziękczynienie.

Dostrzegajmy moce Boże w Kościele. Nie lękajmy się o Kościół. Wspierajmy go, jak on nas wspiera. Strzeżmy się chorobliwej krytyki Kościoła. Uczmy się go kochać, z nim współdziałać. Uczmy się, za przykładem Maryi, pomagać mu zgodnie z Jej zachętą — czynić, co każe Syn Boży.

To jest program budujący. To prawdziwe obowiązki katolików powołanych do rozwijania i potęgowania zbawczego dzieła Chrystusa. Ufajmy Duchowi Świętemu, który jest w Kościele i który nim rządzi na Soborze i po Soborze, w całym świecie i w Polsce. Duch jest Miłością. Żyjmy więc duchem miłości.

Oddajmy się w macierzyńską niewolę miłości Maryi za wolność Kościoła w świecie i w naszej Ojczyźnie. Bądźmy sumienni w wypełnianiu zobowiązań narodu, zawartych w Ślubach Jasnogórskich. Zachęcajmy się do „Społecznej krucjaty miłości”. Pobudzajmy się za przykładem Maryi do niesienia pomocy Kościołowi.

To są nasze zadania. Czerpiąc ducha z Ewangelii, nieśmy go rodzinie, otoczeniu, do miejsc naszej pracy, wykonywania naszego powołania, zawodu, specjalności, wszędzie gdzie jesteśmy, tak jak nas poucza Konstytucja pastoralna o obecności Kościoła w świecie. Módlmy się często do Maryi Matki Kościoła. Ojciec święty Paweł VI prosił, abyśmy pod tym imieniem jak najczęściej Ją wzywali.

Wołajmy razem: „Pod Twoją obronę...” (17)

WSPÓLDZIAŁANIE MARYI Z CHRYSTUSEM W MISTERIUM KOŚCIOŁA

Wymowna i pełna treści jest opowieść z Kany Galilejskiej o zatroskanych uczestnikach godów weselnych. Wina zabrakło... Nie zdołają uczynić nic najlepsi nawet przyjaciele oblubieńca. Mogą tylko patrzeć ze współczuciem na jego niepowodzenie u progu nowego życia. Niechętni zaś mogą wziąć zatroskanych na języki, posądzić ich o skąpstwo. Ale dostrzega to niezwykle uważna i czuwająca Dziewica i Matka — Maryja. Jej oczy oceniają trudną sytuację. Spogląda nieśmiało ku Synowi. Zna Go dobrze. Któż lepiej znał Jezusa jak nie Ona — Matka i Służebnica Pańska? Spogląda nieśmiało. Wie, że Chrystus może działać bez Jej słów. Wie, że On zna czasy i chwile, które postanowił Bóg w programie działania dla swojego Syna.

Troska ludzka, czujna uwaga Matki, tajemnicza obecność milczącego Jezusa, puste stągwie — to przedziwne rekwizyty życiowej codzienności. Można je napełnić wodą nawet wtedy, gdy nie ma rozkazu, gdy jest zaledwie jakaś rada. Jakże trudno połączyć polecenie: „Napełnijcie stągwie wodą”, z odpowiedzią Chrystusa daną Matce: „Jeszcze nie nadeszła godzina moja” (por. J 2,1-11). Jaki może być związek między tymi słowami?

Coś się jednak dzieje. Krzątają się słudzy, noszą wodę, o którą tak trudno w Kanie, napełniają stągwie. Czuwa nad tym Matka Chrystusowa. A później — nikt już niczego nadzwyczajnego nie dostrzega. To, co się dzieje w stągwiach tajemniczą mocą Chrystusa, który zda się odmawiać prośbie swej Matki, a jednak działa i sprawia, że woda staje się dobrym winem — to dokonuje się w niezwykłej dyskrecji. Niedostrzegalna cisza otacza misterium przemiany. Skoncentrowana uwaga Matki, synowska ustępliwość Jezusa jest tajemnicą Tych Dwojga. Nikt tej tajemnicy nie rozezna. Nie dowie się nawet gospodarz wesela. Słudzy wiedzą, że napełnili wszystkie stągwie wodą, ale skąd się wino wzięło — nie wiedzą...

Można wszystko przygotować. Można mieć wodę i naczynia, ale przemiana jest tajemnicą dyskretnego działania Jezusa i współdziałającej z Nim Matki.

Nieustanne „gody” Kościoła Chrystusowego

Sobór Watykański II, o którym mówią, że był oczyma Ducha Świętego, patrzącymi na Kościół współczesny, odsłonił nam swoją tajemnicę: w Kościele trwają „gody”. Chrystus sam mówił, że Ojciec zgotował gody Synowi swojemu. Mówił też o zaproszonych na ucztę, którzy nie chcieli przyjść. Zasiadał w Wieczerniku z uczniami swoimi, bo wielkim pragnieniem Jego było spożywać z nimi ucztę... To są dostrzegalne, dające się zarejestrować fakty. Można je obliczyć statystycznie, ocenić socjologicznie, ustawić społecznie — a jednak jeszcze nie wszystko da się zrozumieć.

Sobór usiłuje uwrażliwić nas na misterium Kościoła. Jest nim cicha, milcząca obecność Chrystusa, napełniającego Kościół mocami swojego Ducha — życiem, łaską, prawdą i świętością. Kościół jest jak stągiew, w którą „słudzy godów” nieustannie wlewają wodę. Ale jak to się dzieje, że zewnętrzne, dostrzegalne działanie sług Kościoła obejmuje przedziwną przemianę, wywołaną przez obecnego w Kościele Chrystusa — jest dla nas tajemnicą. Wiemy, że dokonuje się w nas wewnętrzna przemiana „wody” naszych czynów w „wino” łaski.

Sobór mówi o świadku i współuczestniku tej wewnętrznej przemiany — o Maryi. Jest Ona w Kościele obecna, działa w nim dyskretnie, posługuje się niemal niedostrzegalnymi znakami, ale Sobór Ją widzi. Duch Święty jeszcze raz ukazuje Maryję, jak przynaglana swoją macierzyńską wrażliwością, działa mocami Chrystusa. Ona przygotowała w Kanie wszystko, aby się dokonała przedziwna przemiana. Ona jest obecna w misterium Chrystusa i Kościoła, jest świadkiem i współuczestniczką tajemniczej przemiany, jaka się dokonuje w stągwiach ludzkich dusz. (...)

Obraz z Kany jest jednym z szeregu przedziwnych, dyskretnych działań Chrystusa i Jego Matki. Nie ma tam wielkich mów, nie ma wykładów, niezwykłych traktatów, badań, studiów. Jest tylko otwarcie się — przez dyskretną uwagę: „wina nie mają” — na działanie Chrystusa. Ale widocznie Bóg chciał, aby o tych potrzebach i troskach ludzi przypominała Chrystusowi Maryja.

Nie ma odnowy soborowej bez Chrystusa i Jego Matki!

Wiele mądrych artykułów napisano o odnowie soborowej; wiele na jej temat sporów, dyskusji, rozważań, programów, postulatów, wymagań; wiele krytyki — czasem słusznej, często przesadnej, będącej raczej oznaką niewiedzy i gorączkowej aktywności, jak gdyby zapomniano o tym „unum necessarium”.

Odnowa soborowa nie polega tylko na stwierdzeniu, zarejestrowaniu socjologicznym wszystkich trosk i braków rodziny ludzkiej — na nieustannym powtarzaniu: „wina nie mają”. Polega ona przede wszystkim na dostrzeganiu w misterium Kościoła działania Chrystusa, który swój Kościół ożywia, uświęca, jednoczy i napełnia pokojem. Polega także na dostrzeżeniu przy Chrystusie, Bogu Człowieku, Jego Matki — Maryi. To Ona dyskretna, czujna, uważna, dostrzega nasze puste „stągwie”, do których Jej Syn polecił nalać „wody”.

Wszyscy jesteśmy stągwiemi, w których dopełnia się przedziwne działanie Chrystusa. Lecz Bóg działa dyskretnie i w ciszy. Nie potrzebuje rozgłosu, hałasu. Nie są Mu potrzebne plany i programy. Nie to jest istotne. Wystarczy tylko pochylić się nad stągwią, jak to uczyniła Maryja. Pusta stągiew, wina nie mają... Wszędzie pusto, a ma być pełno... Chrystus siedząc przy studni Jakubowej tłumaczył Samaritanie: „O, gdybyś znała dar Boży i wiedziała, Kim jest Ten, który ci mówi: Daj Mi się napić” — prosiłabyś Go wówczas, a dałby ci wody żywej” (J 4,10).

Wydaje się nam, że w niezliczonych dyskusjach na temat odnowy soborowej dotknięto już wszystkiego; poruszono „trony”, papieży, biskupów i kapłanów, próbowano nawet dokonać zmian w programach odnowy, poprzestawiać wszystko, co tylko się da przestawić czy zakwestionować, lecz nie dostrzeżono „unum necessarium”, tego, co jest istotne w Kościele Bożym. Nie zauważono misternego, dyskretnego działania Chrystusa w „wodzie”, która napełnia nasze „stągwie”; działania spowodowanego — jak w Kanie Galilejskiej — proszącymi oczyma czuwającej Matki, szeptem Jej warg, którego nie dostrzega nikt z weselników. A przecież wtedy dokonuje się misterium przemiany...

Wydawało się niekiedy ludziom, że przeprowadzą odnowę soborową, gdy zburzą wszystkie dotychczasowe instytucje w Kościele i nadadzą im nowe formy. Cóż przyjdzie z samych form? Co ze stągwi, jeśli pozostaną

puste? Idzie przecież o to, aby wszczepiło się w nie nowe życie. I to nie innymi mocami, tylko Chrystusa, uproszonego przez swą uważną i czujną Matkę.

Matka Chrystusa bowiem jest Matką Kościoła. (...) Od Niej Kościół uczy się być matką dla wszystkich dzieci Bożych. (...)

Pełna realizacja Soboru, prawdziwa odnowa soborowa polega przede wszystkim na dostrzeżeniu w Kościele tajemnicy macierzyństwa i przeniesieniu go na wszystkie stosunki współżycia ludzkiego. Bo dopiero wtedy jest życie — „vita, dulcedo et spes...” Nie puste stągwie odnowią Kościół, naród, rodzinę, lecz napełnione, wprawdzie wodą, ale przemieniającą się w wino łaski za sugestią tej Matki, która wszystko widzi i wszystko może u swojego Syna, która współdziałała z Nim.

Ludzie współcześni doradzają niekiedy Kościołowi, aby wyrzekł się takich „miękkich słów” o Maryi, o macierzyństwie, aby był bardziej realny, konkretny, socjologiczny, chociażby za cenę zapomnienia na moment o tym, że musi być teologiczny. A jednak właśnie macierzyńskie słowa Maryi i synowskie porozumienie się oczu Syna i Matki mają największą wartość. To Chrystus i Maryja dokonują nieustannej odnowy Kościoła. Już w Wieczerniku Zielonych Świąt Maryja, jako Oblubienica Ducha Świętego, okazała się Matką Kościoła. I swoje macierzyńskie funkcje spełnia do dziś.

Dlatego też my, polscy biskupi, odnowę soborową w stągwiach ludzkich dusz, w których Chrystus dopełnia przemiany, prowadzimy pod tchnieniem i sugestiami Matki Chrystusowej. Niełatwo to dostrzec. Jeżeli ktoś nie rozumie, na czym polega rzetelna i prawdziwa odnowa w Kościele Bożym, może o Kościele polskim niewiele powiedzieć. I my niewiele możemy wytłumaczyć, ale za to możemy bardzo ufać i ufnie patrzeć na dłonie Matki, w Jej uważne, czujne oczy, które wszystko widzą i które nieustannie coś swojemu Synowi ukazują. A czy Syn mógłby się oprzeć dyskretnym sugestiom Matki? (18)

CZEGO OCZEKUJE OD NAS CHRYSYTUS?

Maryja nazwana jest prawzorem, prototypem Kościoła, albowiem i w Kościele Bożym na ziemi, Nieśmiertelny, Wieczny Kapłan — Chrystus ma przy sobie Pomocnicę Bożą, Matkę swoją, Maryję. Ma też „do pomocy” papieża, biskupów, kapłanów, diakonów; ma „do pomocy” rodziców, związanych chrześcijańskim sakramentem małżeństwa; ma świeckich apostołów, lud wybrany, lud nabycia, „królewskie kapłaństwo”. Pewnie, poradziłby sobie Chrystus bez nas, ale On tego nie chce. Oczekuje, aby wszyscy z Nim współdziałali, tak jak współdziała Jego Matka, przywołana przez Syna do dzieła ożywiania, uświęcania, jednoczenia i napełniania pokojem Bożym całej rodziny ludzkiej. Dlaczego Bóg zechciał naszej pomocy, pozostanie tajemnicą.

Jesteśmy Bogu potrzebni

Tak często pytamy o istotę apostołstwa świeckich. Jest to włączenie się w misterium Chrystusa. Podobnie jak Chrystus włączył się w wolę zbawczą Ojca, jak Maryja podjęła zadanie Syna, tak i my wszyscy winniśmy włączyć się w posłannictwo Kościoła. Kościół jest nieśmiertelny, chociaż my umieramy; jest święty, chociaż my jesteśmy grzeszni; Kościół jest pełen Boga, Chrystusa, chociaż i pełen ludzi. Kościół ma gwarancję, że bramy piekielne nie zwyciężą go, chociaż nas tak często zwyciężają. A jednak to my — grzeszni, śmiertelni, zwyciężani przez zło, może nawet lepiej rozumiejący Kościół aniżeli w nim działający — jesteśmy wezwani do odpowiedzialności za Kościół Chrystusowy, podobnie jak Maryja była wezwana do odpowiedzialności za Dziecię Jezus, za Młodzieńca nauczającego w świątyni, za Męża Boleści, który zawisł na krzyżu.

Matka Chrystusowa dobrze знаła swego Syna. Wiedziała, że cokolwiek On powie, trzeba czynić, aby woda ludzkich czynów zamieniła się w dobre wino. Maryja zna tajemnicę działania Ducha Świętego, zna wszystko, czego pragnie Jej Syn, który przebywał w Niej przez dziewięć miesięcy. Już wtedy działał w Niej tajemniczo, choćby na Jana w Ain Karim. Podobnie działa dziś w nas.

Jesteśmy Bogu potrzebni, chociaż mógłby sobie poradzić bez nas. Jego rozumność, mądrość i miłość wymaga jednak, abyśmy objawiali te same cechy co On — rozumność, miłość, mądrość — i w ten sposób dojrzewiali do pełni osobowości i rozwoju, bo tylko wtedy jest prawdziwy postęp rodziny ludzkiej. Taka jest mądrość Boża. Bóg nie chce za nas wszystkiego zrobić, wyręczyć nas. On chce, abyśmy korzystając z Jego darów zrobili coś sami. Nie chciał też, aby Chrystus sam wszystkiego dokonał na ziemi, dlatego zapragnął, aby i Matka Jego, Maryja, „coś za Niego zrobiła”, stając się Jego Pomocnicą.

Pomóżmy Maryi Matce Kościoła

Pytacie mnie, na czym polega idea pomocnictwa? Właśnie na tym. Sobór Watykański II odsłonił głębię teologii nazywając Maryję — za natchnieniem Pawła VI, na prośbę Episkopatu Polski — Matką Kościoła. O! Z pewnością Kościół poradziłby sobie mocami Chrystusa, ale Chrystus chciał, aby Ta, która stała pod krzyżem otoczona niewiastami galilejskimi, była obecna i dziś w Kościele. Podobnie jak po Wniebowstąpieniu Chrystusa, Maryja była z uczniami Jego w Wieczerniku Zielonych Świąt, inicjując niejako swoje działanie w Kościele.

Maryja chce być przez nas otoczona. Dlatego właśnie nie była sama na Kalwarii, gdy zostawała Matką naszą, gdy już nie „Filius Dei”, ale „filius Zebedei” — jak mówi pisarz starochrześcijański — był Jej dany. To my wszyscy. Po to jesteśmy Jej oddani, abyśmy byli przy Niej, abyśmy pomogli Jej w zadaniu, wyznaczonym przez Chrystusa na Kalwarii. Zadanie to mamy pełnić wszędzie — we wszystkich dziedzinach życia rodziny ludzkiej. Przypomina nam o tym Konstytucja pastoralna o obecności Kościoła w świecie współczesnym.

Idea pomocnictwa sięga aż do Trójcy Świętej — Syn Boży jest wezwany ku pomocy Ojcu Niebieskiemu; Maryja jest wezwana do pomocy Synowi; papież jest wezwany do pomocy Chrystusowi, biskup — do pomocy papieżowi, kapłan — do pomocy biskupowi; wszystkie stopnie hierarchii kościelnej uzależnione są od siebie we wzajemnej służbie i pomocy. Rodzice chrześcijańscy są wezwani do pomocy zbawczej w rodzinie, a dzieci doznawszy pomocy rodziców mają również obowiązek im pomóc. Łańcuch miłości pomocniczej łączy

wszystkie elementy życia i współżycia społecznego rodziny ludzkiej, rodziny Bożej.

(...) Idea pomocnictwa to misterium, które nas mobilizuje, uruchamia, wyzwala z bezwoli, inercji, z postawy wygodnego oczekiwania, aby kto inny za nas wszystko zrobił, a może nawet, aby Kościół zaniósł nas żywcem do nieba, bylebyśmy tylko my nie musieli ruszyć ani ręką, ani nogą. O nie, Dzieci Boże! Tak dobrze, tak wygodnie być nie może! Trzeba przejść przez krzyż do chwały — jak Chrystus i Jego Bolesna Matka, Maryja, „dana ku pomocy narodowi polskiemu”, przez krzyż i cierpienie nieustannie naród nasz pogłębia, uświęcając go mocami Chrystusa. Ona — „*Socia passionis Christi*” — jest także „*Socia passionis populi nostri*”, a jeśli „*Socia passionis*”, to i „*resurrectionis*”. Podobnie dzieje się i w życiu naszego narodu, który dlatego tylko nie umiera, choć tyle narodów wygasło w dziejach, że stoi żywy wiarą.

Więcej nie powiem, bo urągałoby to rozumnym ludziom. Po resztę sięgnijcie sami. Niech mądrość i miłość Boża dopowie wam więcej. (19)

SOLIDARNI POD KRZYŻEM

Tak wiele zmienia się w życiu świata! Nasze pokolenie schodzące i to nowe wchodzące, żyje niepokojem o przyszłość i ambicją, aby jeszcze czegoś dokonać, aby przeprowadzić pewne zasadnicze posunięcia dla zagwarantowania lepszej przyszłości. Zdawałoby się, że trzeba z niepokojem rozglądać się na prawo i lewo, skąd by nam przyszło zbawienie.

Tak wielu ludziom się wydaje, że Kościół właściwie nic nie robi, nie wykorzystuje czasów danych mu na dziś. I oto na Stolicy Piotrowej zasiada najbardziej nowoczesny, postępowy, komunikatywny i przystępny Papież i rozpoczyna swoje pasterzowanie od modlitwy: „Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi i poczęła z Ducha Świętego...”

Pewien chłopiec, który wysłał list do Papieża, pisze w nim: „Tak niewiele od nas zażądałeś, tylko Anioł Pański”. A my wszyscy spodziewaliśmy się, jak uzdrowiony z trądu król, że Papież będzie od nas wiele żądał, tymczasem on tylko przypomniał, że była chwila, gdy Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi — jak przewidywał prorok: „Oto

Dziewica pocznie i porodzi Syna i nazwie imię Jego Emmanuel, czyli Bóg z nami”. I oto Słowo staje się ciałem — w Nazaret.

W jednym ze swoich wywodów Ojciec święty Jan Paweł II napisał, że dzieło zbawienia świata zaczęło się już wtedy, gdy Anioł wypowiedział w Nazaret słowa zwiastowania Maryi; gdy moc Ducha Świętego sprawiła, że Dziewica stała się Matką; już wtedy zaczęła się odnowa ludzkości, przewidywana przed wiekami. Maryja, wbrew domniemaniom niektórych, była świadoma tego, że w Niej jest Zbawiciel świata. Już wówczas rozpoczęła się Jej bolesna męka. Nie wtedy, gdy Symeon zapowiadał Jej miecz boleści, lecz gdy zwiastun Pański mówił do Niej: „Poczniesz, porodzisz... Będzie wielki... będzie nazwany Synem Najwyższego”. Później dodadzą: „On odkupi Izraela”.

Odkupienie jest zawsze męką

Odkupienie jest zawsze męką. Nie ma zbawiania bez cierpienia i poczucia bezsiły, bez jakiejś rzeczywistości obolałej, którą się przyjmuje i której człowiek poddaje się z wiarą, że trzeba wiele uciepieć dla Imienia Chrystusowego, aby zrodziły się nowe czasy i nowe rozumienia. Nie wystarczy tylko być, istnieć, nie wystarczy być świadomym zachodzących przemian, w nadziei, że nie dotkną nas one boleśnie. Chrystus mówił dobitnie: „Idźcie i nauczajcie” — „Ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata”; pouczał, że musimy włączyć się w wielką pracę i zbawczy trud Kościoła.

Maryja była świadoma posłannictwa i zadania, które wyznaczył Jej Ojciec Niebieski. Trwając w tej wielkiej i głębokiej świadomości, wypełniała je wiernie, chociaż niezbyt ponętne było zadanie Dziewicy i Matki, osłoniętej wprowadzie przez małżeństwo z Józefem przed dociekliwością małych ludzi, niezdolnych do myślenia kategoriami Bożymi, ale to nie było łatwe. Sztuka kościelna i religijna usiłuje ukazać boleści Maryi, patrzącej na swojego Syna w żłóbku. Polski artysta Męcina-Krzesz namalował wielki obraz zniszczony w czasie wojny, potem odrestaurowany, przedstawiający Jezusa w żłóbku, a nad Nim światło olbrzymiego, czerwonego krzyża. Nieraz artyści przedstawiają Dziecię Boże, jak u boku świętego Józefa szkoli się w rzemiośle stolarskim i konstruuje krzyżyki. Maryja w Nazaret patrząc na Jezusa

na pewno miała świadomość, że „potrzeba, aby Syn Człowieczy to wszystko ucierpiał i tak wszedł do chwały” (por. Łk 24,26).

Dzisiaj tak często zastanawiamy się, dlaczego tylu ludzi którzy wierzą Bogu, którzy wyznają Go i chcą się modlić, dlaczego tyle narodów, o których mówił Ojciec święty w Polsce — cierpi dla Imienia Chrystusowego? Dlaczego? I my na to patrzymy. My, którym w dużym stopniu, choć nie w pełni, zaoszczędzono tak drastycznych cierpień, bo mamy je w innym wymiarze, pytamy: dlaczego to wszystko?

Trzeba spojrzeć głębiej i nie tylko egzaminować Kościół Chrystusowy, ale trzeba spojrzeć w zamiary i myśli Boże. Jeśli Chrystus mówi: „Potrzeba, aby Syn Człowieczy to wszystko ucierpiał i tak wszedł do chwały”, widocznie potrzeba tych wszystkich bolesnych doświadczeń dla omycia człowieka, dla pogłębienia jego stylu życiowego, dla skłonienia go do wyznania, do ujawnienia się przed ludźmi i odważnego przyznania się do Boga.

W wielu krajach, gdzie milczy ołtarz i kapłan, ludzie przyznają się do Boga i wołają wielkim głosem o swoje prawo do Chrystusa, do Jego Ewangelii i Krzyża. Czyż my, w naszym umiarkowanym uprzywilejowaniu, mielibyśmy czuć się wolni od tego wymiaru cierpienia, które można by ująć w znaku krzyża i stojącej pod krzyżem Matki? Czyż mielibyśmy być zadowoleni tylko z tego, że nam się aż tak źle nie dzieje? A gdzie solidarność człowieczeństwa, która wymaga od nas zajęcia stanowiska?

Jeżeli Kościół dzisiaj oczekuje od biskupów odpowiedzialności nie tylko za swoją owczarnię, ale w jakimś wymiarze za diecezje innych biskupów, jeżeli mówi się o tak zwanej kolegialności poziomej, to rzecz jasna, że odpowiedzialność nasza rozwija się nie tylko w granicach Ojczyzny, lecz sięga dalej. Nie jest nam obojętne, co dzieje się w Kościołach innych narodów, choćby były kierowane i obsługiwane przez najlepsze episkopaty. I to nas obchodzi. Analogicznie — nie może być obojętne dla mnie, co cierpi mój brat, prześladowany dla Imienia Chrystusowego, bo to mnie też dotyczy. Kościół jest jednym Mistycznym Ciałem Chrystusa: „Co cierpi jeden członek, współcierpią wszystkie członki, w czym zaś raduje się jeden członek, współradują się inne” (1 Kor 12,26). A więc jest duchowa solidarność w cierpieniach i radościach. I to jest dopiero myślenie powszechne, katolickie! To znaczy nie tylko radowanie się wolnością swojej myśli, która starannie ukryła się

przed wrogami, ale to jest wyzwolenie mojej myśli, wypuszczenie jej z więzienia czaszki i przekazanie innym — rodzinie, ojczyźnie, światu.

Odbywają się obecnie różne kongresy światowe, między innymi zapowiedziany jest w końcu września kongres mariologiczny i maryjny w Saragossie. Wiele jest kongresów teologicznych, wiele spotkań, zjazdów z dziedziny innych nauk. Świadczy to o potrzebie wyzwolenia się człowieka i otwarcia na świat. Nie wystarczy, że jestem wspaniałym człowiekiem sam w sobie; jestem bratem innych ludzi i nie może mi być obojętny ich głód duchowy, religijny, ich męka, pragnienie prawdy i wolności, poszanowanie praw ludzkich.

Dla wszystkich krzyż Chrystusa i ...

Szerokość człowieczych aspiracji wskazuje, że dla wszystkich jest krzyż Chrystusa, a pod nim Matka Bolesna. I tak jak mówił wspomniany już pisarz starochrześcijański: „dwoje zawiniło, Dwoje ma zbawiać”, tak też w całej religijnej inspiracji dla tych Dwojga musi być zawsze miejsce. Nie możemy ich rozdzielać pod pozorem, jakoby rozwój czci ku Matce pomniejszał cześć ku Synowi. Matka zawsze powie, jak w Kanie: „Cokolwiek wam (Syn mój) każe, czyńcie”. Ona Go zawsze niesie przed sobą — taki jest zwyczaj w krajach chrześcijańskich, a nie za sobą — jak jest w krajach pogańskich. Niesie Go, by Go dać innym. Nadal więc spełnia przedziwne zadanie pierwszej Ewangelii, zanim jeszcze inne były napisane. Jest Zwiastunką obecności na naszej ziemi Emmanuela, czyli Boga z ludźmi, Boga z nami.

I tak będzie, Dzieci Boże. My, obciążeni latami, zmieniamy się w swoim wymiarze zewnętrznym. Zmienia się wokół nas wszystko, ale pozostaje On — Zbawiciel ludzi i Ona — Służebnica Pańska. Tych Dwoje musi wejść w codzienność życia każdego z nas. Coraz częściej mówią dzisiaj psychologowie i pedagogowie, że mężczyźni zawsze potrzeba jakiejś pomocy kobiety, a ona nie wypełni swojego zadania bez jego towarzystwa i obecności. Tak jest w świecie myśli Bożej i tak jest w granicach zamkniętego na „trzy skoble” domu rodzinnego, tak też jest w dziejach świata.

Dzisiaj ludzkość dopełnia rehabilitacji kobiety i wprowadza ją coraz bardziej w życie społeczne, publiczne, zawodowe, a nawet polityczne,

nieraz nawet kosztem jej obowiązków przyrodzonych i najbardziej zaszczytnych, kosztem macierzyństwa. Zdarza się, że kobiety wyspecjalizowane w jakiejś dziedzinie wiedzy, pracujące naukowo, uciekają od dzieci, nie chcą ich mieć, wynaturzając w ten sposób swoje najszczytniejsze powołanie.

Nowa Ewa nie odeszła od swojego Syna. Stała pod krzyżem otoczona gromadką kobiet galilejskich. One tam zostały. Z Apostołów tylko jeden wytrzymał do końca. A reszta otoczenia to byli oprawcy, złoczyńcy — takim oddano Chrystusa. Apostołowie pewnie stali gdzieś tam w załomach skały kalwaryjskiej, byli obecni, tylko bezczynni, bo zatrwożeni, lękliwi. Ale Maryja nie lękała się, Jej męstwo i odwaga udzieliły się niewiastom galilejskim.

Często tak jest w niejednej wspólnoty, że pozostaje tylko Maryja i Jej otoczenie, a wzniosłych panów — nie ma. Oni się ubezpieczają. Zamiast zawierzyć się Jej, jak to uczynił Papież tu, na szczycie Jasnogórskim, zamiast oddać Jej siebie, swoją rodzinę i Kościół, oni ubezpieczają siebie. Co wtedy pozostaje...?

Biskupi polscy przed laty zawierzyli się Matce Najświętszej tu, na Jasnej Górze, i tak czynimy do dziś dnia. A wzniosli mężowie mędrkują i dialogują na ten temat, zamiast uwierzyć, zdobyć się na odwagę wyznania swej wiary przed ludźmi i w ten sposób mocno postawić nogi na gruncie Ojczyzny, która może być zbawiona tylko przez Zbawiciela ludzi i Służebnicę Pańską. Oddziaływanie Tych Dwojga ma harmonizować w duszy każdego mężczyzny i każdej kobiety. Ma harmonizować tam, gdzie dwoje — mąż i żona wypełniają zadanie rodzinne. Ma harmonizować w kulturze i wychowaniu całego narodu. To powiedział Sługa sług Bożych — Jan Paweł II, urodzony z polskiej matki — swojemu narodowi, stając pod krzyżem na Placu Zwycięstwa i tu, na szczycie Jasnogórskim, wobec licznych rzesz.

Chciejmy być odważni...

Gdy więc dzisiaj przyszedliśmy do Matki Najświętszej, chciejmy być odważni. Przyznając się do Bożego Syna i do Niej się przyznawajmy całą duszą i całym sercem. Kościół w Polsce oczekuje od was wiele. Prosi nas, abyśmy oddali się osobiście Matce Najświętszej w Jej macierzyńską

niewolę miłości. Możemy na ten temat rozważać: czy biskupi mają rację, czy mają prawo, czy to jest teologiczne, czy nie. Ale zważcie, oto przyjechał z Rzymu Ojciec święty i tu, na Szczytcie, powiedział: Polacy mają zwyczaj zawierzania wszystkiego Matce Najświętszej. Stąd wyniosłem ten zwyczaj. Nauczyłem się go w długiej pracy i współpracy Episkopatu Polski. I oto ja dobrowolnie, nowym aktem zawierzam się całą swoją osobowością, z zadaniami na mnie włożonymi, Tobie, „Jasnogórska Matko Kościoła” — powiedział dosłownie. Zawierzam Tobie Kościół i naród polski, wszystkie narody i świat cały.

Takiego osobistego aktu wiary wymaga od nas dzisiaj Kościół w Polsce w nadziei nie na nagrody, tylko na trud wiary, że „potrzeba to wszystko ucierpieć”. Potrzeba, aby to przyszło, choćby niejedyn Piotr nam mówił: „Nie przyjdzie to na Ciebie, Panie”. Potrzeba krzyża, aby dokonać odnowy oblicza świata, dlatego „trzeciego dnia zmartwychwstanie”. — „Nie przyjdzie to na Ciebie, Panie” — „Idź precz, szatanie”. — Twarde to słowa, usłyszał je tylko jeden z Apostołów, przyszła głowa Kościoła, Piotr.

Potrzeba „ucierpieć”, potrzeba się omyć, potrzeba się skompromitować, potrzeba wyznać, okazać przed ludźmi serce, myśli, postawę katolicką i tak wejść do chwały. Nie ma innej drogi dla odnowienia świata. W Katedrze Kolońskiej w ubiegłym roku, w obecności kardynała Wojtyły, który razem z kardynałem Höffnerem, arcybiskupem kolońskim i innymi kardynałami niemieckimi sprawował Najświętszą Ofiarę, mówiłem do Niemców: Europa musi się stać nowym Betlejem dla świata, gdzie się rodzi Chrystus. Musi wejść w swoje zadania. Kiedyś dała światu Ewangelię, dziś trzeba się do tego posłannictwa przyznać.

Daleko bardziej zobowiązani jesteśmy do tego my, których dzisiaj uważają w świecie, przynajmniej w prasie, za dziwny naród, który może nie zawsze postępuje tak jak wierzy, ale wierzy. Kto wie — bez zbędnych ambicji i próżności — czy nie jest to nasze zadanie na najbliższe czasy, zadanie, do którego musimy się przygotować? (20)

IV

A JEDNAK — ISTNIEJEMY!

A JEDNAK „ODRODZENIE” ISTNIEJE!

Chciałbym naprzód podkreślić tylko błogosławiony fakt, że jako prąd ideologiczny jednak istniejemy. I to jest najważniejsze, czego możemy dokonać.

Jesteśmy! I w tym jest radość, że jesteśmy, że jednak nie zagubiliśmy ideałów, które w młodości były pielęgnowane i zapadły w duszę najżywiej. Pragnąłbym z tego wyprowadzić wnioski:

A więc wniosek pierwszy — być świadomym wspólnoty z tym prądem! Dalej, przyznawać się doń i cenić sobie wysoko miano seniora „Odrodzenia” — (nie podkreślam tego pierwszego słowa, tylko drugie). Cenić sobie wysoko to, że należy się do rodziny, która wspólnie coś w Polsce przeżyła i coś wspólnie kocha.

Drugi — cokolwiek byśmy powiedzieli na temat programowania naszej pracy, to pierwszym i najważniejszym zadaniem każdego z nas było: trwać w łasce uświęcającej. To jest największa pomoc Kościołowi, jaką „Odrodzenie” dać mu może. Bo stąd płynie siła Kościoła i jego niespożytość. Takiej pomocy Kościół od „Odrodzenia” przede wszystkim oczekuje.

Trzeci — powiedziano tutaj, że za rok tu się spotkamy. Dzisiejszy fakt ma się zamienić w instytucję. Ma powstać po prostu instytucja

pielgrzymek „Odrodzenia” na Jasną Górę. A to jest pierwsza pielgrzymka. Druga będzie, jak Bóg pozwoli, prędko.

To będzie część naszego udziału w wielkiej pracy całego Kościoła polskiego nad wykonywaniem Ślubowań Jasnogórskich Narodu. Ślubowania te są własnością całego narodu, spoczywają one na barkach narodu. Nie są zadaniem jakiegoś instytutu, chociaż taki Instytut Prymasowski Ślubów Narodu na Jasnej Górze powstał. Ma on pomagać narodowi, który wypełnia Ślubowania Jasnogórskie, ma przypominać mu i budzić sumienie narodu. Ma obudzić wierność narodu wobec Ślubowań Jasnogórskich. Ma on więc raczej zadanie ideologiczno-techniczne; natomiast wykonanie Ślubów Narodu należy do całego narodu. I my, jako ruch ideologiczny „odrodzeniowy” staniemy całą siłą przy tym programie, który jest wyrażony w Ślubach Jasnogórskich.

To jest program wszechstronny; obejmuje przecież życie osobiste Polaków i życie rodzinne, życie społeczne, zawodowe, narodowe. Idzie więc po linii tych najbardziej zasadniczych zagadnień, które są przedmiotem zainteresowania i umiłowania ruchu „odrodzeniowego”. (...)

Niestychanie doniosłą rzeczą, która do nas przemawia, jest ożywienie naszej czci do Matki Najświętszej. Ta cześć w narodzie polskim dotychczas może jest uczuciowa. Nie jest to złe, nie trzeba się tym gorszyć, bo jednak Chrystus nie powiedział z krzyża: Oto Nauczycielka twoja, oto wzór, potęga, Królowa; ale powiedział: „Oto Matka twoja”. Najwłaściwszy stosunek nasz do Maryi — to jest stosunek dziecięcy. Może nas niekiedy razić ta dziecięcość kultu maryjnego w Polsce, zwłaszcza kultu uprawianego przez lud. Nie gorszymy się tym nadmiernie; pozwólmy ludziom wypowiadać swoje uczucia tak, jak ich na to stać, a jeżeli nas stać na coś więcej, to czynmy to. I dlatego też dążenie, ażeby kultowi maryjnemu w Polsce nadać głębszy, teologiczny charakter, jest rzeczą ważną. (...)

A więc pogłębienie teologiczne naszego związku z Matką Najświętszą, to jedno z bardzo ważnych zadań programu. (...)

Obok tego punktu (w Ślubach Jasnogórskich) istnieją inne: idzie o więź z Krzyżem, Ewangelią, z Kościołem i hierarchią kościelną; idzie też i o program społeczny, bo mówi się o sprawiedliwości i miłości. Dążenia, które są tak nam bliskie, tam są tak mocno podkreślone.

A nadto mówi się o wielkim programie przebudowy moralnej i obyczajowej, stawia się jako zadanie — wyniszczenie pewnych nałogów i wad zbiorowych narodu: nabycie cnót niezbędnych, ażeby oblicze duchowe narodu odmienić i przygotować lepiej do społecznej służby dobru wspólnemu.

Nasze pielgrzymki „odrodzeniowe” na Jasną Górę wezmą sobie, jako szczególne zadanie: zrozumienie programu, który został zawarty w Ślubowaniach Jasnogórskich. (...)

Czwarty dezyderat naszego spotkania — to zebrania terenowe, środowiskowe, w oparciu o te punkty gdzie „Odrodzenie” przed wojną działało. Jakkolwiek bardzo się rozproszyliśmy, niemniej jednak ważną rzeczą jest skupiać się terenowo w tych tradycyjnych środowiskach, gdzie „Odrodzenie” istniało.

Wiemy z różnych miejsc, że dni skupienia mają swoje wielkie znaczenie; można by pod tym kątem ruszyć nieco naprzód. Jest w „Odrodzeniu” grupa księży, którzy przez ruch „odrodzeniowy” przeszli. Chociaż na tym zebraniu milczą, chcąc dać pole swobodnej wypowiedzi, to jednakże w środowiskach akademickich oni powinni stać się głównym ośrodkiem, skupiającym „odrodzeniowców”.

Piąty dezyderat — ważną jest rzeczą brać udział w pracy grup zawodowych katolików. (21)

DOCZEKALIŚCIE SIĘ REALIZACJI WASZYCH IDEAŁÓW

Starsze pokolenie w czasach swojej pracy przygotowawczej do życia, podczas studiów akademickich na wszystkich polskich uniwersytetach, rwało się do pracy Chrystusowej, szukało jej niemal na własny rachunek, zabiegając o pełniejsze i głębsze poznanie ducha Ewangelii Chrystusowej, sensu Krzyża i wewnętrznej, nadprzyrodzonej organizacji Kościoła Bożego. Stawialiście pierwsze kroki na ówczesnych uczelniach, pragnąc pełnej, całej, a więc Bożej prawdy. Staliście się awangardą przyszłej inteligencji katolickiej z wykształceniem akademickim. Bardzo często byliście wtedy niezrozumiani.

Dziś, po latach, możecie powiedzieć o sobie, że doczekaliście się realizacji wielu waszych ideałów, zwłaszcza w okresie Soboru Watykańskiego II. To, co kiedyś przedstawiało się wam teoretycznie, w rozważaniach i dyskusjach czysto akademickich, w idealistycznych programach na wyrost, to dzisiaj możecie w pełni oglądać. Przede wszystkim pełniejsze i głębsze zrozumienie sensu Kościoła jako Ludu Bożego, nadprzyrodzonej wspólnoty, pogłębionej nadprzyrodzoną miłością i sprawiedliwością Bożą, rzetelnej demokracji, w której wszyscy czują obowiązki wobec jednego, a jeden czuje się zobowiązany wobec wszystkich, zgodnie z Chrystusowym poleceniem: „Będiesz miłował Pana Boga twego... Będiesz miłował bliźniego twego, jako samego siebie” (Mt 22,37.39).

Rwaliście się wtedy do prac apostołskich, dzisiaj tak wspaniale usankcjonowanych przez Kościół, który mówi o świeckich katolikach w Konstytucji dogmatycznej i pastoralnej o Kościele, a szczególnie w Dekrecie o apostołstwie świeckich.

Rwaliście się do rozwiązania problemów społecznych i gospodarczych w duchu Chrystusowym. Dzisiaj widzicie, jak je Sobór usankcjonował, zwłaszcza w Konstytucji pastoralnej o obecności Kościoła w świecie.

Można by mnożyć przykłady, z których widać, jak młodzieńcze ideały urzeczywistniają się na waszych oczach, zwłaszcza w reformie świętej Liturgii, którą stawialiście jako potężny i walny środek waszego nadprzyrodzonego społecznienia.

Może nie wszystkie ideały zdołaliście urzeczywistnić w okresie powstawania inteligencji katolickiej. Jeszcze wiele zostało do zrobienia, ale możecie być spokojni widząc, że to, co najistotniejsze realizuje się w okresie posoborowym. Jesteście pokoleniem, które uprzedziło w Polsce wiele późniejszych postanowień Soboru Watykańskiego II. Niech świadomość, że wasz trud i wysiłek nie jest zmarnowany, będzie waszą zasłużoną radością. (22)

POWRÓĆMY DO BOŻYCH PRAWD

Jak słupek ognisty, który towarzyszył Narodowi Wybranemu z Egiptu, z niewoli, do Ziemi Obiecanej, tak i Chrystus towarzyszy rodzinie ludzkiej w jej drodze do Ojca.

Potrzebny jest ten widzialny, dotykalny Znak, sprawdzalny historycznie, czy przez wiarę, czy przez doświadczenia pokoleń minionych. Taki Znak, który można łatwo odszukać na ziemi. Dopiero wtedy człowiek czuje się bezpieczny, gdy może uchwycić się tego Drogowskazu i za nim iść. Ale idąc za tym Drogowskazem przez ziemię, musi pamiętać, że po to Chrystus przyszedł na świat, aby z miłości Ojca uszczknąć całą prawdę o Ojcu i opowiedzieć ją dzieciom Bożym, a przez to dać im moce, które zbawiają, bo prawda nas wyzwala — „Veritas liberavit vos” (J 8,32).

W naszym życiu „odrodzeniowym” usiłowaliśmy widzieć prawdę Bożą w różnych układach — w życiu religijnym, kościelnym, teologicznym, społecznym i narodowym. Bo wszystkie dziedziny powinny być przeniknięte głębią prawdy Bożej, prawdy teologicznej. Chrystus zapewnił, że wszystko, co przyniósł od Ojca, nam przekazał, niczego przed nami nie ukrył. Jest pełen prawdy i miłości, sprawiedliwości i pokoju. Stąd też i nasze życie, chociaż wszczepia się w różne dziedziny codzienności, musi być przenikane prawdami, które Chrystus przyniósł od Ojca.

„Odrodzenie” ma te tradycje, że usiłuje z natchnień Bożych czerpać moce dla odnowy różnych dziedzin życia ludzkiego. Czytając Konstytucję pastoralną o obecności Kościoła w świecie, dostrzegamy mniej więcej te same nurty — oczywiście wypowiedziane bardziej współcześnie, bardziej szczegółowo — które wyczuwaliśmy podczas Tygodni Społecznych „Odrodzenia”, czy też jego sekcji pracujących w środowiskach akademickich. (...)

Sobór Watykański II wybitnie nam pomógł, bo ogromnie ubogacił treść, których elementy rozważaliśmy zwłaszcza na Tygodniach Społecznych. Niemalże wszystkie znalazły nowe naświetlenie. Cały natomiast wysiłek „Odrodzenia” zmierzający do odnowy liturgicznej, ujawnił się wspaniale w Konstytucji o liturgii. Podobnie sprawy, które zawsze nas mocno zajmowały, cała dziedzina życia społecznego, gospodarczego.

Ileż od tego czasu, nie tylko na Soborze, ale na tle zmagañ i zawodów współczesnego życia, otrzymaliśmy światła! Okazuje się bowiem, że wszędzie, w różnych dziedzinach życia ludzkiego musi być głębia prawdy Bożej, wiedzy teologicznej.

Mogło się wydawać, że bez pomocy Ewangelii i teologii uda się rozstrzygnąć wiele spraw tej ziemi. Ale okazuje się, chociażby współcześnie, na przykładzie życia społeczno-gospodarczego, że i tutaj, „jeśli Pan nie zbuduje domu, daremnie się trują ci, którzy go budują”. (...)

Współcześnie jesteśmy niemal świadkami faktów, które są wystarczającymi argumentami, że sama ekonomia, sama polityka społeczna bez pomocy teologii, prawdy objawionej, bez pomocy moralności chrześcijańskiej nie jest w stanie rozwiązać kwestii robotniczej. Przybrała ona dzisiaj tak drastyczne wymiary, jak za czasów Wilhelma Emanuela Kettelera czy Karola Marksa. Ona nadal istnieje. Nadal istnieją ludzie zniewolnieni, poddani prymatowi materii. Nadal są podjudzani, pobudzani mitem produkcyjizmu, wprężeni w wielki aparat gospodarczy po to, aby pracować na rzecz nieznanego odbiorcy i spożywcy.

Główne elementy, które składają się na tak zwany kapitalizm, i dzisiaj są udziałem codzienności gospodarczej. Oto państwa demokratyczne, robotnicze pracują dla nieznanego odbiorcy, w nieznanym kierunku, mając wielkie osiągnięcia produkcyjne i wielki niedostatek we własnym domostwie. Widać więc, że i tutaj trzeba Bożych natchnień i światła, trzeba uruchomić wielką prawdę o człowieku, o jego godności, o jego przeznaczeniach zbawczych. Trzeba przypomnieć, że jak Chrystus w swojej ziemi oddał się na służbę braci, tak i my musimy czynić podobnie.

Natchnienia czerpiemy z Ewangelii, z przykładu Chrystusa, z katolickiej nauki Kościoła, zwłaszcza z całokształtu myśli filozofii społecznej i polityki społecznej. Dzisiaj do zadań „Odrodzenia” będzie należało przypominać nieustannie te prawdy, którymi zajmowaliśmy się w naszych czasach akademickich, a które miały być rozstrzygnięte w dzisiejszych czasach i są nadal otwarte, nie rozstrzygnięte.

Gdy zastanawiam się nad tym, co jest najważniejsze do zrobienia, to wydaje mi się, Najmilsi, że najważniejsze jest przemyślenie na nowo wkładu Boga Wcielonego w życie doczesne, codzienne. Oczywiście tylko po to, by życie doczesne odmienić, by je zbawić — jak mówił święty

Paweł — bo cała natura oczekuje wyzwolenia synów Bożych, a więc zbawienia. Jasna sprawa, że horyzonty tego zbawienia idą znacznie głębiej i wyżej, w układzie wertykalnym i horyzontalnym. Taki układ posiada wspomniana Konstytucja pastoralna o obecności Kościoła w świecie. (...)

Więcej Pisma świętego, więcej Nowego Testamentu, Ewangelii, Listów Apostolskich! Więcej teologii, zwłaszcza nauki o Mistycznym Ciele Chrystusa! Więcej modlitwy, więcej nadprzyrodzonej miłości w codziennym życiu! I o tym innych przekonywać!

To jest nasze zadanie. To „ostatni krzyk” w czasach, które idą, które mogą być trudne, a mogłyby być błogosławione, gdyby ludzie uwierzyli, że „nie ma w żadnym innym zbawienia” (Dz 4,12). (23)

CO ROBIĆ? — USPOŁECZNIĆ... SIEBIE

Wyrastaliśmy ze środowiska zindywidualizowanego; ten indywidualizm filozoficzny wieku XIX odbił się ujemnie na wszystkich dziedzinach życia ludzkiego. On przecież doprowadził do tego, że powstały — jako nagromadzenie nieszczęść — najrozmaitsze kierunki indywidualistyczne: moralne, społeczne, ekonomiczne i polityczne, które przeczyły swą wartością wewnętrzną, swoimi dążeniami, swoimi osiągnięciami temu, co jako nowy ideał społeczno-katolicki kształtowało się w Deklaracji ideowej „Odrodzenia”. Tam przecież, idąc po linii rozumowania św. Tomasza, tak dobitnie uwydatniono charakter społeczny osoby ludzkiej, tej osoby, która jest przeznaczona, aby żyć w tej małej, najmniejszej społeczności, jaką jest człowiek sam w sobie i w społeczności rodzinnej, narodowej, politycznej, zawodowej i nadprzyrodzonej. W tej Deklaracji widzieliśmy, jak człowiek w każdej z tych społeczności jest sobą i musi być sobą; ma swoje określone prawa, jednocześnie przerasta te wszystkie społeczności i jest poniekąd, ponad nimi. A choć jest, dla rozwoju swej osobowości, niezbędnie i koniecznie związany z nimi i dziś weźmie z tych społeczności wszystko, to jednakże okaże się, że to jeszcze jest mało, że potrzeba czegoś więcej.

Spółeczny charakter osoby

Człowiek, który jest mikrokosmosem, który ma w sobie nieustanne obcowanie rozumu, woli, serca, powiązanie ciała i duszy, ekstremów materii i ducha, a zarazem tworzy tę „civitas sancta” sam w sobie, w swoim osobowym indywiduum, że się tak wyrażę — to jednakże pomimo tego, że jest czymś tak potężnym, nie wystarcza sobie. Boć na kamieniu się nie rodził; boć nawet Ojciec Najlepszy i Wszechpotężny nie pochylił się jeszcze raz nad nowym Adamem, żeby go indywidualnie ukształtować, ale powierzył te sprawy dwojgu: ojcu i matce. Uzależni więc tego wielkiego człowieka od małej, najmniejszej społeczności rodzinnej. A gdyby człowiek i w niej osiągnął wszystko, wypowiedział wszystkie swoje prawa i wypełnił wszystkie swoje obowiązki, to jednak tak jak przerasta samego siebie, tak też przerasta i rodzinę, szuka więzów ponadrodzinnych. Opuści ojca i matkę. Stworzy nową społeczność rodzinną.

Ostatecznie, społeczność rodzinna ma nad nim władzę tylko do jakiegoś określonego czasu. Później władza nad człowiekiem wymyka się tej społeczności rodzinnej. Rodzina się przekonuje, że człowiek jest jednakże czymś jeszcze więcej, niż społecznością rodzinną. Człowiek wchodzi do społeczności wyższego rzędu, do społeczności narodowej. I tam też się okazuje, że może być członkiem tej społeczności lat pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, ale i ta społeczność nie jest w stanie utrzymać go. Znowu przerośnie, o całą głowę swego wiecznego istnienia społeczność narodową. I tak bez końca — aż dojdzie do tej społeczności nadprzyrodzonej, w której nareszcie znajdzie swoje ukojenie. Bo się w niej rodzi, w Kościele walczącym, przejdzie poprzez Kościół cierpiący i w Kościele triumfującym wypowie się całkowicie i w nim pozostanie.

Tak więc człowiek nieustannie przerasta o głowę wszystko, cokolwiek może na tym świecie być. Tylko przed jednym Bogiem się korzy. Tylko „soli Deo” ostatecznie oddaje wszystko, co w sobie ma, bo od Niego wyszedł i do Niego dochodzi. W Nim ma pełną swoją dojrzałość, stworzoną na obraz i podobieństwo Boga i dopiero wtedy znajduje pełne szczęście, gdy się uśmiechnie Bóg do niego, gdy Bożą twarzą w twarz ludzką spojrzy. Wtedy jest dopiero pełne osiągnięcie i pełny rozwój tej małej wielkości.

To myśmy w „Odrodzeniu” rozumieli dobrze. Ileż to na ten temat było dyskusji: indywiduum a osoba. Ileż się o tym społecznym wychowaniu człowieka mówiło, ileż się mówiło o obowiązkach społecznych osoby ludzkiej. To były niekończące się dyskusje, z pomocą których „Odrodzenie” pokonywało indywidualizm naszego społeczeństwa i to zarówno humanistyczny indywidualizm, jak filozoficzny, moralny, a nawet religijny; gdy próbowano nawet „kapliczki burzyć”, ażeby człowieka wyciągnąć z jego kultu, takiego maluczkiego, na własny użytek i postawić go w obliczu Boga przed ołtarzami Pańskimi, ażeby nauczył się społecznie mówić „Ojciec nasz”, a nie żeby uchylał to „nasz” na własny egoistyczny rachunek: „Ojciec mój, mój, mój...”

Powiedziałem, że przeżyliśmy wielkie doświadczenia, bo na naszych oczach, gdy się niejako antycypowało nowy obraz człowieka w Polsce, człowieka — osoby uspołecznionej, przeżywaliśmy niemniej jednakże gasnące stare ideały. Na oczach naszych gasł coraz bardziej typ elity rasowo-groszowej, elity materialistycznej, elity, o której można by mówić słowami Mateusza: „Zatyło serce ich”; tych, co to wezwani na ucztę Bożą, raczej umiłowali woły i wsie i nie zgłosili się. Zdaje nam się, że dzisiaj ta elita rasowo-groszowa już się nie powtórzy, ale pamiętajmy, że pokusa, która stanęła tak wyraziście przed Chrystusem na górze kuszenia: „Powiedz, aby te kamienie stały się chlebem” (Mt 4,3) — zawsze się odradza, jak się odradza na dzikim krzewie nieustannie pęd; trzeba go ciągle przycinać, aby nie zdziczał cały ogród Boży.

Zagrożenie materializmem

Przeżywamy dziś dwa materializmy: materializm, że się tak wyrażę, „nasz”, materializm ideologiczny, doktrynalno-książkowo-propagandowy, „sine fundamento in re” i materializm praktyczny, materializm zachodni, pełnego użycia i możliwości użycia, a więc „cum fundamento in re”, chociaż nie propagowany, chociaż nie zachwalany, chociaż nie broniony, ani uzasadniany. Gdyby dzisiaj Chrystus wystawił ucztę tam, na Zachodzie i zaprosił biesiadników, to prawdopodobnie pierwszy z nich nie powiedziałby, że „woły nabyłem i idę ich doświadczać”, tylko powiedziałby: „auto kupiłem i muszę pojechać”. A drugi by nie powiedział, że „żonę pojąłem”, tylko by powiedział — „lodówkę

kupiłem”; a trzeci by prawdopodobnie zamiast wsi, raczej telewizor kupił, w którym cały świat widać i wszystkie wsie — i musiałby przy nim pozostać.

Ostatecznie, cokolwiek by powiedzieli entuzjaści wracający z Zachodu i wypisujący niezwykle ciekawe artykuły w prasie, nawet katolickiej, sprowadza się wszystko do tego, że nowy materializm ośwładną ludzi, a wzięwszy się za rękę z obojętnością, z indyferentyzmem religijnym, rządzi dzisiaj na Zachodzie niemalże wyłącznie i całkowicie inteligencją, nie wyłączając katolickiej. To jest groza, która jest potworna w swoich rozmiarach, we wszystkich niemal krajach katolickich, już nie mówiąc o protestanckich.

Materializm „cum fundamento in re”, a więc materializm sytych, to materializm groźniejszy niż idealistyczny — z pustą kieszenią i z wielkimi możliwościami na przyszłość, które się odkłada aż do czasów po Sądzie Ostatecznym. Możemy więc sobie powiedzieć, że ten materializm „od wołów i od wsi” nie jest taki groźny dla nas; ale niemniej musimy zdać sobie sprawę z tego, że zagadnienie materializmu to nie jest zagadnienie „objectum circa quod”, tylko samego pragnienia. (...) To jest zagadnienie osobistej, wewnętrznej postawy, osobistej relacji. Mam wrażenie, że tego typu „materialistyczny” materializm, który niekiedy sprawiał, że dla kęsa chleba wyrzekaliśmy się najbardziej szczytnych ideałów, może być u nas groźny. Człowiek kierując się nim: mam posadę, mam żonę, mam dzieci, niekiedy powodowany może raczej tchórzostwem, które nazywa roztropnością, wyrzeka się czasem najbardziej nawet szczytnych ideałów i spuścizny, którą otrzymał. To może zniekształcić obraz człowieka, tego nowego człowieka, którego myśmy sobie wyidealizowali.

Ale obok niego zgaśnie również i ten typ elity naukowej, co to, według Jana, nie jest ani zimna, ani gorąca. Rzecz znamienita, że tak zwana oficjalna, urzędowa nauka, jedynie na jakiś czas nieomylna, wywołała tak wielki wstręt i tak wielką nieufność do książki, do druku, do słowa mówionego, że młodzież to nazwała „lipą”, a starsi uznali, że wysiłek umysłowy właściwie może być równie zwodniczy, jak każdy inny.

Rozumiemy, jak wielkie znaczenie ma dla typu katolickiego myśliciela to konfrontowanie nieustanne prawdy, obracanej na patelni własnych doświadczeń, z prawdą Bożą. To, co jeszcze dla nas do niedawna było problemem: rozum, wiara, rozum czy wiara, rozum a wiara, to dzisiaj się

okazuje o wiele prostsze i łatwiejsze. Dziś wiemy, że temu rozumowi nieustannie musi przychodzić z pomocą wiara, jeśli w ogóle do jakiejś prawdy dojść może.

Już nie mówię o bankructwie „elity ciała” silnego, ciała zdrowego, chociaż to jest również jakiś wielki problem współczesny, który się rysuje bardzo mocno, nie tylko w sporcie, ale i w brutalizmie sportowym, we współczesnym nudyzmie, który uważam raczej za chwyt strategiczny ludzi bezsilnych, nie mogących w inny sposób rozłożyć zwartego bloku społeczeństwa, jak tylko tym, że demoralizują przez nieskromność, przez rozwiązłość, przez wyuzdanie naszą młodzież, zwłaszcza żeńską, bo w tym kierunku uderzenie jest najsilniejsze. I bodajże bardzo skuteczne.

Takich elit było dużo. Mówiło się o elitach partyjnych, co to dla kęsa chleba, jak mówi przypowieść, odstępują od prawdy. Mówi się o elicie pracy, która też jest krańcowością, a która w ostatecznym rezultacie przyspiesza tylko pielgrzymkę człowieka po tej ziemi, który wcześniej się kończy, zanim zdąży się rozwinąć.

Wszystko musi mieć, jak widać, swoje wymiary i swoje napięcie. Okazuje się, że człowiek musi być bardzo wrażliwy na normalne wymiary prawa przyrodzonego, w których się rozwija. Ocena tego wszystkiego może być zawarta w słowach Mateusza, że „wszelkie szczepienie, którego nie szczepi Ojciec mój Niebieski, wykorzenione będzie” (Mt 15,13). Tylko dobre drzewo, dobre owoce rodzi. Elita zła, sprzedajna, elita handlująca Bogiem, handlująca sumieniem, prawdą, podobnie jak sól zwiędła „eicitur foras, et conculcetur a hominibus”. A jednak jest prawo społeczne, prawo socjologiczne, prawo soli ziemi, która musi być czymś solona i musi mieć swoją światłość. Domaga się tego ustrój społeczny, woła wielkim głosem ludzi: Niechaj świeci światłość wasza! Niechaj świeci...!

Oni do nas przemawiają. Oni chcą światłości świata. Jeśli się tej światłości prawdziwej nie da, to będzie męka wszystkich. I będzie prawdziwą rzeczą to, co jest napisane w Piśmie świętym, że cała natura po prostu nieustannie boleje i nieustannie oczekuje odrodzenia synów Bożych, którzy by się nareszcie pokazali na tym świecie. Nie synów szatana, tylko Bożych synów. (...)

Musimy pamiętać, że do wyniesienia społecznego idzie się przez zwyciężanie siebie. Kościół nam to ciągle przypomina, że wszystkie próby wyjścia na fasadę życia publicznego, przez zwyciężanie innych, są zawodne. „Kto mieczem wojuje, od miecza ginie” (Mt 26,52). Jeśli ktoś nawet i dzięki koniunkturze zajął przodujące stanowisko, gdy nie posiada tych walorów wewnętrznych i duchowych, które są zdolne go utrzymać na tym poziomie, to upadnie. Widzimy wielkości, które opadają jak baloniki pozbawione powietrza i stają się zwykłym śmieciem. Mamy doświadczenie czasów ostatnich — cała galeria przecież potężnych i jakżeż wielkich ludzi — to wszystko tak szybko przeszło. W naszym pokoleniu — jesteśmy pokoleniem tego półwiecza — mamy to doświadczenie szczególne, bo na naszych oczach waliły się olbrzymie wielkości, potężne filary, ludzie zda się niezwykłeni, ludzie, którzy wyrastali nagle, w jedną noc — że tak powiem — zakwitli; okazała się cała ich wielkość chyba po to, żeby wkrótce na naszych oczach okazała się i nasza, i ich małość. Może są nawet mniejsi niż my. (...)

Nic się nie dzieje bez jakiegoś wyraźnego i konkretnego celu. Jeśli Opatrzność Boża przed oczyma naszymi przesunęła — jak w kalejdoskopie — tę galerię wielkich ludzi, którzy odeszli, to najlepszy dowód, że chce nas nauczyć, że nie tą drogą idzie się do wielkości, że nie tą drogą się zwycięża. Wszyscy ludzie, którzy chcą politycznie władać, muszą zrozumieć, jak się dochodzi do prawdziwej wielkości, przez zwyciężanie siebie.

A to się zawsze łączy z nakazem nabywania cnót. I tu jest przedmiot ogromnej pracy. Nie wystarczy cieszyć się z tego, co mam, chociażby ludzie mnie świętym okrzyknęli, bo przecież Pismo mówi: „Święci niechaj się jeszcze uświęcają” (Ap 22,11). (...)

Nakaz nabywania cnót wzrasta ciągle; im wyżej stoi człowiek, tym większe ma obowiązki moralne. Te cnoty, które by mi wystarczyły jako człowiekowi prywatnemu, gdy zajmuję pozycję społeczną, już nie wystarczają. Potrzeba nowego wysiłku, nowego przyrostu sił duchowych. Kościół nam to przypomina stale, wpaja w nas poczucie obowiązku pracy nad sobą.

Ale Kościół również domaga się ode mnie uspołecznienia duszy, właśnie dlatego, że jestem osobą społeczną, że żyję w organizmie

Bożym, w organizmie nadprzyrodzonym, gdzie wszystko działa według wymiaru tych komórek, które wzajemnie sobie coś udzielają. Te członki służą sobie, jedne drugim i to tak, że nie mogą powiedzieć: nie potrzebuję was.

Uspołecznienie duszy zaczyna się od miłości ku ludziom. Miłujcie się społecznie. Obowiązek miłości nie jest właściwie niczym ograniczony. „Miłuj bliźniego swego, jak siebie samego”. Można się zastanawiać nad tym, „kto jest moim bliźnim”. Chrystus na to odpowiedział w przypowieści. Nie wyliczał detalicznie. Nikogo po prostu nie wykluczył. A więc serce chrześcijanina musi być bardzo szerokie, musi objąć wszystkich ludzi. (...)

Pamiętajmy zawsze: pierwszy jest człowiek. Pierwszy człowiek, później doktryna, później maszyna, później własność, później bank, później urząd, później osobista nawet przyjemność. Pierwszy jest człowiek! Nie można dla doktryny zniweczyć człowieka. Nie można dla osobistych upodobań przechodzić do porządku dziennego nad człowiekiem.

Gdy idzie o Ojczyznę, o ziemię ojczystą, może mniej by nam wypadało to nieustanne biadanie nad Polską, jak gdyby już umarła. To jej nie pomoże. Miłość nasza ku ziemi ojczystej ma się wyrazić nie w biadaniu, tylko w pracy dla Polski. Musimy czynić sobie ziemię polską poddaną. Może w tej sytuacji, w jakiej się znajdujemy, nasza inicjatywa, tak jak ją najlepiej pojmujemy, nie jest w stanie rozwinąć się w sposób należyty i wolny; niemniej jednak nie brak jest takich dziedzin, takich wartości i takich dokonań, które są własnością narodu. Nie wolno zwlekać z dokonaniem ich, tylko trzeba je zaraz wypełniać, w miarę możliwości.

Człowiek nie jest tylko swoją własnością. Deklaracja ideowa „Odrodzenia” nieustannie to nam powtarzała. Człowiek jest własnością rodziny, społeczeństwa, narodu; jest związany nawet z życiem zawodowym, z państwem; jest własnością Kościoła, Boga. Nie może czynić w życiu, co mu się żywnie podoba; nie może też sobie uczynić tego, co mu się podoba. Nie są jego tylko własnością jego wartości, cnoty czy przymioty. One udzielają się innym.

To co posiadamy, co jest walorem naszej duszy, co jest cnotą nabytą, wypracowaną, to działa niewątpliwie, udziela się innym. Nawet nie wiemy, że mimo woli udzielamy się innym. Udzielamy się całą naszą osobowością, dzięki związaniu naszej osobowości z organizmem narodowym, kościelnym.

Może najłatwiej nam zrozumieć udzielanie się w społeczności nadprzyrodzonej, jaką jest Kościół. Wiemy, że cała wartość indywidualna, osobista, choćby prywatna męża, uwydatnia się w całym jego stylu życiowym, w rodzinie. Sposób zachowania się, chodzenia, otwierania drzwi, czy też spoglądania — ten bezpośredni, prosty, zwykły uśmiech do żony, która właśnie całą noc cierpiała na ból głowy. (...)

Osobista wartość duchowa poprawia wzajemny stosunek dwojga, styl, język, słownictwo, atmosferę, psychikę, mimikę twarzy dwojga patrzących na siebie ludzi. To wszystko od razu się odmienia na miarę tych wartości, które reprezentują. Im więcej w swoją duszę takich wartości włożę, tym lepiej to wszystko gra w społeczności rodzinnej. A można to wszystko przenieść na inną płaszczyznę.

Ale tak jak moje cnoty, jak moje wartości, tak też moje wady, skłonności, moje grzechy, nie są tylko moją własnością prywatną, ale jakimś obciążeniem na rzecz społeczną. Te moje wady udzielają się, podobnie jak moje cnoty. Moralność prywatna nie istnieje. To jest tylko slogan indywidualizmu. Wszystko, czym jestem w osobistym życiu, to gra społecznie. Prędzej czy później wyjdzie na wierzch jakaś wartość w ciszy, w głębi, w męce, w bólu, zdobywana bez świadków. Podobnie grzechy moje, najbardziej prywatne, przy zamkniętych na klucz drzwiach, też kiedyś wyjdą, kogoś dotkną — niestety. Nawet wtedy, gdy w obliczu Boga są oczyszczone i omyte, jeszcze wyjdą w jakimś grymasie, w jakimś nieładzie reakcji, w nieładzie uczucia czy spojrzenia. Taka jest klisza duszy ludzkiej, tak delikatnie ukształtowana przez samego Boga, że co na niej napisze się raz, potem jest niesłychanie trudno usunąć. Wielkie jest miłosierdzie Boże, że nas ratuje i dźwiga. Ale też wielka mądrość Boża, która nas ostrzega, jak mamy roztropnie sobie poczynać, jak umiejętnie mamy administrować własną duszą. (24)

ŻYCIE WEWNĘTRZNE — PRACĄ SPOŁECZNĄ

„Luceat lux vestra” — „Niechaj świeci światłość wasza” (Mt 5,16). To nie jest rada, to nie jest prośba. To jest rozkaz.

Jest rzeczą zrozumiałą w Bożej ekonomii, że na darmo nie niszczy się żadnych energii. Spalanie jest niszczeniem energii, musi więc jakiś owoc przynieść Najlepszemu, Wieczystemu Ekonomiście. Skoro Bóg daje ten rozkaz: niech się spala światłość wasza, niech się spala życie wasze, tak by rozświecało, ogrzewało — to niewątpliwie oczekuje owoców.

Musi więc być w duszy światło, nie może być ciemności. My jesteśmy synami Boga, który z ciemności wyprowadził nas do przedziwnej swojej światłości. Musi być w duszy światło; trzeba było pracować, by je wykrzesać, by zapłonęło. To łatwo nie przychodzi. Bez wysiłku, bez ofiary, bez wyrzeczenia, nie staje się. Nasi dziadowie pracowicie krzesiwem krzesali, zanim doczekali się ognia. My ten proces mamy wybitnie ułatwiony. Nam światło przychodzi niezwykle łatwo, ale też może i to nas rozleniwi, osłabia naszą wolę. Może brak nam tego wysiłku i energii, której użyć trzeba, ażeby świecąc wzmacniać jednocześnie naszą wolę i własną energię.

Jesteśmy zespołem ideologicznym, który zawsze miał wielkie ambicje twórcze, wielkie ambicje aktywne. Przypominam sobie wiele takich spowiedzi, takich samokrytyk na Tygodniach Społecznych, takie „generalne pranie” w rodzinie, które ze szczególnym zapalem, ku naszej wdzięczności, czynił doktor Adam (Bilik). „Pranie”, które zawsze stawiało nam przed oczyma, że jesteśmy wybitnymi niedołęgami Bożymi i że czas się wziąć do pracy właśnie teraz, po tym „praniu”. Zawsze zapraszano tęgą „miotłę”, aby dokonała generalnej rewolucji, odrodzenia w duszy. Od tamtych czasów może w nas ten zapal aktywny zmalał, więcej — może sam aktywizm został skompromitowany. Trzeba jednakże pamiętać o tym, że katolicki aktywizm ma swoje właściwe oblicze; bo on nie jest tylko produkcją słów, jest przede wszystkim tworzeniem tych energii duchowych, tych Bożych mocy, które są w duszy. To „luceat lux vestra” zawsze się łączy z jakimś wewnętrznym procesem, bo i spalanie jest zawsze wewnętrznym procesem. (...)

„Aby widzieli uczynki wasze dobre...”

Jesteśmy świadkami degeneracji życia publicznego, współczesnych społeczności, zwłaszcza politycznych. Może tu zwątpienie byłoby najgroźniejsze, bo idzie o jakieś nowe niewolnictwo człowieka, gdyby nie to, że Kościół od dawna każe sługom swoim modlić się nieustannie: „Confiteantur tibi populi Deus, confiteantur tibi populi omnes”. Ta modlitwa, która spływa na serca ludu, te ludy uspokaja. Boć Kościół tym ludom pokazuje, iż celem istotowym ich trwania, celem działania i istnienia jest „bonum commune”, a nie „bonum partis”, nie „bonum” jakiegoś kierunku.

O tyle jakaś społeczność jest naprawdę społecznością, o ile służy dobru wspólnoty, nie własnemu dobru, o ile rzeczywiście za cel stawia sobie dobro obiektywne, przedmiotowe dobro, dobro człowieka, dobro różnych form życia społecznego. Tak więc, Najmilsi, i tutaj nie trzeba tracić wiary w potęgę i przyszłość tych darów przyrodzonych, jakimi są społeczności ludzkie. I choćby one dzisiaj chorowały, jak choruje niemowlę, to choroba ta nie jest na śmierć. Jest to nowe doświadczenie, jak trzeba na przyszłość układać współżycie warstw i grup społecznych, żeby i one wyznawały Boga. Gdy więc te wszystkie lęki w zetknięciu ze światłem Kościoła gasną i uspokajają się, wtedy pora jest nadal — dla ludzi pewnego typu — ażeby „świeciła ich światłość przed ludźmi, aby ludzie widzieli uczynki nasze dobre” — uczynki, czyli działania — „i chwalili Ojca naszego, który jest w niebie”.

Istnieje konieczność uczynków dobrych, jakaś — że się tak wyrażę — biologiczna konieczność, jakaś organiczna konieczność życia społecznego, aby to życie było przenikane uczynkami dobrymi. Te czyny dobre muszą być widziane. Ludzie muszą widzieć czyny dobre; gdyby ludzie widzieli tylko czyny złe, rozkład życia społecznego poszedłby w tempie nieopanowanym. Depresja psychiczna, choroba depresyjna tak ogarnęła-by świat, że ludzkość zgniłaby z lęku przed działaniem, przed czynem. Oto motyw, dlaczego mają być uczynki dobre, dlaczego mają być widziane przez ludzi? — Ażeby chwalili Ojca, aby rozumieli, że jest Ojciec, i ażeby pamiętali, że Jemu należy się chwała. Jest to więc pozytywny nakaz pracy, działania, powiedzmy — nakaz pewnej aktywności.

Chrześcijaństwo jest aktywne. Katolicyzm jest wybitnie aktywny. Jest zwycięski w swej działalności, chociażby zdawało się pozornie, że

nie da sobie rady z tym światem. Integralny ideał katolicki jest najstraszliwszą siłą ofensywną. Ongiś Kościół wiódł krucjaty o grób Chrystusa, broniąc Europę przed mahometanizmem, później przed luteranizmem, przed kapitalizmem, przed racjonalizmem. Dziś sprawiedliwość wasza ma więcej obfitować i wobec Boga, i wobec braci, i wobec własnej duszy.

Musi się więc obudzić w człowieku współczesnym ta „cupiditas rerum novarum”, jakaś swoboda myśli, woli i serca wobec przyszłości. Nie kończy się świat, nie kończy się ludzkość; tylko mdłe i słabe psychiki nieustannie wyglądają z jakimś napięciem eschatologicznej katastrofy, która ma być jutro, na pewno o tej godzinie, a jeżeli się nie stanie, no to dlatego, że została na pojutrze, ale to już na pewno na pojutrze odłożona. I tak bez końca. To jest właśnie ta choroba współczesna, która może niekiedy i katolików dotyka, choroba, której się wydaje, że Bóg to jest siła katastroficzna, która działa przez katastrofy. A Bóg działa ewolucyjnie, spokojnie, tak jak ziarno, które każe wrzucić w rolę i przykryć ziemią, błotem, śniegiem i lodem, ale przyjdzie czas, że przesunie się nad zmarzłą skorupą słońce Boże i podźwignie, wyciągnie z błota żdźbło przyszłego chleba i znowu wszelkie ciało dostrzeże zbawienie Boże.

Takie jest działanie Boże; bo Bóg działa ewolucyjnie, spokojnie, niesłuchanie wychowawczo. I od nas wymaga tej cierpliwości, spokoju, systematyczności działania. W Jego działaniu jest plan, ład, porządek; dlatego i nas — Jego dzieci — musi to samo obowiązywać. A więc przed nami pomimo lęków i niepokojów tego świata jest spokojna praca. Ta praca społeczna, jakież ma dzisiaj skromne wymiary, skromny zakres. Wiemy przecież, że ta praca jest naturalnym dążeniem człowieka do człowieka. Jest współdziałaniem ludzi, jako wynik tego dążenia. Bo jest potrzebą osoby ludzkiej, by wychodziła z siebie i współdziałała z innymi ludźmi.

Tak powstaje więc społeczna przez współdziałanie, jedna ze szlachetniejszych form więzi społecznej — bodajże o wiele szlachetniejsza, niż więź polityczna, powstająca przez przymus — ta więź przez pracę, przez skoordynowaną pracę, przez włożenie dłoni w dłoń człowieka, podstawienie ramion do rozumnego, szlachetnego wysiłku, by osiągnąć jakieś dzieło. Człowiek najlepiej ujawnia się jednakże w pracy. „Z owoców ich poznacie je”, dobre lub złe owoce. To zależy

od tego, kim jesteśmy. Człowiek ma obowiązek udzielać się dobrze, „aby widzieli uczynki wasze dobre...” Nie byle jakie uczynki, ale dobre uczynki! (...)

Ascetyka pracy społecznej

Każdy owoc naszej pracy społecznej jest właściwie wynikiem, musi być wynikiem, jakiegoś procesu wewnętrznego, duchowego. Im głębszy ten proces, tym i owoc naszej pracy jest trwalszy.

Ale nie jest tylko wewnętrznym procesem. Bo jest i emanacja, i wzrost widoczny. I dlatego też, kto by chciał się zamknąć w tym wewnętrznym przeżywaniu, w jakiejś wewnętrznej aktywności, w jakimś napięciu wewnętrznym, duchowym, tak jak to buddyzm zaleca, nie byłby chrześcijaninem. Ten proces wewnętrzny w chrześcijaństwie musi emanować, „ut videant opera vestra bona”, aby były widziane czyny dobre. Mogą być pięknoduchy, które się wewnętrznym wysublimowały, ale przypominają płonne drzewa, na których Chrystus owocu nie znalazł, podczas gdy idzie o to, aby ten owoc był, aby ptaki niebieskie mogły przyjść, usiąść na ramionach drzewa i pożywić się. Chrześcijanin jest zawsze istotą, z której można się pożywić, z której można coś wziąć. Tu nie idzie o tworzenie pięknoduchów, wspaniałych postaci, izolowanych od społeczeństwa. Nie. Nasza praca wewnętrzna zawsze nas istotowo wprowadza w sam organizm życia i współżycia z ludźmi. Ludzie nas oblegają, dziobią i chcą zjeść. A daj im, Panie Boże, dobry apetyt!

(...) Wrócimy do życia, do naszych domów, do naszych warsztatów pracy, do naszych pracowni, bibliotek, na katedry, gdziekolwiek nas Opatrzność Boża postawiła. Może się wydawać, że ja nie pracuję, że nic z siebie nie daję; może człowiek znowu powlec z sobą z powrotem ten smutek, który tu przywiózł na Jasną Górę, i powie: O! Nic nie skorzystałem. — Zaraz, cierpliwie, spokojnie. Może co z tego wyjdzie?

Pamiętajmy, że pierwszym wskaźnikiem dla ascetyki pracy naszej, tej społecznej, zewnętrznej, jest fakt, że praca zewnętrzna nie jest i nie może być dispensą od pracy wewnętrznej. Aktywizm zewnętrzny, gdyby nie miał zaszczepionych głęboko w duszy swych korzeni, szybko by usechł.

Jesteśmy synami Boga Żywego, który nam każe wierzyć w żywot wieczny. My nie wierzymy w żywot lat dziesięciu czy pięćdziesięciu, my wierzymy w żywot wieczny. Mamy zawsze dużo czasu. Co za pociecha, gdy ja się starzeję? Co mi to szkodzi, że ja się starzeję, kiedy moje dzieci rosną i one przejmą spuściznę mego ducha; a cóż mi to szkodzi, skoro jesteśmy członkami jedni drugich. Dorobek mój osobisty nie zginie, pozostanie, chociaż ja sobie już pójdę odpocząć maluczko.

Życie wewnętrzne, duchowe, będzie zawsze podstawą i warunkiem mojego życia zewnętrznego, społecznego, pracy społecznej. A to życie wewnętrzne, wiemy, że jest przeżywaniem prawd Bożych. Zawsze musimy mieć przed oczyma, działając, że jest „*primus Motor, semper in motu*”. To jest On, Bóg i Jego suwerenna witalność, Jego nieskończoność. Bóg się nie kończy. Ja jestem narzędziem Dobrego Boga, który w tej chwili chciał mnie użyć. Mogę za to bardzo was przepraszać, ale powiem: to nie moja wina. Miejcie pretensje do Pana Boga. Ale gdy mam przed oczyma to, że działając w tej chwili, działałam tylko jako Jego narzędzie, jako ten „*vox clamantis in deserto, parate vias Domini*” (Iz 40,3), zawsze pamiętam, że ten „*Primus Movens*” to zawsze On, Bóg działający, Ojciec, który rodzi Syna i zbawcze dzieło Syna. To jest wyrazem wewnętrznej aktywności Trójcy Świętej.

Wydaje się, że zbawienną rzeczą dla katolika ochrzczonego w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, dla katolika, którego uczy Kościół w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, dla katolika, który jest przecież mieszkaniem Trójcy Świętej, jest mieć uwagę zwróconą na to, co Trójca Święta działa w duszy. Bo Ona działa nieustannie, jest przyczyną sprawczą wszystkich szlachetnych poruszeń i odruchów, tego chrześcijańskiego niepokoju, który w nas jest.

(...) W życiu duchowym, które jest zawsze bazą dla życia społecznego, aktywność nasza, która może w tej chwili nie ma ujścia na zewnątrz, musi pójść w głąb.

Teraz więc, gdy lat nam przybywa i może nam się wydaje, że straciliśmy jedno pokolenie dla Kościoła, które się nie wypowiedziało w pełni, nie straci ono swej wartości dla Kościoła, jeżeli swą aktywność w tym okresie pchnie jak najbardziej w głąb duszy. I tutaj zaczyna się podstawowa akcja katolicka, fundamentalna, która się dzieje w apostołach; nawracanie samego siebie, odmienianie samego siebie, czerpanie z życia Chrystusowego. Boć w Nim był żywot. „*Jam jest żywot*” — „*Jam*

przyszędł, aby żywot miały i obficie miały” (J 10,10). Chrystus sam odradza swego apostoła. (...)

Zawsze musimy pamiętać w układaniu środków działania, że nasza aktywność i posługiwanie się tymi środkami, zwłaszcza w dziedzinie pracy religijnej, w pracy katolickiej, zaczyna się od środków duchowych. Nie można pomagać Bogu bez Boga, bo „duch ożywia, a ciało nic nie może”. Na tym polegał błąd „Paxu”, że on chciał pomagać Kościołowi bez Kościoła, biskupom bez biskupów. To był wielki błąd w pracy; nie możemy i nie mogliśmy z takich rad skorzystać. Bo my wiemy, że „omnia per Ipsum facta sunt, et sine Ipsum factum est nihil”. Najmilsi moi, jeżeli nie chcemy popełniać błędu herezji działania i aktywizmu, musimy o tym pamiętać, że w szeregu środków działania na czele zawsze idą „opera spiritus”. Akcja Katolicka i wszelka działalność katolicka nie jest zwolniona od życia wewnętrznego, jest raczej nowym obowiązkiem dodanym do poprzedniego. Wymaga on i większej czujności nad sobą i większej intensywności życia wewnętrznego. Człowiek potrzebuje tego, co Chrystus zrobił z uczniami: Pójdźmy odpocząć maluczko. Prowadzi ich na wycieczkę w góry. A gdy się pospali, to się modlił za nich. On, który był Bogiem. Człowiek musi mieć takie chwile zamknięcia się, i to rozumnie pomyślanego, celowo zaplanowanego.

Potrzeba cnót osobistych

Wiązanie życia wewnętrznego z życiem zewnętrznym, świadomość, że „z pełni serca usta mówią” (Mt 12,34) — to mądrość, od której zależy skuteczność życia zewnętrznego. Od życia wewnętrznego zależy cały owoc naszej pracy społecznej. „Kto we Mnie trwa, ten wiele owocu przynosi” (J 15,5).

Brak cnót osobistych może rozbić wszelkie dzieła. Płytkość myśli i serca czyni z nas ludzi podobnych do figi płonnej. Musimy mieć trochę ekonomii czasu, umiejętności posługiwania się czasem, żebyśmy nie zawiedli oczekiwania, żeby cała nasza mądrość za szybko się nie wyczerpała. W życiu świętych cała wspaniałość ich dzieł płynie z ich życia wewnętrznego. Im większy mistyk, jak Teresa, tym też większa aktywność zewnętrzna. — Ciekawa tajemnica. Dlatego Pius XI doradzał, ażeby apostołstwo zaczynać na kolanach.

Potrzeba nam do pracy społecznej całego szeregu cnót; szczególnie cnoty osobiste, potrzebne dla życia zewnętrznego, czerpiemy z pracy wewnętrznej. Życie wewnętrzne jest zawsze szkołą pracy społecznej. Zdobywamy w nim wiarę, miłość, głęboką pokorę, wewnętrzny spokój, który musi cechować działacza społecznego. A nawet pokój zewnętrzny, jakieś umiarkowanie zewnętrzne, żeby działacz społeczny, gdziekolwiek wejdzie pozostawił odczucie pokoju, wrażenie, że przyniósł pokój. Tak Chrystus przecież zalecał uczniom swoim. Do któregośkolwiek domu idziecie, aby tam działać — mówcie naprzód: „Pokój temu domowi” (Łk 10,5).

Atmosferę pokoju trzeba wnieść naprzód w środowisko pracy. Cierpliwość i wielki umiar, to są cnoty, które zdobywamy w pracy wewnętrznej. Miłość ludzi, dla których mamy działać, nie może się zrodzić inaczej, jak tylko z miłości Boga. I dlatego, gdy chcemy pomagać ludziom, musimy naprzód ich miłować. Bez miłowania ludzi i to miłowania po Bożemu, nie ma mowy o pomaganiu ludziom. Bez miłowania ludzi, nie ma mowy o katolickiej pracy społecznej zewnętrznej. Nie mówię już o takiej właściwości jak bezinteresowność w pracy, zwłaszcza społecznej, bo przyjęło się, dzisiaj zwłaszcza, że pracownicy społeczni są właściwie urzędnikami. Lecz my wiemy, że takiemu pracownikowi społecznemu, który jest urzędnikiem, zawsze jest czegoś brak. Może to być technicznie najbardziej sprawny pracownik społeczny, a jednak brak mu jednego: brak mu — że tak powiem — bezinteresowności, brak mu swobody, on jest na pensji. (...)

Również gruntowność i skupienie, które są tak bardzo potrzebne do pracy społecznej, zdobywamy przez pracę wewnętrzną. Musi być dla pracy społecznej podkład myślowy; wydajność pogłębia się i podnosi właśnie przez życie wewnętrzne.

A tak niezbędna dla pracy zewnętrznej cierpliwość, wytrwałość? Wiemy, że nabywamy ją wtedy, gdy sami doznamy stu niepowodzeń w naszych wysiłkach duchowych i wewnętrznych. Gdzież my lepiej siebie poznajemy, lepiej widzimy naszą nieudolność, jak nie wtedy, kiedy prowadzimy porządną pracę wewnętrzną. Z naszych niepowodzeń, przegranych, słabości, które stwierdzamy każdego wieczoru w rachunku sumienia, poznajemy, ile trzeba mieć wyrozumiałości, cierpliwości dla ludzi. Przecież w nich ten sam proces się dzieje.

Jedna jeszcze cnota, której się nie uznaje w pracy społecznej, to pokora. Wydaje się aktywistom, że muszą wejść z tupetem wielkim w życie, przybrać minę bohatera, działać totalnie. A tymczasem Kościół doradza pracownikowi społecznemu pokorę. Każda praca wymaga niewątpliwie pełni chcenia, jednakże zabrania nam wierzyć w pełnię naszej możliwości. Jeżeli mamy tę świadomość, wtedy znika człowiek działający, ale pozostaje apostoł posłany. I on to sobie mówi pokornie: „Wszystko mogę w Tym, Który mnie umacnia”. Właśnie apostołstwo katolickie jako forma oddziaływania społecznego ma tę wartość, że człowiek jest posłany, że nie idzie dlatego, że sam chce, ale że ma mandat, że nie siebie przepowiada, ale Boga. Biada temu apostołowi, który zapomniał, że ma Boga przepowiadać!

Więcej męstwa!

Można by mówić o wielu jeszcze cnotach: o posłuszeństwie, uległości, roztropności, znajomości ludzi i męstwie, które jest bardzo potrzebne w pracy społecznej.

Męstwo katolickie, to jest wyznanie swojej wiary, może być niekiedy jedynym argumentem, jaki nam pozostał. Może katolicy nie doceniają dziś wartości męstwa. Może roztropność, ta „prudentia carnis”, niekiedy wzięła górę nad męstwem, które jest wyznaniem. Stanęliśmy przecież w obliczu ludzi, którzy wręcz oświadczyli jasno, że nie wierzą w Boga, że są zdecydowanymi przeciwnikami porządku religijnego w Polsce. Liczyli na to, oczywiście, że katolicy zajmą jakieś stanowisko. Katolicy zajmowali różne stanowiska. A najczęściej to uważali, że o pewnych rzeczach najlepiej nie mówić, przynajmniej do czasu. Praktycznie to było zaprzęstwo. Dlaczego? Dlatego, że ci ludzie właśnie oczekiwali wyznania, a katolicy bardzo często nie chcieli wyznawać i wskutek tego upoważnili ludzi niewierzących do myślenia, że katolicyzm jest słaby w Polsce i można mocniej weń uderzyć. Gdyby katolicy mieli więcej męstwa wyznania, to by w Polsce nie miało miejsca to, co przyszło później. Bo przynajmniej komuniści by wiedzieli, że jednakże ktoś za Kościołem Bożym staje, ktoś wyznaje razem z biskupami. Praktycznie doszło do tego, że zostało dwudziestu pięciu biskupów w zupełnej samotności.

Doskonale wiemy, że jeżeli obowiązek wyznawania mężnie złoży się na kilkudziesięciu ludzi, to obrona takiej pozycji jest o wiele trudniejsza. Obrona Kościoła w Polsce była właśnie dlatego tak trudna dla Episkopatu, że myśmy w pewnym momencie pozostali sami. Słyszeliśmy tylko jedno: modlimy się za was. Na każdym odcinku trzeba było bronić rodziny, własności, praw wolności, etyki lekarskiej, tam, gdzie katolik ma obowiązek wyznawać. I dzisiaj tak jest na odcinku zwłaszcza medycyny, gdzie przecież katolicy wiedzą, że zabijać nie wolno, pomimo że istnieje ustawa pozwalająca na zabijanie. A jednak znajdują sobie zawsze jeszcze jakieś lisie chody, które świadczą tylko o tym, że ci katolicy, to „bawelna”.

Męstwo jest wyznaniem. Od kogo, jeśli nie od nas, ludzi tak wybitnie wysublimowanych ideologicznie, tego męstwa należałoby wymagać?! (25)

PUNKT WYJŚCIA W PRZYSZŁOŚĆ

„Odrodzenie” idzie ku przyszłości, ma tworzyć nowe szlaki. Nie skończyło się ono, nadal ma swoje punkty wyjściowe, źródłowe, z których może czerpać natchnienie do dalszej pracy. Nie po to nasi seniorzy przed pół wiekiem i więcej tworzyli koła akademickie „Odrodzenia” we wszystkich ówczesnych uczelniach polskich, aby po latach wszystko ustało.

Ogromnie trudno jest jednak znaleźć punkt, z którego można by rzeczywistość współczesną dobrze rozumieć i dalej należycie ją rozwijać. Może gdy idzie o stronę ideologiczną naszego ruchu, to jest łatwiejsze. Budowanie jego pionu duchowego nie napotyka na przeszkody. O wiele trudniej jest oprawić to w pewne formy instytucjonalne. To już jest zagadnienie administracji publicznej. Dlatego ogromnie trudno o tym mówić i coś projektować. Można by jednak zastanowić się, co właściwie powinno być nadal, jeśli nie w formie instytucji, to w formie ruchu, ideologii, co można by pchnąć naprzód. Przecież „Odrodzenie” przez długi czas nie miało żadnego statutu, ale miało Deklarację Ideową, którą wydobył ku światłu w swoich próbach szkicowych, dotyczących historii

„Odrodzenia”, kolega Stefan Kaczorowski. On to, w pewnym stopniu, usiłował nam przypomnieć i uwydatnić ideologię, którą żyło „Odrodzenie” do ostatniej wojny światowej.

Dzisiaj postuluje się wyraźnie, że chodzi nam o krajowe duszpasterstwo inteligencji. Wiemy, że gdy idzie o inteligencję, o „inteligencję postępową”, było bardzo dużo najrozmaitszych prób uwydatniania jej miejsca w Kościele i ukazania, że jednakże jest ona katolicka. Próby te mogły się nie udawać, gdyż zmierza się do nadawania takim dążeniom form instytucjonalnych, a my, niestety, ciągle jesteśmy ograniczeni w naszych możliwościach i inwencjach na tym odcinku.

W jakim kierunku?

Przyjąwszy jednak, że są dwa postulaty: program ideologiczny i ramy instytucjonalne, chciałbym raczej mówić o tym pierwszym — o programie ideologicznym. Nie będzie on — przynajmniej w mojej koncepcji — odbiegał daleko od pierwszych założeń ramowych „Odrodzenia”. Pracowaliśmy wtedy w czterech sekcjach. Istniały one w każdym prawie środowisku akademickim: a więc sekcja teologiczna, niektórzy nawet mówili: teologiczno-filozoficzna, oraz sekcje zagadnień kultury narodowej, zagadnień społeczno-gospodarczych i zagadnień kobiecych. Pamiętam, że istniały one w Warszawie, Lublinie, Poznaniu, Krakowie, Wilnie i Lwowie — oczywiście, jasna sprawa, powinienem zacząć od Lwowa — i pracowały z mniejszym lub większym powodzeniem. W jednych ośrodkach mocniejsza była na przykład sekcja filozoficzna, w innych teologiczna czy zagadnień narodowych — zależnie od kolorytu i specyfiki terenu. Wydaje mi się, że nie należałoby za bardzo odbiegać od tego układu. (...)

Jeśli chodzi o formę pracy, oparliśmy się o to „schronienie” bezpieczne dla każdego współczesnego ruchu katolickiego, mianowicie o modlitwę. Nasz program ideologiczny osnułbym więc wokół modlitewnych dni skupienia. A więc przyjmujemy — modlitwa, z pewną poprawką, że jest to modlitwa eklezjalna. Zapewne po to, by rozwijała się nasza formacja osobista, po to, aby wspierać Kościół w jego aktualnych potrzebach, aby uwrażliwiać się na głos Kościoła i dlatego, aby być z nim jedno — „unum sint”.

Modlitwa liturgiczna była przedmiotem troski i zabiegów „Odrodzenia” zawsze, od początku tego ruchu. Kolega profesor Świeżawski z pewnością pamięta wspólne wędrówki z Ojcem Kornilowiczem i na przyczepkę ze mną po Lwowie, gdy szukaliśmy ośrodka, oparcia dla tak zwanych „mszy recytowanych”. Były to lata 1926-1927. Nie znaczy to, że Kolega Stefan jest tak „dojrzałym” człowiekiem, ale mnie można to przypisać. Pamiętamy nasze wędrówki i wysiłki. Znamienne, że „Odrodzenie” chciało się modlić liturgicznie i eklezjalnie, chciało oprzeć swoją modlitwę o naukę „De Corpore Christi Mystici”, która była podstawą ówczesnego ruchu „odrodzeniowego”.

Potrzeba stworzenia ośrodka studyjnego

To utrzymywałbym nadal. Oprócz rozwijania modlitwy eklezjalnej, należałoby stworzyć jakiś ośrodek studyjny. Tutaj poszedłbym po linii dawnej struktury pracy i wychowania w „Odrodzeniu”. A więc najpierw — doksztalcenie teologiczne, później — w zakresie chrześcijańskiej kultury narodowej oraz stałe uwrażliwianie na problemy moralno-społeczno-gospodarcze. To jest też pewna specyfika ruchu „odrodzeniowego”. Natomiast zagadnienia poruszane ongiś przez naszą sekcję kobiecą, ukierunkowałbym dzisiaj ku zagadnieniu rodziny katolickiej.

Pozwolę sobie teraz scharakteryzować krótko sytuację, jaka panuje obecnie. Obserwujemy stale wysiłki współczesnej inteligencji polskiej, która w naszej rzeczywistości chce zachować związek z Kościołem, z wiarą katolicką, a jednocześnie chce uczestniczyć w dostępnej formie życia społecznego, a może nawet i politycznego. Opinie katolików i wysiłki zróżnicowały się. Niektórzy mówią: Nie zginęliśmy całkowicie, jeszcze coś robimy, tak lub inaczej, wystarczająco lub nie. Może nawet czasem błądzimy — bo i takie mogliśmy zanotować wrażenia, że tu i ówdzie błądzono na skutek przeceniania możliwości politycznych czy intelektualnych, albo też stawiano na tak zwane „przetrzymywanie”, w nadziei, że wprawdzie czy później będą szersze możliwości dla pracy inteligencji katolickiej. Z tym łączyły się różne odchylenia, może nawet i błędy. Niemniej jednakże niechby to było uznane za głos — za wołanie katolików. Upominamy się o swoje prawa w społeczności polskiej. Czy uda się, i w jakim wymiarze, to się zobaczy. Ale próbujemy.

Dlatego też nie wypowiadamy się na temat tych prób, które może nawet uzyskały formy instytucjonalne. Wiemy, że niekiedy przejawiały nadmierną zależność polityczną, w nadziei, że doczekają się lepszej przyszłości. W każdym razie te próby były i świadczą o tym, że katolicy w Polsce nie zrezygnowali jednak ze swej obecności w nowym ustroju i szukają odpowiednich dróg do utrzymania się w tej rzeczywistości.

Nasze próby, w moim rozumieniu, byłyby nawiązaniem do przeszłości, to znaczy byłyby uwydatnieniem tego, co uważamy za chleb pożywny dla inteligencji katolickiej. I tu wyliczyłbym tylko schematycznie.

A więc naprzód gdy idzie o zagadnienia teologiczne czy filozoficzne — temu kierunkowi naszego dalszego studium i dalszej pracy nadałbym charakter jak najbardziej eklezjalny. Natchnieniem dla nas mogłyby być Konstytucje: dogmatyczna i pastoralna Soboru Watykańskiego II. Jako natchnienie formacyjne dla wewnętrznego, duchowego rozwoju można by dodać jeszcze Konstytucję o odnowie liturgii. Te trzy dokumenty powinny być punktem wyjścia dla pracy formacyjnej, studyjnej, także wśród pokolenia młodszego, które zbliżyłoby się do „Odrodzenia”. Konstytucja dogmatyczna o Kościele oparta jest przeciw o encyklikę „O Mistycznym Ciele Chrystusa”, odpowiada więc punktom wyjściowym, które były aktualne w „Odrodzeniu” w latach 1925-1927.

Uważam, że należy trzymać się źródeł. A więc aktualne encykliki, deklaracje Stolicy Apostolskiej, dokumenty Soboru Watykańskiego II, próba zastosowania postanowień Synodów, przemówienia Ojca świętego. Mielśmy wspaniałe wypowiedzi za czasów Pawła VI i dzisiaj nie szczędzi ich nam Jan Paweł II. Ale kto je zna? Następnie — wypowiedzi i memoriały Episkopatu Polski. Jest ich również bardzo dużo. (...)

Potrzebne jest też szkolenie i doksztalcanie. Uważam, że nie tyle w oparciu o bibliografię współczesną — którą można by ostatecznie notyfikować i znać — ale o dokumenty wspomniane wyżej należałoby formować samych siebie i młode pokolenia „odrodzeniowe”. Jeżeli znajdą się w zespole ludzie, którzy będą nas informowali, w sposób możliwie spokojny i obiektywny, o współczesnych kierunkach myślowych w bibliografii teologicznej czy filozoficznej, można z ich informacji korzystać. Ponieważ tu i ówdzie robiono to z mniejszym lub większym powodzeniem, dlatego uważam, że należałoby przede wszystkim żyć aktualnymi dokumentami Stolicy świętej. Tłumaczył mi zawsze papież Paweł VI: Tutaj, z góry, mamy szersze widzenie i możliwość

koordynacji. A ja — odpowiadałem — jestem człowiekiem nizin. Stolica Apostolska jest na Taborze, na szczycie, gdzie dokonuje się przemienienie, wizja przyszłości. A my tutaj, pod Taborem, widzimy tylko „chorego chłopca”, który jest skrępowany i trzeba go leczyć. Nie mogli poradzić Apostołowie, więc Chrystus przyszedł do niego i uzdrowił go. Dlatego my w Polsce, w naszej pracy jesteśmy na płaszczyźnie usilnego leczenia młodego pokolenia. W tej pracy liczymy tylko na Chrystusa. (...)

Więcej uwagi dla spraw kultury, etyki zawodowej i współczesnej rodziny

Drugi dział to zagadnienia kultury chrześcijańsko-narodowej w Polsce. Nie mówię, że jest to już aż tak bardzo aktualne, ale uważam, że dopełnia się alienacja naszej postawy narodowej przy pewnego rodzaju symulancie, niegodnym chrześcijanina. Niedawno bodaj w „Polityce” czy w „Kulturze” dostrzegłem pytanie, czy my jesteśmy jeszcze tym samym narodem. Bardzo dobrze, jeżeli ktoś stawia sobie takie pytanie. To jest wyrzut sumienia, zastanawianie — cośmy z tym narodem zrobili? Czy jest on jeszcze narodowy czy międzynarodowy, polski czy może już chiński? Nie wiadomo, jaki jest jego obyczaj narodowy. To wszystko są rzeczy otwarte. Dlatego też mówiąc o tych zagadnieniach, starałbym się pójść po linii historii Kościoła w Polsce. Mamy już zresztą dobre pozycje książkowe, wydane przez KUL.

Następnie — formacja obyczajowo-religijna, problem, który zawsze zajmował sekcję kultury narodowej w „Odrodzeniu”, zagadnienie odpowiedzialności za Kościół i naród, bo ono zanika.

Po pierwszym konklawe, dziennik „Le Monde” ogłosił artykuł pod tytułem: „Kto zabił Papieża”. Obok zamieścił inny artykuł: „Musimy wybrać drugiego Jana Pawła”. Sugerując następcę, wymieniono szereg kandydatów, wszystkich niemal, prócz kardynała Wojtyły. Napisano, że Jan Paweł I spotkał się z tak wielką i skomplikowaną rzeczywistością Kościoła współczesnego, iż przekroczyło to jego wytrzymałość psychiczną i załamał się. Stąd jego szybki koniec. Pan Bóg prawdopodobnie ma inną wizję tego zdarzenia.

Artykuł „Kto zabił Papieża” przeczytałem na Kongregacji Kardynałów, jeszcze przed rozpoczęciem drugiego konklawe i powiedział-

łem, że jest w tym dużo racji, bo my faktycznie umiemy stawiać wymagania Papieżowi, Kościołowi, biskupom, ale czy jesteśmy przy nich, aby ich podtrzymać? Jest w Kościele szlachetna „galeria dobrze urodzonych”, którzy uważają, że sama ich obecność, z ich pionem moralnym, w ramach łaski uświęcającej, powinna wystarczyć. A jednak — nie wystarcza. Świadectwo obecności jest bardzo szlachetnym dorobkiem osobistym, ale nie wystarcza. Chrystus nie trzymał ludzi w Wieczerniku, tylko wysłał ich w świat: „Ite, docete” i to „omnes gentes”. Postulował coś więcej niż obecność.

Aby tak było, trzeba mieć poczucie odpowiedzialności za Kościół i nie tylko cieszyć się Papieżem polskim, ale pomagać mu — i to nie tylko modlitwą. Będą takie sytuacje, gdy ta pomoc będzie bardzo potrzebna. Już dziś po euforii w świecie na temat „polskiego Papieża”, mocarze ciemności podnoszą głos. Piszą: „To papież antysemita, może nawet mason”. Czytałem taki artykuł, oczywiście w prasie francuskiej. Serdecznie kocham Francuzów, ale uważam, że ta „altissima filia Ecclesiae” ma już swój styl. Tam wszystko pozwala się drukować, nie wyłączając brukowca, który zaraz w pierwszych dniach obryzgał papieża Jana Pawła II, nie wiadomo z jakich powodów. Wskazywałoby to, że nie raz trzeba będzie stanąć w obronie tego Człowieka. Jeżeli kto jest za to odpowiedzialny, to przede wszystkim my, katolicy polscy.

Trzecia dziedzina — zagadnienie moralności społeczno-gospodarczej. Są bardzo ciekawe, zaktualizowane enuncjacje Stolicy Apostolskiej, są zbadane starannie informacje o literaturze katolicko-społecznej. Nas zwłaszcza interesuje problem etyki społecznej, zawodowej, etyki pracy, etyki odpowiedzialności. Grzęźniemy bowiem w kryzysie gospodarczym nie tylko dlatego, że za wiele pożyczyliśmy, za wiele zainwestowaliśmy, ale i dlatego, że za wiele zmarnowaliśmy na skutek braku odpowiedzialności naszych pracowników. Nie oskarżamy tu nikogo, żadnych kręgów, ale marnotrawstwo w Polsce jest fantastyczne. (...)

Etyka zawodowa jest przedmiotem wielkiej troski. Episkopat powołał nawet specjalną komisję, która zajmuje się zagadnieniem duszpasterstwa środowiska pracy. Mieliśmy bowiem za wiele materiałów i sprawozdań z sytuacji w kopalniach śląskich, w hutnictwie, w kopalniach rud żelaza i siarki. Ludzie marnują tam swe zdrowie, a motywy przymusu są podobne do tych, o których przed stu przeszło laty pisał biskup Ketteler

z Moguncji w swej książce: „Die arbeiter Frage”. Współczesny świat robotniczy nie może już być nazwany proletariackim, bo jego cenzus społeczno-zawodowy i możliwości ekonomiczne są wyższe, ale przekrój moralny tego środowiska jest przerażający. Dlatego też etyka zawodowa, etyka pracy i odpowiedzialność zawodowa powinny wejść do studium zagadnień społeczno-gospodarczych.

Czwarty punkt — zagadnienie rodziny. Przed wojną zajmowała się tymi problemami sekcja zagadnień kobiecych. Pamiętam, że nasze koleżanki bardzo broniły niezależności sekcji i niechętnie widziały tam panów, tłumacząc nam, że my jesteśmy ludźmi, z programu Bożego, nieudolnymi. Adam był takim niedołęgą, że Pan Bóg obserwując go, powiedział: „Uczyńmy mu pomoc, podobną jemu”, ten człeczyna nie poradzi sobie. Nie tłoczyliśmy się więc do sekcji zagadnień kobiecych.

Dzisiaj można by zagadnienia rozszerzyć z uwagi na to, że cenzus współczesnych kobiet, zwłaszcza polskich, o wysokich kwalifikacjach specjalistycznych, postuluje ich obecność w procesie społecznym, gospodarczym i zawodowym. Ale na razie cierpi na tym rodzina. Dlatego też niezwykle aktualne i ważne jest zagadnienie rodziny. Należałoby zapoznać się z memoriałami Episkopatu Polski i z wynikami studiów na ten temat, przeprowadzanymi zwłaszcza podczas Synodu Biskupów w Rzymie.

Trzeba rozszerzyć to zagadnienie i uderzyć mocno w sprawę bytu rodziny, w problem obecności w rodzinie kobiety. Mam na ten temat swoje koncepcje, których bronię „na dole” i „na szczytach”, jak się zdarzy. Chodzi o rozwiązanie problemu kobiet pracujących zawodowo, o wysokich kwalifikacjach specjalistycznych, bez których znacznie ucierpiałyby gospodarka narodowa. Jak pogodzić ich obowiązki wobec rodziny, wobec dzieci, z pracą zawodową? Daleko jeszcze do tego, aby kobiety pracujące na pół etatu, otrzymywały uposażenie za cały etat, bo trzeba im liczyć to, że pracując zawodowo, powiedzmy cztery, pięć godzin, mają też pracę w domu, w rodzinie — opieka i wychowanie dzieci. Wtedy dopiero będzie sprawiedliwość wobec świata kobiecego. (...)

Ramy instytucjonalne ruchu „Odrodzenie”

Nasuwa się natomiast pytanie, jakie powinniśmy stworzyć ramy instytucjonalne dla tej pracy? To jest zagadnienie o wiele trudniejsze. Przecież nie możemy się poddać prawu o stowarzyszeniach i jego wścibskim dociekaniom. Nie moglibyśmy przeprowadzić samej rejestracji. To się nie uda. Dlatego też ramy instytucjonalne musiałyby być jak najbardziej eteryczne, ale one muszą być, istnieć, to nie ulega wątpliwości. Jakieś kontury zaledwie tego środowiska. Istnieje już Rada Krajowa Dni Modlitw, ale musiałaby mieć stałego delegata Episkopatu — biskupa, który by sprawował umiarkowaną, dyskretną, delikatną opiekę. Później dołączylibyśmy do Rady ośrodki terenowe, diecezjalne, czy według siatki ośrodków akademickich. W starym „Odrodzeniu” skupialiśmy się w środowiskach akademickich. Śpiewaliśmy:

„Wszystko nam jedno, najmilszi koledzy.

Gdzie, kto, którąś dochodzi do wiedzy.

Warszawa, Lwów, Poznań, Lublin, Wilno, Kraków,

Wszędzie jest pełno nas, „Odrodzeniaków”.

Musiałyby więc istnieć takie punkty, które nie tyle czyniąc wiele wrzawy, ile rzetelnie pracując, tworzyłyby teren, na którym realizowałyby program mniej więcej taki lub lepszy od naszkicowanego przez mnie. Na razie skoncentrowalibyśmy wysiłki wokół dni skupienia ruchu ideologicznego „Odrodzenia”. To tworzyłoby wymiary krajowego duszpasterstwa inteligencji.

Może byłoby dobrze, aby Koledzy inicjatorzy, kolega Kruszyński, ksiądz prałat Fedorowicz, pan Kukołowicz i inni, stworzyli ośrodek studyjny dla przemyślenia, co jest możliwe do zrealizowania. (26)

WRÓĆMY DO TRADYCJI „ODRODZENIA”

W różnych sytuacjach musimy wypełniać zadanie chwili, to które jest na dziś, i spokojnie czekać. W świecie katolickim istnieje wiele najrozmaitszych poczynań, które nie zawsze są w pełni uzasadnione. Ludzie, na pewno dobrzy, zatroskani o Kościół, często chcieliby jak najlepiej dla

Kościół i katolików, i to jak najprędzej, już, zaraz, teraz, „bo my tak prosimy”. Porywają się na różne działania, które nie zawsze są pogłębione, nie zawsze wiadomo dokąd mają prowadzić, ale wydaje się im, że to jest przysłowiowa „deska ratunku”. Zdawałoby się, że „tylko to”, a tymczasem „nie to”.

Bóg wybiera czas działania

Na przestrzeni trzydziestu lat, gdy służy Kościołowi świętemu w Polsce, miałem możliwość wysłuchać mnóstwa pomysłów, inicjatyw, przeczytać wiele programów, które powstawały zawsze z gorliwości serca, z jak najbardziej szlachetnych porywów i zda się — z wyczerpującej się już cierpliwości. Gdy „ex post” wszystko to dziś czytam, sam się zdumiewam, jak szeroki jest zakres myślenia ludzkiego, jak wiele możliwości ludzie widzą przed sobą. Zdumiałem się również, gdy przeczytałem niedawno jeden rocznik notatek, które piszę każdego dnia, tak zwanych „Pro memoria”. Nie przestałem ich pisać nawet przez trzy lata więzienia, chociaż mówiono mi: „Tego z więzienia nie wywieziesz”. Gdy więc teraz przeczytałem cały rocznik 1952, starannie prowadzonych zapisów, pomyślałem sobie: Czy jest rzeczą możliwą, aby człowiek wszystko to wytrzymał?! Jeśli czyta się parę godzin, rzeczywiście przerasta to ludzkie możliwości, nie da się tego wytrzymać. Ale jak jest to rozłożone na dni, tygodnie, miesiące i lata, okazuje się, że nie tylko można, ale trzeba wytrzymać. Wszystko trzeba wytrzymać z pełnym zaufaniem do Boga.

Dlatego też dzisiaj, gdy spotykamy się z różnymi porywami ludzi, którzy proponują nam takie czy inne działanie, musimy doświadczyć wszystkiego. Musimy przekonać się, jakie jest zaplecze myśli, czy są one zabazowane i czy da się je uzasadnić, czy to są tylko odruchy. I dopiero zależnie od tego można podejmować lub nie, taką czy inną inicjatywę.

Nasi katolicy bardzo się denerwują, jeżeli nie dość uwagi im się poświęca. Uważają, że jeśli coś jest do zrobienia, to zaraz trzeba wykorzystać sytuację. Tymczasem nie. Może być sytuacja jak najbardziej sprzyjająca, mogą być motywy nadzwyczaj szlachetne i uzasadnione, mogą być ostateczności zda się nie do wytrzymania — a jednak jeszcze czas, później, nie teraz...

Wyciągamy wnioski z naszych doświadczeń

Dopełnia się wielka praca wychowania naszego narodu. Może to jest jakiś ekstrakt obecnego kierunku wychowania? Gdy wszystko dochodzi do absurdu, wtedy ludzie widzą: „Jeżeli Pan nie zbuduje domu, daremnie trzudzą się ci, którzy go budują” bez Boga, bez imienia Bożego. Byliśmy i jesteśmy świadkami wielu absurdów, do których zostało doprowadzone nasze życie społeczne, moralne i ekonomiczne. Zdawałoby się, że wtedy była racja, a dzisiaj widzimy, że nie!

Pozwólcie, że znowu przytoczę przykład. W 1952 roku wizytowałem parafię pod Wrześnią, w diecezji gnieźnieńskiej. Na wprost okien domu, w którym mieszkałem, ustawiono dziesięć wielkich masztów ze sztandarami papieskimi. Ponieważ w tym czasie za najmniejszą chorągiew papieską księża byli wzywani na kolegium i płacili najwyższe mandaty, pytam proboszcza: Ile też ksiądz proboszcz za to zapłaci? A on: Nic nie zapłacę. — Jakim cudem? — A są cuda. Pytam dziekana: Co to znaczy? — To „patriota” — odpowiedział. — Kazali mu postawić sztandary, żeby Prymas się przekonał, że gdy pójdzie z nimi, to i sztandary będą i wszystko inne. — Nie tędy droga, mój Bracie — odpowiedziałem. Wtedy płaciło się mandaty za sztandary papieskie. Ten ksiądz nie zapłacił, bo szedł drogą, którą my uważaliśmy za niegodną. A w tym roku w Warszawie, też nie zapłaciliśmy ani jednego mandatu za sztandary papieskie. Pytanie, kiedy była racja, a kiedy pomyłka? Czy wtedy w 1952 roku, czy może teraz, gdy był Papież?

Mogę przytoczyć inny przykład. W pierwszym roku Wielkiej Nowen-ny zdejmowano krzyże z sal szpitalnych, szkolnych, biur i urzędów. Za postawienie nowego krzyża przy drodze groziły najwyższe wymiary grzywny albo więzienie. I to w imię racji „uzasadnionej” — państwo jest laickie. I to samo państwo laickie w roku bieżącym postawiło w Warszawie, na Placu Zwycięstwa — krzyż!

Słyszeliśmy zdanie pełne niepokoju: Jeżeli Kościół ustąpił i pozwolił urzędnikom państwowym budować krzyż, to co my będziemy robili? Czy Episkopat nie za daleko ustąpił, jeżeli urzędnicy państwowi budują krzyże i montują schody na Mszę świętą? Czy to nie jest jakaś forma kolaboracji? Odpowiedziałem podobnie jak Chrystus zaniepokojonym uczniom, którzy mówili: „Słyszeliśmy o takich, którzy w imię Twoje wyrzucają szatana, a nie chodzą z nami”. A Pan Jezus odpowiedział:

„Zostawcie ich w spokoju. Jeśli nie są przeciwko nam, są z nami” (Mk 9,40). A ja odpowiedziałem: Bracia, od tylu lat walczyliśmy o to, aby państwo nie broniło stawiać krzyży. Czemu się dziwicie, że postawiło krzyż na cześć Papieża? Wszystko jest w porządku. Niech stawiają jak najwięcej.

Zdawałoby się, że coś się uciszyło, ale nie całkowicie, nie w pełni. Takich przykładów można przytoczyć wiele. Był czas, że nie można było ust otworzyć bez zagrożenia osobistego. A dzisiaj mówimy... Zresztą mówiliśmy i wtedy, nie bacząc na nic. Mówiliśmy i mówimy, i jeśli Bóg pozwoli — mówić będziemy.

Pamiętam rok 1945. Było to w Warszawie. Zebrała się grupka ludzi, dobrze znanych starszym kolegom i koleżankom. Zaproszono i mnie na to zebranie. Projektowano różne posunięcia polityczne w nowym ustroju. Powiedziałem wtedy: Panowie, zamiast bawić się w takie czy inne akcje polityczne, otoczcie opieką młodzież, nauczcie ją tego, czego w szkole nie zobaczy. Nauczcie, co to jest Polska, co to jest kultura narodowa, jakie znaczenie ma Kościół w tej kulturze, czego uczy się dziś, ale nie od dziś. Mówcie młodzieży, bo ona znikąd się tego nie dowie: ani w szkole, ani z książek, ani w pracy, ani nawet z ambony. Niech młodzież wie, z jakiego pnia wyrosła. Uznano, że tak, że to jest jedyna możliwość, ale tej pracy nie podjęto. (...)

Wróćmy do tradycji "Odrodzenia"

Ruch „odrodzeniowy” ma swoje tradycje. Pamiętam jako czynny członek „Odrodzenia” akademickiego w latach 1925-1929, a później jako senior, że działaliśmy w oparciu o Tygodnie Społeczne i prace senioratu. Uważaliśmy, że wychowanie w „Odrodzeniu” musi iść w kilku kierunkach. Stworzyliśmy kilka sekcji: filozoficzno-religijną, zagadnień narodowych, moralno-społecznych i zagadnień kobiecych. Przez dłuższy czas w „Odrodzeniu” akademickim w Lublinie prowadziłem sekcję zagadnień narodowych, a później zagadnień moralno-społecznych. Wiem, ile materiału w tej dziedzinie jest do przemyślenia i przekazania młodemu pokoleniu, które zajęte studiami specjalistycznymi nie zawsze ma dość czasu, uwagi i możliwości, aby sprawy te należycie pogłębić.

Jeżeli dalej ma iść praca w „Odrodzeniu”, sędzę, że w tym kierunku należałoby ją prowadzić, dlatego że nadal istnieje zainteresowanie tymi problemami. Chociaż nieraz się słyszy, że młodzież na przykład nie chce słuchać na temat zagadnień społecznych, bo uważa, że Kościół w tej dziedzinie nie ma nic do powiedzenia — są takie odgłosy — jednak znajdują się młodzi ludzie, których to zainteresuje. Dzisiaj katolicy jako nowocześni ludzie często uważają sobie za obowiązek dialogować. Pamiętajmy jednak, że tak zwany dialog jeśli nie będzie oparty o rzetelne studium, będzie przelewaniem z próżnego w puste i stratą czasu.

Chociaż starsi „odrodzeniowcy” mogą uważać, że już wiele przestudiowali i przeczytali, i na pewno w wielu wypadkach tak jest, to jednak sędzę, że i oni z uwagi na rozwój myśli filozoficznej i religijnej, myśli społecznej w Kościele, problemów etycznych czy pedagogiczno-wychowawczych, mają jeszcze wiele do przeczytania i przestudiowania, choćby nowe dokumenty Stolicy Apostolskiej. Pogłębienie i zaktualizowanie swojej wiedzy obowiązywałoby więc również starsze pokolenie „odrodzeniowe”. (...)

Jedna dziedzina jest szczególnie doniosła i konieczna z uwagi na sytuację ustrojową, a mianowicie — informowanie, czego Kościół uczy dziś na odcinku myśli katolicko-społecznej. Przez ostatnie lata, nawet prasa redagowana przez katolików, tłumaczyła społeczeństwu katolickiemu, że w ustroju monopartyjnym Kościół nie ma nic do powiedzenia, bo nie ma katolickiej nauki społecznej. Tymczasem jest to wielka pomyłka i krzywda wyrządzona katolickiej myśli społecznej. Mówi się, że młodzi niechętnie czytają dokumenty z tej dziedziny, ogłoszone przez Kościół. Ale myślę, że niejeden młody człowiek, gdyby z uwagą przeczytał któryś z dokumentów ogłoszonych przez Pawła VI, na pewno przyznałby, że jednak Kościół wiele ma dziś do powiedzenia światu współczesnemu. Tym więcej, że świat dostarczył bolesnych doświadczeń, które tylko dowodzą nieudolności rodziny ludzkiej. Już święty Paweł w Liście do Kolosan ostrzegał przed błędną filozofią, przed opieraniem wszystkiego na świecie zjawisk, a nie na Chrystusie. A dziś to jest tak aktualne! Encykliki Pawła VI są ostrzeżeniem ludzkości przed taką pokusą.

Pamiętam — dawne czasy — prowadziłem we Włocławku przy Chrześcijańskich Związkach Zawodowych Uniwersytet Robotniczy. Stworzyłem wtedy sekcję młodych. Było w niej jakieś trzydzieści osób,

z dziesięć dziewcząt, reszta chłopcy w wieku 20-22 lat. Powiedziałem im wtedy: Słuchacie różnych odczytów oderwanych tematycznie, spróbujemy stworzyć całość. Zacząłem im wyklądać w pewnej oprawie historycznej encyklikę „Rerum novarum”. Były to lata 1932-1935. Zdawałoby się, że ta młodzież, przychodząca prosto z warsztatów od ciężkiej pracy, nie była do tego odpowiednio przygotowana, ale gdy im zlecałem: Ty opracujesz ten rozdział, ty przeczytasz tamten, i tak jak to zrozumiesz przedstawiś nam — zainteresowanie zaczęło się budzić. Młodzież nie mająca pełnego wykształcenia podstawowego, zaczęła żywo interesować się zagadnieniami społecznymi. Wydaje mi się, że taką metodą seminaryjną można by również i dzisiaj prowadzić dla młodzieży studium z dziedziny myśli katolicko-społecznej, przedstawić niektóre dokumenty i zachęcać do ich przestudiowania.

Prowadziłem też we Włocławku cykl wykładów dla robotników o encyklice „Rerum novarum”. Przed wakacjami, gdy cykl się zamykał, jeden z robotników wstaje i mówi tak: Ksiądz profesor nam wytłumaczył, że komuna do cholery (przepraszam, że tak mówię) i kapitał do cholery. A ty, robotniku, się powieś! — Bracie, jedź na wakacje — odpowiedziałem — po wakacjach przyjedź, będziemy dalej szukali odpowiedzi. Przekonasz się, czy warto już się wieszać, czy lepiej jeszcze poczekać. Rzeczywiście, zjawił się po wakacjach i mówiliśmy w nowym cyklu na temat chrześcijańskiego ustroju społecznego. Kiedy później spotkaliśmy się na ulicy, powiada: Proszę księdza, dobrze, że się wtedy nie powiesiłem, bo dzisiaj wiem, że to co ksiądz mówił, to była prawda. I nadal mamy ze sobą kontakt, chociaż wielu moich współpracowników z owych czasów skończyło już swoją ziemską drogę i jest u Pana Boga w chwale. (...)

Katolicką myśl społeczną trzeba oprawić w wymiary teologiczne, aby ukazać jej fundamenty i podstawy. Dla mnie na przykład, dla mojego myślenia, jest nią nauka świętego Pawła o Mistycznym Ciele Chrystusa. Z tego wywodzę cały swój sposób katolickiego myślenia społecznego.

Trzeba mieć bazę, oparcie, fundament, na którym Kościół opiera swoje myślenie. Jeżeli tego zabraknie, to będzie tylko płytka kontestacja programowa. Jesteśmy świadkami różnych form kontestacji. Pytamy kontestujących: W jakim kierunku idziecie, czego uczycie, co chcecie powiedzieć? — I na to odpowiedzi nie ma, oprócz wielu zażaleń emocjonalnych, bardzo często słusznych, ale niedostatecznie uzasadnionych. Często wygląda to tylko na polityczne zmagania się, podczas gdy nam chodzi o rzetelną i gruntowną naukę, którą Kościół reprezentuje nie tylko jako alternatywę, ale jako właściwe rozwiązanie. Może kiedyś świat doczeka się tego, po wielkich błędach i zawodach mylnej filozofii, przed którą ostrzegał już święty Paweł w Liście do Kolosan, a która dzisiaj tak nas dręczy i męczy.

Mnie się wydaje, że nie można poprowadzić rzetelnego dialogu bez elementarnej wiedzy, koniecznej, aby umieć temu z kim dialogujemy, ukazać nie tyle odmienne rozumienie, ile racje tych rozumień. Wszystkie poczynania polityczne katolików różnych odcieni grzeszą właśnie tym, że nie wychodzą z założeń teologiczno-społecznych, tylko rodzą się z emocji i napięć. Jednemu z tych ugrupowań mówiłem: Panowie, ponieważ zawiodły dotychczasowe inicjatywy katolików na innych odcinkach, ich programy polityczne, zajmijcie się jednym: upowszechnieniem dokumentów z zakresu katolickiej nauki społecznej. Macie swoje pisma — nie chcę ich tu wymieniać — i zamiast ogłaszać takie czy inne teksty, wyspecjalizujcie się w jednej dziedzinie i publikujcie dokumenty z zakresu katolickiej nauki społecznej. Kiedyś w Niemczech nad Renem spotkałem się z instytucją „Wolność przed hitleryzmem”, której twórca wydawał pismo pod tytułem „Hofnung”. Miał zespół młodych ludzi, którzy pracowali bezinteresownie, bezpłatnie. Wkładali pismo w koperty i wrzucali do skrzynek w różnych rejonach miasta. U nas tej formy się nie docenia. Pisz się niekiedy i rozdaje ulotki. Czytałem taką ulotkę, bardzo bolesną, prawdziwą, ale na tym etapie — nieskuteczną. Lepiej byłoby dostarczyć społeczeństwu dokumenty, może nawet wyjątki, chociażby z ostatniej encykliki „Odkupiciel człowieka”. I podsuwać je ludziom przy różnych okazjach. Ile dobrego się przez to dokona!

Słyszę niekiedy: my mamy głęboką wiarę, ale dla siebie. Bardzo

dobrze, że Bóg dał nam tę wiarę. Dziękujemy za nią, ale nie uważajmy, że mamy ją tylko dla siebie. Stąd pilną jest rzeczą dla ruchu „odrodzeniowego”, zwłaszcza dla średniego i najmłodszego pokolenia, prowadzić systematyczną pracę dokształceniową.

To, co powiedziałem o pracy na odcinku myśli społecznej w Kościele, można przenieść na problemy filozoficzno-moralne, zagadnienia etyczne, pedagogiczno-wychowawcze, rodzinne i tak dalej. Może to dotyczyć wszystkich dziedzin. Zatrzymałem się na jednym przykładzie, ale to co chciałem powiedzieć prowadzi do ogólniejszego wniosku: Zaczniemy naprzód rzetelnie się uczyć a później dialogujemy z przeciwnikami i z biskupami, i księżmi. Ostatecznie Kościół ma swoje doświadczenie w świecie i w Polsce. I chociaż nie osiągnął stu procent zbawienia, bo ma jeszcze czas, to jednak jest trwałym zjawiskiem w Polsce. I jako zjawisko trwałe zasługuje na zaufanie wśród inteligencji. Niechby inteligencja nie poprzestawała na kontestacji antykościelnej, antyreligijnej, ale raczej zgłębiała naukę Kościoła i wiedziała, czego Kościół naprawdę uczy. Wyczytujemy na ten temat w prasie różne dziwne rzeczy i niekiedy tak łatwo przyjmujemy wszystkie wiadomości, które ludzie opowiadają. Trzeba mieć odpowiedzialność za dar Boży, za naszą własną inteligencję, wypracowaną przez trud osobisty i przez studia. Trzeba dorastać do właściwego poziomu wiedzy teologicznej, filozoficznej, religijno-moralnej i społecznej. (27.1)

Katolicka nauka społeczna ma swoją historię

W Kościele, zwłaszcza po Soborze Watykańskim II, wiele było już różnych inicjatyw i porywów. Często nie miały one pogłębienia teologicznego i dlatego wprawdzie czy później, kończyły się. Pamiętamy też kontestacje w okresie drugiej sesji Soboru. Patrzyłem na to z bliska na terenie Rzymu. Na pewno byli to ludzie dobrej woli, nie mający ładu myślenia teologicznego. Wnosili postulaty, które nie miały nic wspólnego z pracą doktrynalną na Soborze.

Kościół na Soborze uczył chodzenia po ziemi. Uczył ładu myślenia i wyznania teologicznego, a w konsekwencji uczył życia religijnego i wypełniania obowiązków moralnych. A to jest bardzo doniosłe, bardzo ważne. Warto więc zapoznać się z dokumentami Soboru.

Słusznie tutaj podkreślano, że w dziedzinie katolickiej nauki społecznej brak jest wykszolenia historycznego. Często słyszy się bowiem zarzuty, że katolicy nic właściwie w tej dziedzinie nie zrobili. Jest to niedokładność, ponieważ katolicka nauka społeczna ma swoją historię. Niektórzy wywodzą ją od encykliki „Rerum novarum”, a więc od roku 1891. Pamiętajmy jednak, że katolicka nauka społeczna korzeniami swoimi wywodzi się z Ewangelii. Jako przykład mógłby posłużyć nam również czytany dziś fragment Listu świętego Jakuba Apostoła. Z pomocą tego Listu, skuteczniej i trwalej niż z pomocą Manifestu Komunistycznego z 1848 roku, można by przewrócić porządek świata do góry nogami.

Na pewno prof. Strzeszewski poparłby mnie w tej dziedzinie. Wczoraj z wielką sumiennością przeglądałem jego książkę „Praca ludzka”, ukazującą historyczny bieg życia społecznego, gospodarczego i politycznego. Nie tylko List świętego Jakuba, ale i cała patrystyka, zwłaszcza pisma świętego Bazylego i świętego Jana Chryzostoma, ukazują wysiłek i wkład myśli katolickiej w kształtowanie ładu życia społecznego i porządkowanie różnych jego przejawów.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa, a później w epoce Merowingów i Karolingów wiele miejsca poświęcano na synodach ustawodawstwu społecznemu. Proszę przestudiować jedno zagadnienie: walki Kościoła z lichwą, od czasów świętego Tomasza z Akwinu aż do czasów papieża Grzegorza XVI, jak Kościół był konsekwentny i wytrwały.

Nauka tomistyczna stworzyła ramy dla myślenia katolicko-socjalnego. A podstawą była nauka świętego Pawła o Kościele jako Mistycznym Ciele Chrystusa. To jest ten „zryw ramowy”, na którym można spokojnie i bezpiecznie budować katolicką naukę społeczną. Wysiłek ten podejmowano wielokrotnie. Świadczą o tym liczne szkoły katolicko-socjalne: francuskie, niemieckie, austriackie, i mnóstwo wybitnych nazwisk, które się wokół nich skupiało. Zależnie od tła społeczno-ekonomicznego, szkoły te dążyły do rozwiązywania problemów aktualnych. Niemniej jednak w całości stanowią wybitny i szlachetny wkład Kościoła.

Niektórzy katolicy pisząc na te tematy, przeskakują gwałtownie od czasów powiedzmy tzw. „komunizmu chrześcijańskiego” pierwszej gminy chrześcijańskiej do czasów „Rerum novarum”. Tego, co działo się w międzyczasie, na przestrzeni tylu wieków, zazwyczaj nie znają.

A przecież w tych wysiłkach i poczynaniach brali udział często katolicy świeccy. W szkołach społecznych francuskich, tak samo zresztą w austriackiej i niemieckiej, przeważali katolicy świeccy. Jest to zarazem pewna rehabilitacja ludzi świeckich i pochwała ich działalności w Kościele. Ale ci ludzie uczyli się współpracy z Kościołem w tej dziedzinie.

Istniała tak zwana „Unia Fryburska” dla badań ówczesnych problemów społecznych, przed wydaniem encykliki „Rerum novarum”. Unia ta, pracująca pod przewodnictwem kard. Mermillod, przy udziale wybitnych myślicieli z dziedziny filozofii społecznej i katolicyzmu społecznego, wysłała profesora De Curtin do papieża Leona XIII, aby poradził, w jakim kierunku mają iść studia z zakresu katolickiej myśli społecznej. Papież wręczył profesorowi „Summę teologiczną” świętego Tomasza z Akwinu i polecił ją czytać. Profesor De Curtin, człowiek wybitny, mający ogromny talent uściślenia pojęć, był tym trochę urażony. Wrócił do Fryburga, oddał „Summę” kardynałowi Mermillod i nieco zde gustowany, powiada: Cóż robić, wracać do tej zamierchłej przeszłości? A kardynał powiada: Weźmy się do roboty. Zaczęli studiować i znaleźli wiele elementów pomocnych dla uściślenia pojęć. Prace ich znalazły odbicie w encyklice „Rerum novarum”. Czasami trzeba sięgnąć daleko w przeszłość i uczyć się historii, aby wiedzieć, czego Kościół już dokonał na rozległej i zmiennej przestrzeni życiowej.

Dzisiaj, na przykład, zagadnienie katolickiej nauki społecznej sprowadza się do obrony praw człowieka. Zagadnienie praw człowieka istnieje w Kościele od początku, od krzyża kalwaryjskiego, bo Chrystus umarł za nas i dla naszego zbawienia. Przez swoje człowieczeństwo nobilitował człowieka i nadał mu niezwykle wymiary i możliwości. Natomiast aktualny jest problem naruszania praw osoby ludzkiej, co w ogromnym wymiarze ma miejsce także u nas. W przededniu podróży Ojca świętego do Irlandii ogłoszono w prasie artykuł, w którym było ogromnie dużo narzekań na pogwałcanie praw człowieka. Uważam, że wystarczyłoby wyraz „Irlandia” zastąpić innym, a wszystko byłoby nadal bardzo prawdziwe, bardzo aktualne i bardzo lokalne...

W katolickiej nauce społecznej tak zwana obrona praw osoby ludzkiej jest niejako pojęciem i terminem konkluzyjnym, podczas gdy rozwojowo zagadnienie jest przedmiotem uwagi teologii dogmatycznej i moralnej, patrystyki, historii i wielu innych dziedzin. W całym wysiłku Kościoła idzie bowiem o nobilitację człowieka, o jego królewską

godność, więcej, o Bożą godność. Jeden z pisarzy starochrześcijańskich, święty Grzegorz Wielki powiedział: „Dlatego Bóg stał się człowiekiem, aby człowieka ubóstwić”. Ta myśl patrystyczna jest aktualna nadal. Zagadnienie obrony praw człowieka jest tylko fragmentem rozległej myśli, którą Kościół wypracował nie tylko przez biskupów i kapłanów, ale i przez ludzi świeckich, mających umiejętność myślenia teologicznego także w dziedzinie społecznej, politycznej i ekonomicznej. (...)

Docermy pracę kobiet

Idea „Kościoła domowego” urasta do wymiarów bardzo realnych. Uważam, że Dobry Bóg buduje od bardzo dawna, bo pierwsze elementy teokracji domowej dostrzec możemy już za czasów Abrahama. Dzisiaj udoskonalone są te elementy. Rodzina w pojęciu Starego Przymierza, a tym bardziej Nowego, ma sakralne wymiary. Święty Paweł nie mógł napisać inaczej, jak tylko — „sakrament to wielki w Kościele”. Należy rozwijać tę ideę, tym bardziej że w Polsce na tym odcinku zagraża brak powiązania między teologią a moralnością w życiu rodzinnym i małżeńskim.

(...) Coraz więcej kobiet specjalizuje się, coraz więcej jest kobiet o wysokim cenzusie naukowym, użytecznych dla rozwoju życia gospodarczego, społecznego, kulturalnego. Jest to tendencja zdrowa, właściwa. Idzie tylko o to, by miała ona swoje wymiary, by nie posunięto się za daleko. Nie może być tak, że kobieta zajęta specjalizacją zawodową czy naukową, której poświęciła wiele lat życia, nie ma już czasu na najszczytniejsze swoje zadanie — na życie rodzinne. Niestety, bardzo często wśród kobiet zajmujących się pracą polityczną, naukową, zawodową, trudno dostrzec zaangażowanie się w życie rodzinne. Rzadkie są wyjątki, gdy kobieta oba te zadania wypełnia dobrze, zazwyczaj brak jej czasu.

Życie rodzinne wymaga ogromnej energii, wymiaru czasowego, olbrzymiej ofiary, a z drugiej strony jest konieczne, niezbędne dla rozwoju narodu. Niejeden raz poruszałem to zagadnienie z ambon kościołów warszawskich. Uznając konieczność pracy kobiet wykształconych specjalistycznie i przygotowanych do tej pracy, postulowałem, aby kobieta taka pracowała na pół etatu z wynagrodzeniem za pełny

etat, ponieważ jej praca wychowawcza w rodzinie też ma znaczenie społeczne, narodowe i publiczne. I chociaż za pracę matki w rodzinie nikt nie zdoła zapłacić, bo to są zbyt wielkie ceny i wartości, to jednak społeczeństwo musi się liczyć z tym i musi to docenić. Dlatego postulowałem i nadal postuluje rozszerzenie pojęcia „zapłaty rodzinnej”, w tym sensie — zwłaszcza gdy idzie o matkę pracującą — że gdy jej praca jest wysoce użyteczna społecznie i publicznie, powinna pracować w niepełnym wymiarze godzin, ale uposażenie otrzymywać za pełny etat. W ten sposób nie traci się wysoko wykwalifikowanej pracownicy i nie straci się matki w rodzinie.

Gdy pierwszy raz poruszyłem tę sprawę w jednym z kościołów warszawskich na dawnym Lesznie, widziałem, że na wprost ambony stała grupka młodzieży z magnetofonem i trochę się podśmiewała. W kilka dni później ukazała się notatka w prasie, oczywiście niekatolickiej, o „osobliwej ekonomii” Prymasa. Po jakimś czasie powiedziano mi: To są ryzykowne tezy, nas nie stać na to. Odpowiedziałem: problem zapłaty rodzinnej znały już dawno katolickie szkoły społeczne, zwłaszcza francuska w Liège. To są dawne czasy, sto lat minęło. I to jest element stały w katolickiej nauce społecznej. A że praca na pół etatu dla kobiety wysoko wykwalifikowanej może być trudna do zrealizowania dziś, to nie znaczy, że ustrój postępowy, o wiele „lepszy” niż wszystkie dotychczasowe, miałby z tego zrezygnować. Niech się bierze za bary i pokaże, o ile jest lepszy.

Moje postulaty

Jako postulaty pilne stawiam najpierw — bliższy kontakt z Episkopatem. Nie znaczy tylko z Prymasem, bo do niego „trudno się dostać”. (...)

Ale bliższy kontakt zwłaszcza z tym, czego Episkopat naucza i wiązania jego pouczeń z codziennym życiem i pracą „Odrodzenia”.

Następnie — wyciągnięcie wszystkich wniosków z obecności Ojca świętego w Polsce. Po jego wyjeździe nadal żyjemy w euforii, ale chciałbym, aby nie była ona jednostronna. Niektórzy nasi bracia sądzili, że oczywiście, będzie „odwilż”. Gdzie, pod krzyżem? Papież stał pod krzyżem na Placu Zwycięstwa, a na drzewcu tego krzyża był wizerunek Matki Bolesnej. Pamiętajmy, że Kościół w Polsce nadal jest pod

krzyżem. Swoją sens, swoją wartość i możliwości na przyszłość wiąże właśnie z tym, że jest pod krzyżem. Nie mówię tak jak Churchill: „Jest źle, będzie gorzej”. Nie mówię tego, ale powtarzam i proszę, nie układajmy się do snu. Czuwajmy, pracujmy i módlmy się!

Ojciec święty pojechał. Niektórzy panowie mówią teraz tak: A no, był, pojechał, wielkie zdarzenie a jakby go nie było. Ale katolicy są zobowiązani do wyciągnięcia wszystkich wniosków z obecności Ojca świętego w Polsce, zwłaszcza gdy idzie o jego nauczanie. (...)

Zagadnienie skutków podróży Ojca świętego do Polski studiuje się nadal. Konferencja Episkopatu poświęciła temu zagadnieniu i wiążącym się z nim problemom wiele czasu. Sam przeznaczyłem część wakacji, aby opracować pewne schematyczne zestawienie skutków pobytu Papieża w Polsce. Przesłałem je później Ojcu świętemu, aby się z nimi zaznajomił. Studiuje się to zagadnienie i w kołach politycznych, które uważają, że chociaż Papież był i zaznaczył swoje stanowisko, lecz na szczęście niektórych problemów nie poruszał, są więc zadowoleni. Ujawniły się też możliwości Kościoła nie tylko dlatego, że miał on misję kościelną, ale i dlatego, że umiał utrzymać autorytet powagi w społeczeństwie, zwłaszcza w Warszawie. Umiał zapanować nad zachowaniem wielkich rzesz, które gromadziły się od lotniska do Katedry, witając Ojca świętego, czy na Placu Zwycięstwa i przed kościołem Świętej Anny. Niewątpliwie, było to osiągnięcie duże.

Ludzie, którzy zajmują się statystyką powiedzieli, że w czasie pobytu Papieża w Polsce, w ciągu dziewięciu dni, zetknęło się z nim bezpośrednio, w tej lub innej formie, około czternastu milionów. Inni stwierdzają, że w tym czasie nie zanotowano żadnych wystąpień kryminalnych, a spożycie alkoholu zmniejszyło się od 25 do 30%.

Może to wszystko są skromne osiągnięcia, zawsze jednak świadczą o tym, że Kościół przez jednego człowieka — oczywiście najwybitniejszego, wybranego przez Ducha Świętego, przez Głowę Kościoła — ma jednak coś do powiedzenia światu i naszej Ojczyźnie. Nie trzeba się tak bardzo Papieża bać.

Przez długie lata, już za czasów Jana XXIII, a później Pawła VI, omawialiśmy sprawę przyjazdu Papieża do Polski i nie dochodziło do żadnego rezultatu. Teraz zdarzyły się takie okoliczności, które temu sprzyjały. Papieżowi — Rodakowi urodzonemu w Wadowicach, nie można było zamknąć Ojczyzny.

Trzeba też i od naszej strony, rzetelnie, spokojnie, bez emocji — bo to są problemy bardzo doniosłe — ocenić „pro” i „contra” przyjazdu Ojca świętego do Polski. Wydaje mi się, że zdecydowanie więcej jest „pro” niż „contra”. (...)

Słuchając prelegentów widzimy, że dorabiamy się ludzi, którzy umieją po katolicku mówić. Życzyć by należało, aby prelegentów konsekrowanych było mniej, a tak zwanych świeckich — chociaż nikt z nas nie jest świeckim człowiekiem, bo wszyscy jesteśmy uświęceni — coraz więcej. (27.2)

Z LISTU DO UCZESTNIKÓW DNI MODLITW INTELIGENCJI ODRODZENIOWEJ NA JASNEJ GÓRZE

(...) Ostatnie tygodnie przeżyć Narodu były dla nas wszystkich pełne niepokoju. Ale zarazem były dowodem, że bez Bożej pomocy, bez ładu Bożego w życiu społecznym, nie może być ani trwałych osiągnięć, ani spokoju społecznego. Gdy to piszę do Was, Najmilsi, patrzę na zdjęcie fotograficzne zamieszczone w tygodniku „La vie” (z 3.IX.1980). Przedstawia ono kapłana, ubranego w komżę i stułę, jak klęczy w gromadzie pracowników Stoczni Lenina w Gdańsku. Ci ludzie, którzy podjęli walkę o sprawiedliwość społeczną, o prawo do zrzeszeń, do wolności społecznej, do szacunku dla osoby ludzkiej, do uznania praw i obowiązków człowieka, dobrze czują, że moce Boże są niezbędne dla uładzenia życia społecznego w naszej Ojczyźnie. I dlatego prosili o Mszę świętą, przystępowali do Spowiedzi i do Komunii świętej, słuchali słowa Bożego we wszystkich strajkujących stoczniach. Jedno z pism włoskich napisało, że polscy robotnicy wychowani w kraju demokracji ludowej, dali przykład jak należy walczyć o sprawiedliwość społeczną w świecie, której bez Bożej sprawiedliwości osiągnąć się nie da.

(...) Dziś po latach bolesnych doświadczeń, przekonanie o niezbędności katolickiej nauki społecznej dla budowania w naszej Ojczyźnie ładu

i pokoju społecznego, jest niezbędne. Dla nas powstaje wzmocniony obowiązek doceny całokształtu dziejów myśli i zasad, tak systematycznie kształtujących się w nauce Kościoła współczesnego. Może wypadnie nam wrócić (...) do systematycznego studium katolickiej filozofii i etyki społecznej. Warto uwrażliwić się na źródła tej nauki, poczynając od ksiąg Nowego Testamentu, poprzez liczne już dzisiaj dokumenty Stolicy świętej, aż do tych wypowiedzi, które wychodzą z ust Ojca świętego Jana Pawła II.

Postawa pracowników Stoczni i fabryk w Polsce, świadczy o tym, że duch Ewangelii Chrystusowej, sprawiedliwości i pokoju nie wygasł w naszej Ojczyźnie. Świat robotniczy dał przykład inteligencji polskiej, że nie wolno biernie patrzeć na pogwałcenie praw Bożych i ludzkich w budowaniu przyszłej Polski. (28)

**WYKAZ PISM KARDYNAŁA WYSZYŃSKIEGO
PRYMASA POLSKI, Z KTÓRYCH DOKONANO WYBORU**

- Głos z Jasnej Góry*, Akademia Teologii Katolickiej, Warszawa 1984.
Kazania i przemówienia autoryzowane i nieautoryzowane (maszynopis), Zbiór
Instytutu Prymasowskiego Ślubów Narodu, Warszawa.
Matka Syna Człowieczego, Pallottinum, Poznań-Warszawa 1984.
Wielka Nowenna Tysiąclecia, Société d'Éditions Internationales, Paris 1962.

WYKAZ ŹRÓDEŁ

I. CHRZEŚCIJANINEM JESTEM

1. Jasna Góra, 20 września 1975. Działanie trynitarne istotą odnowy człowieka i Kościoła. Do katolickiej inteligencji akademickiej „Odrodzenie”. Mps aut. *Kazania i przemówienia...*
2. Jasna Góra, 21 września 1975. „Bóg nas pierwszy umiłował”. Do „Odrodzenia”. Mps aut. *Tamże*.
- 3.1. Warszawa, 14 stycznia 1962. Bożo-ludzka synteza. Do katolickiej inteligencji akademickiej. Mps aut. *Tamże*.
- 3.2. Jasna Góra, 27 sierpnia 1961. Synteza Bożego i ludzkiego... Inauguracja pielgrzymki katolickiej inteligencji akademickiej. Mps aut. *Tamże*.
4. Jasna Góra, 16 września 1962. Do pielgrzymki polskiej inteligencji katolickiej. Mps aut. *Tamże*.
5. Jasna Góra, 14 września 1968. Podwyższenie Krzyża. Homilia podczas Mszy św. dla „Odrodzenia”. Tekst nieautoryzowany, opracowany redakcyjnie. *Tamże*.
6. Jasna Góra, 21 września 1969. Dzieci jednego Ojca. Do katolickiej inteligencji „Odrodzenie”. Tekst nieautoryzowany, opracowany redakcyjnie. *Tamże*.

II. W CHRYSZTUSIE I W KOŚCIELE

7. Jasna Góra, 12 października 1957. Do inteligencji katolickiej grupy „Odrodzenie”. Mps aut. *Tamże*.
8. Jasna Góra, 1 października 1959. Macierzyństwo Kościoła. Do ogólnopolskiej pielgrzymki prawników i katolickiej inteligencji. *Głos z Jasnej Góry*, 112-114.
9. Jasna Góra, 21 września 1974. Do katolickiej inteligencji akademickiej „Odrodzenie”. Mps aut. *Kazania i przemówienia...*
10. Jasna Góra, 27 listopada 1966. Do inteligencji katolickiej. Mps aut. *Tamże*.
11. Jasna Góra, 30 maja 1970. Do katolickiej inteligencji akademickiej „Odrodzenie”. Mps aut. *Tamże*.
12. Gniezno, 9 listopada 1975. Do grupy informacyjnej. Mps aut. *Tamże*.
13. Warszawa, 11 marca 1963. Mps aut. *Tamże*.
14. Jasna Góra, 17 września 1960. Żyć wdzięcznością wobec Boga i Kościoła. Do inteligencji katolickiej. *Wielka Nowenna Tysiąclecia*, 145-148.

III. PRZED MATKĄ BOGA I CZŁOWIEKA

15. Jasna Góra, 12 października 1957. Przemówienie wygłoszone do inteligencji katolickiej grupy „Odrodzenie”. Mps aut. *Kazania i przemówienia...*

16. Jasna Góra, 18 września 1971. Do katolickiej inteligencji akademickiej „Odrodzenie”. Mps aut. *Tamże*.

17. Jasna Góra, 20 września 1969. Do katolickiej inteligencji akademickiej. Mps aut. *Tamże*.

18. Jasna Góra, 14 października 1972. Do inteligencji katolickiej „Odrodzenie”. *Matka Syna Człowieczego*, 87-90.

19. Jasna Góra, 15 września 1973. Do katolickiej inteligencji akademickiej „Odrodzenie”. Mps aut. *Kazania i przemówienia...*

20. Jasna Góra, 15 września 1979. Odrodzenie świata przez Tych Dwoje. Homilia podczas Mszy świętej dla inteligencji katolickiej „Odrodzenie”. *Głos z Jasnej Góry*, 454-457.

IV. A JEDNAK — ISTNIEJEMY!

21. Jasna Góra, 12 października 1957. Na zakończenie pielgrzymki seniorów „Odrodzenia”. Mps aut. *Kazania i przemówienia...*

22. Jasna Góra, 26 listopada 1966. Dziękujcie razem z nami Matce Najświętszej. Do inteligencji katolickiej... Apel Jasnogórski. Mps aut. *Tamże*.

23. Warszawa, 8 stycznia 1977. Opłatek dla „Odrodzenia”. Tekst nieautoryzowany, opracowany redakcyjnie. *Tamże*.

24. Jasna Góra, 12 października 1957. Człowiek istotą społeczną. Do inteligencji katolickiej grupy „Odrodzenie”. Konferencja II. Mps aut. *Tamże*.

25. Jasna Góra, 12 października 1957. Życie wewnętrzne — pracą społeczną. Do inteligencji katolickiej grupy „Odrodzenie”. Konferencja III. Mps aut. *Tamże*.

26. Warszawa, 17 lutego 1979. Spotkanie z „Odrodzeniem”. Próba zarysu pracy programowej. Mps aut. *Tamże*.

27.1. Jasna Góra, 15 września 1979. Do katolickiej inteligencji akademickiej „Odrodzenie”. Mps aut. *Tamże*.

27.2. Jasna Góra, 16 września 1979. Zakończenie dni modlitw inteligencji katolickiej „Odrodzenie”. Mps aut. *Tamże*.

28. Warszawa, 1 września 1980. Prymas Polski do umiłowanych uczestników dni modlitw inteligencji odrodzeniowej na Jasnej Górze. Mps aut. *Tamże*.